

Sylvia Andrew

*Niezwykła  
guwernantka*



## Rozdział pierwszy

Wysoki, ciemnowłosy, szeroki w ramionach Edward Barraclough wyglądał imponująco, kiedy w drodze powrotnej na North Audley Street przemierzał energicznym krokiem Green Park. Nie miał na sobie zbyt wyszukanego stroju, ale ciemnozielony wełniany płaszcz, laseczka ze srebrną gałką oraz rękawiczki i buty z koźlęcej skóry były najwyższej jakości i pozwalały sądzić, że ich właściciel jest majątny i dystyngowany. Mogło zastanawiać, co człowiek, należący niewątpliwie do londyńskiej elity, robi o tej porze roku w mieście. Ludzie z jego sfery rozjechali się już do swych wiejskich posiadłości i w stolicy trudno było znaleźć odpowiednie towarzystwo.

Kiedy więc wicehrabia Trenton zobaczył pana Barraclough, który właśnie wyszedł z parku i szykował się do przejścia na drugą stronę Piccadilly, powitał go ze zdumieniem, ale i niekłamaną radością.

- Ned! Co, u licha, robisz w mieście?

- To samo co ty, jak sądzę - odparł Barraclough. - Załatwiam interesy.

- Myślałem, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawiesiło działalność do przyszłego miesiąca.

- Istotnie zawiesiło. Chodzi o sprawy rodzinne i różne banki - stąd aż do Wiednia.

- Ach, co za nuda, stary!

Pan Barraclough spojrział na towarzysza z rozbawieniem.

- Wcale nie! Lubię rozmowy z bankierami.

Wicehrabia Trenton uważał rozmowy z bankierami i innymi ludźmi interesu za śmiertelnie nudne i unikał ich za wszelką cenę, wiedział jednak, że Ned Barraclough nie podziela jego opinii. I dobrze na tym wychodzi. Rodzina Barraclough była bardzo bogata, posiadała ogromne majątki ziemskie w Indiach Zachodnich, a także udziały w bankach i przedsiębiorstwach handlowych rozsianych po całym świecie. Edward Barraclough, choć pewnie nikt by się tego nie domyślił, znajdował upodobanie w pracy. Nie dość, że sprawował osobisty nadzór nad majątkiem całej rodziny, to znajdował czas na dzielenie się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych swym bogatym doświadczeniem w kontaktach z Ameryką. A najdziwniejsze, że w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało mu to prowadzić życia towarzyskiego. Był entuzjastycznie wittany wszędzie, gdzie tylko zechciał się pojawić. Jack Trenton go lubił.

Idąc teraz u boku Neda Clarges Street w stronę Grosvenor Square, spojrział na niego badawczo.

- Czy Louise również przebywa w mieście? - zapytał.

- A gdzie miałyby być? - odparł pan Barraclough. - Ona nienawidzi wsi. Chociaż ostatnio oświadczyła, że nie miałyby nic przeciwko wyprawie do Brighton.

- Zabierzesz ją tam?

- Mógłbym.

- Nie spuszczaaj z oka tego rajskiego ptaka, Ned - poradził Jack. - Oczywiście, jeśli ci na niej zależy. Louise Kerrall to

prześlizczne stworzenie. Masz szczęście, trafił ci się wyjątkowo łakomy kasek. Niejeden mężczyzna w Londynie chętnie by ci ją odebrał.

Zęby pana Barraclough błysnęły w drwiącym uśmiechu.

- Ty też do nich należysz, Jack? Nie radzę próbować. Nie zamierzam jeszcze pozwolić Louise odejść.

- Mną nie musisz się przejmować. Nie stać mnie na Louise. Zresztą ona na pewno jest wobec ciebie lojalna.

- Lojalna? - Uśmiech pana Barraclough zmienił się w cyniczny grymas. - Oddanie Louise jest wprost proporcjonalne do wartości ostatniej błyskotki, otrzymanej ode mnie. Szczególnie brylantów. Przepada za nimi. Nie przejmuj się, Jack. To nie lojalności oczekuję, gdy z nią przebywam.

- No myślę! - oświadczył Jack z pełnym zrozumieniem, bo stanęły mu przed oczami ciemne włosy Louise Kerrall, melancholijne spojrzenie ogromnych brązowych oczu, kremowa skóra, czerwone wargi i bujne kształty.

- Skoro nie zamierzasz mi odebrać kochanki, Jack, to zmieńmy temat. Powiedz, co cię zatrzymało w mieście.

Jack Trenton spochmurniał.

- W pewnym sensie również interesy. Miałem spotkanie z prawnikami.

- Czyżby ojciec wreszcie cię wydziedziczył?

- Nie. Wręcz przeciwnie. W końcu ustąpiłem i oświadczyłem się Cynthii Paston.

- Oświadczyłeś się, nieszczęśniku? A która to z Pastonówien? Ta z zębami czy ta z nosem?

- Ta z zębami i trzydziestoma tysiącami funtów posagu.

- Przyjęła cię?

- Oczywiście. Zapewne nie jestem szczególnie atrakcyj-

ny, natomiast mój tytuł to łakomy kasek. Pastonowie bardzo chcieliby mieć w rodzinie przyszlą hrabinę.

Pan Barraclough spojrzał na minę lorda Trentona i wybuchnął śmiechem.

- Widzę, że jesteś najszczęśliwszym z ludzi. Moje gratulacje.

- Dobrze ci się śmiać, Ned. Nikt cię nie zmusza do małżeństwa. Nikt ci nie wierci dziury w brzuchu, że jako jedyny syn masz obowiązek spłodzić dziedzica tytułu. W odróżnieniu od ciebie nie mam dwóch starszych braci.

- Już tylko jednego, Jack. Mój najstarszy brat zginął kilka miesięcy temu. Wraz z żoną. Myślałem, że o tym wiesz.

- Zapomniałem. Przepraszam, Ned.

- W porządku. Antigua leży bardzo daleko stąd. Dlaczego miałbyś o tym pamiętać?

- A jednak powinienem. To była katastrofa powozu, prawda? A drugi brat nadal przebywa w Indiach Zachodnich?

- W tej chwili nie. Oboje z Julią są już w drodze do Anglii i lada dzień powinni się tu zjawić.

- Długo zostaną?

- Do przyszłorocznego sezonu. Zabrali ze sobą córki naszego zmarłego brata. Starsza, Lisette, na wiosnę zostanie wprowadzona do towarzystwa. To śliczna dziewczyna, na pewno odniesie ogromny sukces. Ale nie czekam z niecierpliwością na ich przyjazd.

- Tak?

- Przepadam za bratem, Lisette i Jane są rozkoszne. Ale Julia, żona Henry'ego... Wierz mi, Jack, ona jest żywym dowodem, że mężczyzna nie powinien się żenić.

- No wiesz, stary, to niezbyt taktowne stwierdzenie.

- Dlaczego? Co w tym złego?

- To skrajnie nieuprzejme, jeśli wziąć pod uwagę, że ja właśnie kładę głowę pod topór.

- Dlaczego to robisz, skoro to dla ciebie takie straszne?

- Już ci powiedziałem. *Noblesse oblige* i tym podobne! Nie patrz tak na mnie, nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy cała rodzina powtarza ci w kółko o obowiązku, przedłużeniu linii i takich tam. W końcu się poddałem. To chyba wystarczający powód, żeby strzelić sobie kielicha.

- W takim razie chodźmy się napić - zaproponował pan Barraclough ze współczuciem. - Prawnicy mogą poczekać.

Lord Trenton spotkał u Whitea znajomych i tak skutecznie topił smutki w kieliszku, że pan Barraclough postanowił go zostawić pod ich opieką. Ruszył na piechotę do swego domu przy North Audley Street. Twarz chłodził przyjemny wietrzyk, a on z satysfakcją rozmyślał nad własnym szczęśliwym położeniem. Zbliżał się do trzydziestki, nadal był wolny i bogaty. Miał kochankę - spełnienie najskrytszych marzeń każdego mężczyzny - piękną, namiętną i chętną, a w dodatku, w odróżnieniu od żon, niczego od niego nieżądająca. Przychodził i odchodził, kiedy miał ochotę, i wiedział, że jeśli Louise mu się znudzi, bez trudu znajdzie sobie kogoś innego na jego miejsce.

Tak, jego życie układało się wyjątkowo korzystnie. W przeciwieństwie do biednego Trentona. Mógł - i zamierzał - pozostać w stanie wolnym, jak długo mu się spodoba.

Martwił go jedynie przyjazd bratowej. Zasepił się. Niestety, on i Julia serdecznie się nie znosili. Kiedy, ku jej rozczarowaniu, odziedziczył majątek po wuju, Julia nie czyniła sekretu ze swego przekonania, że powinien pozostać w Indiach Zachodnich, a nie podróżować dookoła świata. Jego późniejsza decy-

zja osiedlenia się w Anglii była kolejnym źródłem niezadowolenia bratowej. Ned podejrzewał, że prawdziwą przyczyną jej nieustających pretensji było to, iż on, w przeciwieństwie do swego biednego brata Henry'ego, nie zauważał jej.

Rozmyślał, przechodząc przez Berkeley Square i skręcając w Mount Street. Nic jej nie satysfakcjonowało. Nedowi nawet w głowie nie powstało zaniedbywanie obowiązków rodzinnych, chociaż stracił przez nie większą część sezonu łowieckiego i prawie cały londyński wiosenny sezon. Początkowo miała to być zwyczajna, krótka wizyta, przedłużyła się jednak na skutek serii katastrof. W ciągu jednej nocy jego dwie niepełnoletnie bratanice zostały sierotami i obu stryjów ustanowiono opiekunami prawnymi dziewczynek. Przede wszystkim należało zapewnić im bezpieczeństwo i w tej sprawie Ned zrobił nawet więcej, niż do niego należało. Teraz troska o dziewczynki spadła na Henry'ego i Julię.

Edward postanowił wynagrodzić sobie poświęcenia minionego roku i jak najszybciej wyjechać z Londynu. Najpierw spędzi kilka dni z Louise w Brighton, a potem będzie odwiedzać przyjaciół, którzy zapraszali go do swoich wiejskich rezydencji na ostatnie miesiące roku. A kiedy prowincja mu się znudzi, wróci do Londynu, żeby korzystać z uciech wielkiego miasta. To była bardzo pociągająca perspektywa. I w pełni zaśłużona, wbrew temu, co sądzi Julia.

Podniesiony tą myślą na duchu wbiegł do domu, wesoło skinął głową lokajowi, podając mu kapelusz i laskę, wszedł do holu i ruszył w stronę schodów. Nie zdążył jednak postawić stopy na pierwszym stopniu, kiedy zatrzymał go kamerdyner.

- Sir! Panie Barraclough! - Edward jeszcze nigdy nie widział Harbina tak wytrąconego z równowagi.

-O co chodzi?

- Ma pan gości, sir. - Harbin podsunął mu tacę, na której leżała karta wizytowa.

- Lady Penkridge... - przeczytał Edward. - Czego ona chce?

- Nie wiem, sir. Przyprowdziła ze sobą dwie młode osoby. Edward zmarszczył czoło.

- Chyba powinienem się z nią zobaczyć. Gdzie są?

- W bibliotece, sir. - Harbin otworzył drzwi biblioteki i zaanonsował chlebobawcę, po czym zniknął.

- Czekamy na ciebie od wieków! Gdzie byłeś?

Edward roześmiał się, porwał dziewczynkę na ręce i zakręcił się z nią dokoła.

- Nie spodziewałem się was tak prędko, Jane! Powinniście mnie uprzedzić. - Postawił ją i rozejrzał się po pokoju. Uniósł brwi na widok drugiej młodej osobki, uśmiechnął się i podszedł, żeby ją uściskać. - Lisette, mógłbym przysiąc, że jeszcze wyładniałaś. - Potem odwrócił się ku goszczącym w jego bibliotece kobietom. Pierwsza, cała w czerni, stała sztywno wyprostowana. Jej twarz wyrażała wieczne niezadowolenie, może przez nadaśane usta i haczykowaty nos. Miała na sobie praktyczny, zrudziały ze starości czarny strój i paskudny czepek, z którego sterczało coś na podobieństwo kolców jeżozwierz. To nie była lady Penkridge. Z ulgą przeniósł wzrok na drugą kobietę, która najwyraźniej nie mogła się już doczekać rozmowy z nim. - Lady Penkridge? Chyba się nigdy nie spotkaliśmy?

- Rzeczywiście, panie Barraclough. Jestem jednak dobrą znajomą pańskiego brata i jego żony.

- Henrygo?

- Tak. I kochanej Julii. Jestem jej wieloletnią przyjaciółką.

- Doprawdy? W takim razie miło mi zawrzeć z panią zna-



jomość, lady Penkrigde. Ale... nie całkiem rozumiem. Czy mój brat i jego żona nie przyjechali?

- Julia została na wyspie Antigua. Podobnie jak pański brat.

Edward patrzył na nią ze zdumieniem. Lady Penkrigde najwyraźniej delectowała się dramatyzmem sceny.

Wreszcie kiwnęła głową i dodała:

- Nie mogą podjąć podróży, panie Barraclough. Julia złamała nogę w przeddzień odpłynięcia statku i pan Henry Barraclough musiał zostać, żeby się nią opiekować.

Edward zaczął się dopytywać o szczegóły wypadku. Lady Penkrigde zdała mu relację, przerywaną często przez młodszą bratanicę, dla której te szczegóły były najwyraźniej bardziej interesujące niż zasmucające. Wniosek z opowieści nasuwał się sam. Musi minąć jeszcze sporo czasu, zanim Julia Barraclough będzie w stanie chodzić, a jeszcze więcej, nim będzie mogła myśleć o podróży do Anglii.

- Nadal jednak nie rozumiem - stwierdził w końcu oszłomiony Edward. - Co, w takim razie, robią w Londynie moje bratanice?

- Edwardzie, tylko nie mów, że nas tutaj nie chcesz. Byliśmy pewne, że ucieszysz się na nasz widok! - zawołała Jane.

- Cieszę się, skrzacie, naprawdę! - zapewnił ją Edward z uśmiechem. - Jestem tylko trochę zaskoczony. Co będziecie robić w Anglii bez ciotki?

- Wszystko zostało ustalone. Panna Froom będzie naszą guwernantką. A ty masz jechać z nami do Wychford, żeby się nami zaopiekować.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Edwarda.

- Co?!

Lady Penkrigde skarciła Jane wzrokiem i zmarszczyła brwi.

- Chciałabym, żebyś się nie odzywała, kiedy nikt cię nie pyta! Pozwól, że to ja przedstawię twojemu stryjowi fakty.

- Przydałoby się - mruknął Edward ponuro. - Na razie nie mogę uwierzyć własnym uszom.

- Przede wszystkim proszę pozwolić, panie Barraclough, przedstawić sobie pannę Froom.

Edward kochał bratanice i za nic nie chciał im sprawić przykrości. Jednak nie zamierzał rezygnować ze swoich planów na jesień po to, żeby się nimi zajmować, szczególnie na takim odludziu jak Wychford. Kiwnął więc tylko głową dragonowi w spódnicy i zwrócił się do lady Penkridge.

- Może panna Froom zabrałaby dzieci do salonu na czas pani wyjaśnień. Harbin na pewno czymś je poczęstuje.

Jane miała ochotę zaprotestować, ale wystarczyło jedno spojrzenie stryja, a obie z Lisette wyszły potulnie za panną Froom.

Edward zaczął mówić dopiero wtedy, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

- To z całą pewnością jakieś nieporozumienie. Musiałem się chyba przesłyszeć. Będę pani wielce zobowiązany, lady Penkridge, jeśli wytłumaczy mi pani wszystko dokładnie i po kolei.

Kobieta rozsiadła się wygodnie i przystąpiła do rzeczy.

- Może pan sobie wyobrazić, jakie zamieszanie spowodował niespodziewany wypadek Julii, do którego doszło tuż przed wyjściem statku z portu. Państwo Barraclough byli zrozpaczeni. Nie mogli całkowicie zmienić planów. A ponieważ ja wybierałam się do Anglii tym samym statkiem, zaofiarowałam się zabrać z sobą dziewczynki. Julia nie może opiekować się bratanicami męża, skoro nie jest w stanie chodzić. Uzgodnili-

śmy więc, że przywiozę dziewczynki do pana, a pan zaopiekuje się nimi, dopóki ich ciocia nie będzie zdolna do podróży.

Edward rozważał przez chwilę jej słowa.

- Sugeruje pani, że mam wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za bratanice? - zapytał, starannie wymawiając słowa. - Sam? Bez żadnego wsparcia ze strony brata i jego żony?

- Ma pan do pomocy pannę Froom.

- Pannę Froom! - Zapadła cisza, bo Edward starał się znaleźć słowa, które oddałyby w pełni jego uczucia, nie raniąc jednocześnie wrażliwych kobiecych uszu. Nie udało mu się.

Lady Penkridge postanowiła dodać mu otuchy.

- Julia cieszy się dobrym zdrowiem. Myślę, że noga szybko się zrośnie. Może nawet w ciągu sześciu, siedmiu tygodni.

- Sześć czy siedem tygodni! Tak długo?! - wrzasnął Edward. Uczucia wzięły górę nad dobrym wychowaniem. - To kawalerskie gospodarstwo, lady Penkridge. Do licha, nie mam warunków, żeby gościć tu Lisette i Jane przez choćby sześć dni, nie mówiąc o sześciu tygodniach. Odmawiam! Odmawiam, do cholery!

- Pańska bratowa żywiła poważne wątpliwości co do pańskiej gotowości przyjścia jej z pomocą, panie Barraclough - odparła chłodno lady Penkridge. - Przyznaję jednak, że jestem zaskoczona pańskim całkowitym brakiem współczucia. Nie ulega wątpliwości, że Lisette i Jane nie mogą tutaj zostać. Wynajęłam na koszt Julii apartament w hotelu Poultney. Pańskie bratanice będą przebywać tam pod opieką panny Froom, dopóki nie zorganizuje pan transportu do wiejskiej posiadłości, w której mają zamieszkać. Majątek nosi nazwę Wychford, o ile dobrze pamiętam.

- Tak, wiem. Wydzierzawiliśmy go na sześć miesięcy. Jest

położony na głuchej prowincji, ponad dwadzieścia mil od Londynu. Nie mogę spędzić jesieni w Wychford, mam inne plany. Przyjąłem już zaproszenia przyjaciół i nie zamierzam sprawić im zawodu. Musi pani zorganizować to jakoś inaczej, lady Penkridge.

- Ja, sir? Obawiam się, że to jakieś nieporozumienie. Przywiozłam dziewczynki do Anglii, żeby wyświadczyć grzeczność pana bratowej. Teraz jednak zamierzam zająć się własnymi sprawami. Jednak będzie pan zmuszony odwołać wcześniejsze zobowiązania. Za dwa dni opuszczam Londyn i jadę na północ.

Edward spojrział na nią wzrokiem bez wyrazu.

- Nie może pani - powiedział wreszcie.

- Mogę i wyjadę. Zgodziłam się przywieźć dziewczynki do Anglii i tu moja rola się kończy. Od tej chwili przejmuje pan całkowitą odpowiedzialność za bratanice, tak uzgodniłam z Julią.

- Całkowitą odpowiedzialność! No tak, to nawet podobne do Julii. Typowa dla niej paskudna zagrywka.

- Panie Barraclough! Czy pan jest kompletnie pozbawiony ludzkich uczuć? Pańska bratowa leży na łożu boleści...

- To drobiazg w porównaniu z tym, co mi zrobiła. A co na to Henry? Dlaczego nie wymyślił lepszego rozwiązania? Do licha, przecież jest opiekunem dziewczynek.

- Pańska brat bardziej przejmował się żoną, to oczywiste. Zresztą, o ile wiem, to obaj panowie zostali ustanowieni prawnymi opiekunami osieroconych bratanic.

- Istnieje jednak pomiędzy nami zasadnicza różnica: Henry jest żonaty, podczas gdy ja pozostałem kawalerem.

- Stąd właśnie obecność panny Froom, panie Barraclough. Na szczęście Julia już wcześniej zaangażowała ją listownie...

- Nie ma mowy o szczęściu w całej tej katastrofie - wymamrotał pod nosem Edward.

Lady Penkrigde zignorowała tę uwagę.

- Jestem pewna, że może jej pan spokojnie powierzyć dziewczętą. Przedstawiła doskonałe referencje. Panu pozostaje nie jedynie prowadzenie gospodarstwa w Wychford.

- Ale ja mieszkam w Londynie, do licha! - Edward ponownie podniósł głos. - Mam już plany na jesień! Dlaczego, do diabła, Henry zaakceptował ten poroniony pomysł? Niech on się tu pokaże! Gdyby nie był moim bratem, przysięgam, że wyzwiałbym go na pojedynek!

Lady Penkrigde wstała.

- Przykro mi, że w tak niegrzeczny sposób przyjął pan przekazane przeze mnie informacje, panie Barraclough - powiedziała lodowatym tonem. - Szczególnie że wyrażał pan swe uczucia, nie przebierając w słowach. Niestety, nic w tej sprawie nie mogę zrobić. Za dwa dni wyjeżdżam z Londynu. Proszę wykorzystać ten czas na przygotowania do podróży. A teraz, jeśli pan pozwoli, zabiorę dziewczętą do hotelu. Do widzenia.

Zebrała swoje rzeczy i stała sztywno wyprostowana, czekając, aż gospodarz wezwie kamerdynera, by ją odprowadził do wyjścia. Edward opanował się z największym trudem. Dla dobra dziewczynek nie powinien zrażać do siebie tej kobiety. Na wiosnę planowano wprowadzić Lisette do towarzystwa, a - o ile się nie mylił - lady Penkrigde miała znaczne wpływy w londyńskich wyższych sferach.

- Ma pani rację. Ja po prostu... Byłem trochę wytrącony z równowagi koniecznością opuszczenia przyjaciół i niedotrzymania wcześniejszych obietnic. Już nie mówiąc o porzuceniu Londynu i zakopaniu się przynajmniej na osiem czy

dziewięć tygodni na wsi, jedynie w towarzystwie bratanic i ich guwernantki. I to wszystko wydarzyło się w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin. - Odetchnął głęboko, by się uspokoić i zmusił się do uśmiechu. - Wyświadczyła nam pani ogromną grzeczność. Julia na pewno chciałaby, żebym okazał pani naszą wdzięczność. Czy mógłbym odwiedzić panią dzisiaj w hotelu Poultney? Chciałbym zaprosić panią wraz z bratanicami na kolację.

Urok Edwarda był, jak zwykle, nieodparty. Lady Penkridge nie była nań bardziej odporna niż wiele innych dam.

- Dziękuję - powiedziała znacznie cieplej. - Zgoda. Tak, dziewczynki na pewno się ucieszą. Ja również. O której?

Wieczorem Edward tak gorliwie starał się zatrzeć złe wrażenie, jakie zrobił na lady Penkridge, że dama zaczęła podejrzewać, iż Julia popełniła poważny błąd w ocenie swego szwagra. Rozstali się w jak najlepszej zgodzie i po dwóch wyczerpujących dniach przygotowań, spotkań i pisania listów z przeprosinami Edward wyprawił lady Penkridge na północ, a sam, w towarzystwie bratanic i panny Froom, wyruszył do Wychford.

Kiedy zostawili za sobą Londyn, Edward zauważył, że jego podły nastrój udzielił się towarzyszkom podróży. Lisette ze smutnym wyrazem twarzy wyglądała przez okno, panna Froom świdrowała wzrokiem Jane, którą robiła wrażenie zgnębitej. Edward zmobilizował się. To nie z ich winy został skazany na wygnanie. Biedne dziewczynki przeżyły w ubiegłym roku ciężkie chwile, najpierw tragiczny w skutkach wypadek rodziców, potem jeszcze tę historię z Lisette i Arandem. A teraz to...

- Pewnie chcielibyście dowiedzieć się czegoś o Wychford  
- zaczął.

- Czy ciocia Julia kupiła ten dwór? - zainteresowała się Jane.

- Nie bądź głupia - warknęła panna Froom. - Twoja ciotka wynajęła go za pośrednictwem agenta. Po co kupować dom, skoro macie w nim mieszkać tak krótko?

Edward przyjrzał się uważniej pannie Froom. Nie po raz pierwszy skarciła dziewczynkę bez powodu. Trzeba mieć ją na oku. Żywiołowa ciekawość świata stanowiła jedną z największych zalet Jane i nie zamierzał pozwolić, by guwernantka ją zdławiła. Uśmiechnął się ciepło do młodszej bratanicy i powiedział:

- Obawiam się, że żadna z was nie ma racji. To dłuższa historia.

Jane rozpromieniła się w jednej chwili.

- Opowiedz! Proszę, Edwardzie!

- Cóż, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy o Wychford, należał on do Thomasa Carstairsa. Był właścicielem plantacji w Indiach Zachodnich i przyjaźnił się z waszym dziadkiem. Jego żona także. Parę lat później, mniej więcej wtedy, kiedy ty się urodziłaś, Jane, pani Carstairs przyjechała zobaczyć się z nami już po śmierci męża. Obiecała wtedy waszemu ojcu, że pozwoli nam wszystkim zamieszkać u niej, w Wychford, kiedy ty i Lisette będziecie na tyle duże, by wybrać się do Anglii.

- Jak dobra wróżka!

- Coś w tym rodzaju. - Edward uśmiechnął się. - Chociaż wyglądała raczej jak zła czarownica niż dobra wróżka.

- Czy ona będzie tam teraz?

- Nie. Niedawno zmarła...

- I zostawiła nam dom!

- Niezupełnie.

- Jane, ile razy mam ci powtarzać, że nie wolno przerywać? I usiądź z powrotem na siedzeniu, z łaski swojej.

Edward poczuł przypływ irytacji. Jane stała, opierając się po części o niego, a po części o boczną ściankę powozu. To nie było bezpieczne i panna Froom miała rację, zwracając jej uwagę, ale on cieszył się, widząc bratanicę ożywioną jak dawniej. Znowu była sobą. Postanowił zignorować uwagę guwernantki i kontynuować opowieść.

- To nie byłoby w porządku. Wprawdzie pani Carstairs nie miała dzieci, jednak miała dalszą rodzinę. Zostawiła dom bratanicy.

- Bratanicy? Takiej jak my?

- Pani Carstairs miała prawie osiemdziesiąt lat i jej bratanica musi być znacznie starsza od was. Pewnie nawet starsza ode mnie.

- Spotkałeś ją?

- Nie, kontaktowałem się tylko z jej agentem, panem Waltersem. Pozwól mi jednak dokończyć tę historię. Kilkakrotnie odwiedzałem panią Carstairs w Wychford. Podczas ostatniej wizyty wspomniałem, że w przyszłym roku wybieracie się wszyscy do Anglii i wyobraź sobie, że ona pamiętała o danej twojemu ojcu obietnicy.

- Ale ona nie żyje!

- To prawda, zastrzegła jednak w testamencie, że Wychford ma być na sześć miesięcy oddane do dyspozycji rodziny Baraclough.

- To bardzo dziwny kodycył, Edwardzie - zauważyła Lisette.

- Pani Carstairs była bardzo dziwną starszą damą, ale ja ją lubiłem. - Zamilkł, wspominając ostatnie spotkanie ze starszką.

Siedziała w fotelu, owinięta w szale i bardzo już chora, lecz



jej czarne cygańskie oczy były przenikliwe i pełne życia. Wpatrywała się w niego badawczo, po czym podjęła decyzję.

- Nadajesz się! - orzekła. - Ten dom cię lubi i ona również cię polubi.

- Jaka „ona”? - zapytał ze zdumieniem.

- Nieważne! - powiedziała, po czym głośno zachichotała.

- Polubi cię. Tylko na pewno tu wróć! Wiem, że wrócisz.

Edwarda kusiło, żeby zlekceważyć bajdurzenia starszej pani, której życie dobiegało już końca, jednak te słowa wryły mu się w pamięć. Nagle uświadomił sobie, że właśnie wraca do Wychford, tak jak przewidziała...

W odległym o ponad trzydzieści mil Ashcombe również toczyła się rozmowa o pani Carstairs i jej domu - pomiędzy Rupertem, lordem Warnham a jego córką, lady Octavią Petrie. Było chłodno i dobiegający siedemdziesiątki lord Warnham szczerzej otulił ramiona szalem. Spojrzał na córkę ze zmarszczonym czołem.

- Żałuję, że ciotka Carstairs zapisała ci Wychford, Octavio - powiedział z typową dla niego delikatnością. - Czuję, że to będzie dla ciebie ciężkie brzemię.

- Zapewniam cię, papo, że nie uważam Wychford za ciężar.

- Jak to możliwe? Mówisz, że musisz tam jechać w przyszłym tygodniu na inspekcję. Jesteś gotowa narazić się na trudy długiej jazdy wiejskimi drogami tylko po to, żeby rzucić okiem na dom, w którym i tak przecież nie zamieszkasz. Oczywiście, że to brzemię. Twoja ciotka nie powinna była tego robić. Gdyby skonsultowała się ze mną, zdecydowanie bym jej to odradził. Nie pomyślała, ile będziesz miała kłopotów z takim domem.

- To dla mnie żaden kłopot, papo! Jestem szczęśliwa, że zostałam właścicielką Wychford.

- Ale przecież nie możesz go zatrzymać. Nie masz pojęcia, co to znaczy mieć na głowie taki wielki dom.

- Przecież mam na głowie ten dom.

- To całkiem inna sprawa, kochanie. To twój dom rodzinny i pozostajesz pod moją opieką.

Octavia pozwoliła sobie na lekki uśmieszek. Owszem, Ashcombe było jej rodzinnym domem, ale spośród nich dwojga to właśnie ojciec wymagał opieki. Zamartwiał się nawet drobiazgami. Bardzo kochała ojca, ale chronienie go przed niepotrzebnymi troskami męczyło ją znacznie bardziej niż prowadzenie największego choćby domu. Zaczęła go uspokajać.

- Wychford nie będzie mi sprawiało kłopotów, papo. Tylko pomyśl. Rodzina Barraclough wynajęła dom na sześć miesięcy, zgodnie z ostatnią wolą cioci Carstairs. Umowa została podpisana i przypieczętowana. Wszystkim zajął się pan Walters, ja nie miałam tam dotychczas nic do roboty.

- Walters to przyzwoity człowiek. I ma głowę do interesów. Zrobił jedynie to, co do niego należało. Załatwianie takich spraw, jak umowy handlowe to nie na kobiecą głowę. Ciotka Carstairs powinna zapisać swój dom komu innemu. Zostań lepiej ze mną i zostaw wszystko na głowie Waltersa.

Octavia uśmiechnęła się. Pomyślała, że ojciec jest jedyny w swoim rodzaju. Chyba żaden inny rodzic nie zamartwiałby się, że najmłodsze z jego ośmiorga dzieci, dwudziestodwuletnia, niezamężna córka, odziedziczyło po matce chrzestnej olbrzymi majątek ziemski oraz dom. Niechęć lorda Warnhama do wszystkiego, co zagrażało codziennej rutynie, czyniła go ślepym na korzyści płynące z otrzymania tak wspaniałego spadku. Octavia powiedziała stanowczo:

- Nie jestem już taka młoda, tato. Wiosną skończę dwa-

dzieńca trzy lata. I naprawdę nie uważam zwyczajnej wizyty w Wychford za brzemię ponad moje siły. Chciałabym tylko obejrzeć dom, zanim zamieszka w nim rodzina Barraclough. To zajmie mi jeden dzień.

- Jeden dzień? To przecież ponad dziesięć mil! Nie powinnaś podejmować takiego ryzyka.

- Piętnaście mil, nie dziesięć, ale wieczory są jeszcze jasne, a drogi dobre...

- Chcesz odbyć trzydziestomilową podróż w ciągu jednego dnia?! Nie chcę o tym słyszeć! Nawet w zamkniętym powozie...

- Wezmę gig. Lubię sama powozić. Oczywiście, Will Gifford może mi towarzyszyć.

To stwierdzenie tak wstrząsnęło hrabią, że Octavia musiała uspokajać go przez kilka minut, wykorzystując wszystkie zasoby zręczności i cierpliwości, zanim wreszcie przyjął do wiadomości, że zostanie przez nią opuszczony.

- Pewnie musisz jechać, ale będę bardzo za tobą tęsknił - rzekł smutno.

- Nie przypuszczam, papo. Zapomniałeś, że jutro przyjeżdża kuzynka Marjorie? Przecież ją lubisz, prawda?

- To naprawdę bardzo miła osóbką, a w wista i *cribbage* gra lepiej od ciebie. Chyba zdajesz sobie sprawę, kochanie, że bywasz niekiedy zbyt niecierpliwa. Tak, lubię Marjorie. - Hrabia westchnął, po czym dodał: - Widzę, że jesteś zdecydowana na tę eskapadę, Octavio, więc nie będę już nic mówił na ten temat. Naprawdę żałuję, że pani Carstairs zapisała ci ten dom. Nie potrafię pojąć, dlaczego to zrobiła.

- Ani ja, papo. Chociaż... kiedy była u nas po raz ostatni, powiedziała, że Wychford by mnie polubiło.

- Wychford by ciebie polubiło? Dom, który kogoś lubi? Co za dziwaczne sformułowanie! Zresztą niejednokrotnie zaska-

kiwały mnie jej słowa. Zupełnie nie przypominała twojej drogiej matki.

- To prawda! Harry i ja trochę się jej baliśmy w dzieciństwie. Nazywaliśmy ją Czarownicą z Wychford. Poznałam ją bliżej, kiedy była u nas wiosną, niedługo przed śmiercią. Ona... ona zdawała się rozumieć...

Octavia zamilkła. To prawda, że przyrodnia siostra jej matki miała w sobie coś z czarownicy. Ona jedna z całej rodziny wyczuła, choć nigdy na ten temat nie rozmawiały, rosnący niepokój Octavii i jej znużenie życiem w Ashcombe. Dziewczyna nie raz i nie dwa czuła na sobie uporczywe spojrzenie czarnych cygańskich oczu i zastanawiała się, o czym starsza pani myśli. Nigdy nie wpadło jej do głowy, że matka chrzestna pozostawi jej Wychford.

- Rozumieć? A co tu jest do rozumienia?

- Nic, papo. Kompletnie nic.

- Bardzo dziwna osoba. Dlaczego zapisała ci swój dom? - Najwyraźniej nadal próbował to pojąć. - Po co ci dom? Przecież jesteś całkiem zadowolona z życia tutaj.

Octavia bardzo chciała mu wyznać: „Nudzę się, tato! Chwilami boję się, że zwariuję z nudy!”.

Była jednak dobrą dziewczyną i szczerze kochała ojca, powiedziała więc tylko:

- Oczywiście. Nie zamierzam przenosić się na stałe do Wychford. Zresztą nie mogłabym. Rodzina Barraclough obejmie dom za kilka tygodni.

- Kim oni są? Czy ja ich znam?

- Stary pan Barraclough przyjaźnił się z wujem Carstairssem. Poznali się w Indiach Zachodnich. Obaj już nie żyją, oczywiście, ale potomkowie pana Barraclough mają córki, które za debiutują w londyńskim towarzystwie.

- To jakaś dziwna umowa, choć ci Barraclough wydają się szacownymi ludźmi.

- Są niezwykle szacowni. Pan Walters zebrał niezwykle korzystne opinie na temat ich pozycji, a jeden z Barraclough jest obecnie doradcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Prawdopodobnie się z nimi nie spotkam. A już na pewno nie teraz, bo jeszcze ich tam nie będzie.

- Cóż, chyba musisz pojechać. Postaram się jakoś sobie poradzić z Marjorie.

Octavia roześmiała się, słysząc ton rezygnacji w głosie ojca.

- Poradzisz sobie doskonale.

- Dopilnuj, żeby dostała sypialnię z gobelinami. Najbardziej jej lubi.

- To prawda. Spała tam podczas wszystkich wizyt, jakie nam składała w ciągu minionych dwudziestu lat. - Octavia pokręciła głową, udając bardzo urażoną. - Doprawdy, papo! Za kogo ty mnie uważasz? Pokój jest gotowy od dwóch dni. Brakuje tylko świeżych kwiatów, które każę tam zanieść jutro, tuż przed jej przyjazdem.

- I gorąca cegła do łóżka, Octavio! Przypomnij gospodyni, że łóżko ma być należycie przewietrzane i ogrzane.

- Nie zamierzam o tym przypominać. Nie chciałabym obrazić pani Dewey. O ile ją znam, to w łóżku już leży gorąca cegła, a jutro znajdzie się tam następna. Bądź spokojny.

Kiedy ojciec ułożył się do popołudniowej drzemki, Octavia przebrała się i poszła do stajni. Wzięła klacz i w towarzystwie stajennego, Willa Gifforda, wybrała się na przejażdżkę po polach. Dobry galop miał moc odpędzania od niej zniecierpliwienia, nudy, a nawet zmęczenia, które coraz bardziej dawały się jej we znaki. Bardzo kochała ojca, ale chwilami

ogarniało ją nieodpartą pragnienie, żeby wyrwać się z domu. To, że sama zastawiła na siebie tę pułapkę, że z własnej woli została w Ashcombe, było marną pociechą. Czy byłaby w stanie go zostawić?

Nie mogła się już doczekać przyszłego tygodnia, kiedy po raz pierwszy zobaczy Wychford. Poweselała. Z równą niecierpliwością wyglądała odwiedzin kuzynki. Marjorie należała, co prawda, do starszego pokolenia, ale nadal była młoda duchem i potrafiła doskonale słuchać.

Kuzynka Marjorie, lady Dorney, była wdową i mieszkała w ogromnej posiadłości, będącej obecnie we władaniu jej syna. Przyjaźniła się od dawna z lordem Warnhamem i po śmierci męża, czyli od roku czy dwóch, często gościła w Ashcombe. Godzinami plotkowała z ojcem Octavii o członkach rodziny bądź grała w tryktraka, wista czy inną z jego ulubionych gier. Lord Warnham lubił jej towarzystwo i jej wizyty nieodmiennie sprawiały mu radość. Octavia bez skrupułów zostawiała ojca pod jej opieką.

Następnego dnia lady Dorney przybyła akurat w czasie popołudniowej drzemki lorda Warnhama, więc Octavia, po serdecznym powitaniu, zabrała ją do swojego saloniku. Przez chwilę wymieniały ploteczki o obu rodzinach, po czym lady Dorney powiedziała:

- Nie najlepiej wyglądasz, Octavio. Co się dzieje? Chodzi o ten dom, który zapisała ci siostra twojej matki? Wychford?

-I ty też?!

Lady Dorney uniosła brwi, słysząc desperację w głosie Octavii.

- Papa żałuje, że w ogóle dostałam ten dom. Uważa, iż to

dla mnie zbyt wielka odpowiedzialność. Nie mów, że jesteś tego samego zdania.

Lady Dorney roześmiała się.

- Chyba nie jestem tak oderwana od rzeczywistości, jak twój ojciec. Nie, ja cieszę się wraz z tobą. Jeżeli nie chodzi o Wychford, to dlaczego jesteś taka nieswoja? Wyraźnie wyczuwam w tobie napięcie.

- Miałam nadzieję, że uda mi się to ukryć.

- Może przed innymi, lecz ja zbyt dobrze cię znam. O co chodzi?

- Masz rację, chodzi o dom - odparła Octavia po chwili wahania. - Kiedy po raz pierwszy się o nim dowiedziałam, wydawało mi się, że pojawiła się przede mną szansa ucieczki. Wkrótce jednak zrozumiałam, że nie mogę z niej skorzystać.

- Wcale się nie dziwię, że masz ochotę stąd uciec. Życie w Ashcombe nie zaspokaja potrzeb młodej, ładnej dziewczyny. Już parę lat temu powinnaś wyjść za męża. Nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłaś.

- To proste. Nie spotkałam nikogo, kogo chciałabym za męża!

- Nigdy nie byłaś zakochana?

- Właściwie nie.

- Nigdy?

Octavia uśmiechnęła się.

- Kiedyś, dawno temu sądziłam, że jestem zakochana. W niezwykle przystojnym, młodym żołnierzu. Nazywał się Tom Payne i był wysokim, niebieskookim blondynem, bardzo dowcipnym i pogodnym. Przyjechał tu na przepustkę z moim bratem w lecie tysiąc osiemset dwunastego roku i tak się razem ze Stephenem wygłupiali, że przez te dwa tygodnie śmiałam się chyba bez przerwy. Nigdy tego nie zapomnę.

- Nie tak wyobrażam sobie wielki romans. Kochał się w tobie?

- Oczywiście, że nie. Miałam dopiero czternaście lat i taka myśl pewnie mu nawet nie przyszła do głowy. Gdyby pozostał przy życiu... moglibyśmy spotkać się znowu...

- Zginął?

- Pod Waterloo. Obaj tam zginęli. On i Stephen, razem. - Milczała przez chwilę, po czym podjęła opowieść. - Przebolełam to. Znajomość była zbyt krótka, a ja za młoda, by mieć złamane serce. Kiedy przyszedł czas mojego londyńskiego debiutu, nie otrzymałam takiej propozycji małżeństwa, którą byłabym skłonna przyjąć.

- No nie! Na pewno mogłaś przebierać. Nie dość, że jesteś ładna i bogata, to jeszcze spowinowacona z połową najlepszych rodzin w Anglii. Musiałaś wzbudzić zainteresowanie wielu odpowiednich młodych ludzi.

- Może i tak, lecz żaden z nich nie wzbudził mojego zainteresowania.

- A na pewno nie chodzi o Toma Payne'a?

- Nie, choć on stanowił ucieleśnienie mojego ideału męskiej urody: niebieskooki blondyn z poczuciem humoru. Nikt inny nie dorastał mu do pięt. W porównaniu z Tomem wszyscy wydawali mi się tacy nudni. Nie mogłam sobie wyobrazić, że spędzę z którymś z nich resztę życia. Londyn zrobił na mnie wrażenie hałaśliwego, brudnego i... pełnego skandali...

- A potem umarła twoja mama i opuściłaś stolicę.

- Bez cienia żalu.

- Postanowiłaś pozostać w Ashcombe i zapomnieć o małżeństwie do czasu, gdy twój ojciec będzie mógł obywać się bez ciebie. Nie wiem, czy pamiętasz, ale od razu ci mówiłam, że popełniasz błąd.



- Przecież nie miałam wyboru. Harry służył już wówczas w wojsku i nie mógł zostać z ojcem, a reszta rodzeństwa pozakładała rodziny i zamieszkała gdzie indziej. Papa musiałby wyprowadzić się z domu i przenieść do któregoś z nich, a przecież wiesz, jak on nienawidzi zmian. Nawet po śmierci dziadka nie zgodził się osiaść w Warnham Castle.

- I dlatego rodową siedzibę objął twój brat, Arthur. Zresztą muszę przyznać, że Warnham Castle bardziej pasuje do Arthura. Co u niego?

- Nic nowego. Nadęty, uparty i nudny. Sarah znowu spodziewa się dziecka i Arthur nie traci nadziei, że w końcu дочека się syna.

- A ile już mają córek?

- Cztery.

- Biedna ta jego żona. Mogę zrozumieć, dlaczego twój ojciec nie chce słyszeć o zamieszkaniu z Arthurem. Nie pojmuję jednak, dlaczego ty musiałaś się poświęcić?

- Zapewniam, że to nie było żadne poświęcenie z mojej strony. Wtedy. Bo teraz... czuję się jak w więzieniu! - Roześmiała się z przymusem. - Czasami wpadam w rozpacz.

- Musisz się stąd wyrwać na jakiś czas. Może odwiedziłaś jedną z sióstr?

- Co? Żeby niańczyć ich dzieci zamiast oj... - Urwała i dodała: - Zamiast prowadzić dla ojca gospodarstwo w Ashcombe? Tutaj przynajmniej odpowiadam jedynie przed nim. Z twoją pomocą mogłabym zrobić sobie krótkie wakacje... tylko jedenaście czy dwanaście godzin. - Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Zatrzymała się i rzuciła z gestem zniecierpliwienia: - Nie zwracaj na mnie uwagi, proszę! Nikt mnie nie zmuszał do pozostania tutaj. To był mój wybór. Małżeństwo nie jest drogą ucieczki. Kiedy przyglądam się mężom

moich sióstr, dochodzę do wniosku, że to zamiana jednej nudy na drugą.

- Nie spotkałaś jeszcze odpowiedniego mężczyzny - orzekła lady Dorney. - Wtedy wszystko się zmieni, zobaczysz.

- To romantyczne bzdury. Jako czternastolatka mogłam jeszcze wierzyć w bajki, ale w wieku dwudziestu dwóch lat odłożyłam je do lamusa. Kiedy nie będę musiała opiekować się ojcem, zmienię się w zdziwaczalą starą pannę i zamieszkałam w Wychford z mopsem i ubogą rezydentką, a dzieci będą mnie uważały za czarownicę, tak jak ja ciocię Carstairs.

- Ona rzeczywiście roztaczała wokół siebie taką aurę. Miała taki sposób spoglądania na człowieka... Tylko raz się z nią spotkałam, ale odniosłam dziwne wrażenie, że ona zna moje myśli, zanim jeszcze narodziły się w mojej głowie. Jak wygląda Wychford?

- Nigdy go nie widziałam. Nikogo z nas nie zapraszała do siebie, była odludkiem. W przyszłą środę wybieram się tam po raz pierwszy. Cieszę się, że będziesz mogła zostać z papą. Wiem, jakie to może być nużące...

Lady Dorney spojrzała na Octavię ze zdumieniem.

- Mylisz się, moja droga. Zrobię to z przyjemnością. - Roześmiała się na widok miny Octavii. - Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Mówię serio. Uwielbiam opiekować się innymi, szczególnie ludźmi o tak dobrym charakterze, tak delikatnymi z natury, jak twój ojciec.

- Naprawdę?

- Po śmierci Dorneya w moim życiu powstała pustka, czasami nie wiem, co mam z sobą zrobić. Pobyt tutaj to dla mnie prawdziwa radość. Z przyjemnością dotrzymam twojemu ojcu towarzystwa nawet dłużej niż przez jeden dzień. Powiedz mi, jak zamierzasz podróżować? Czy daleko stąd do Wychford?

I co wiesz o tych Barraclough? Może jest wśród nich czarujący młody blondyn z niebieskimi oczami, który będzie umiał cię „rozbawić“?

Octavia wybuchnęła śmiechem.

- Oby! Jeśli wierzyć opinii pana Waltersa, Barraclough to bardzo poważna, uczciwa i wysoce szacowna rodzina. Ponieważ mowa była jedynie o dwóch córkach, obawiam się, że dla mnie nic z tego nie wyniknie. Zresztą, nie spotkam żadnego z nich, bo jeszcze nie przyjechali. Spodziewani są w Wychford dopiero w przyszłym tygodniu.

W tym samym czasie „poważny, uczciwy i wysoce szacowny” pan Barraclough znajdował się w odległości trzech mil od Wychford. Z ponurą miną wysiadł z przechylonego na bok powozu, obejrzał złamaną oś w jednym z kół i zaklął, a właściwie puścił misterną wiązaną soczystych przekleństw. Trzy głowy wychyliły się z okna powozu - jedna z zainteresowaniem, druga ze zdenerwowaniem, a trzecia, odziana w czarny czepiec, z oburzeniem.

- Panie Barraclough! Sir! Pan się zapomina! - warknął surowo czarny czepiec. - Lisette! Jane! Proszę natychmiast usiąść i zakryć uszy rękami.

- Niech im pani raczej każe wysiąść, panno Froom. I to cholernie szybko - poradził Edward z brutalną szczerością. - Powóz może w każdej chwili przewrócić się na bok. Z wami w środku.

- Ale na drodze jest błoto!

- Lepsze zabłocone buty niż posiniaczone tyłki. Wysiadać! Ty pierwsza, Jane - polecił Edward i, nie zważając na oburzenie guwernantki, wyciągnął najmłodszą z podróżniczek i postawił na suchym poboczu. - Teraz ty, Lisette. Bez ociągania,

przy mnie jesteś całkowicie bezpieczna. - Lisette została uniesiona w górę i postawiona obok siostry. - Panno Froom?

- Dziękuję, panie Barraclough, wysiadę sama - oświadczyła dostojnie guwernantka.

- Jak pani sobie życzy - powiedział Edward zjadliwym tonem. Kiedy panna Froom wylądowała w samym środku błotnistej kałuży i poślizgnęła się, podtrzymał ją jednak, żeby nie upadła, złapał w pasie i postawił na poboczu obok dziewczynek. Stała tam, wyprostowana, jakby kij połknęła, sapiąc z oburzenia.

Zostawił ją i podszedł do powozu, żeby ocenić zniszczenia. Jane skorzystała z okazji, wdrapała się na najbliższe drzewo i usiadła na gałęzi. Kiedy Lisette podniosła wzrok i zobaczyła siostrę, uśmiechnęła się, natomiast panna Froom zaczęła krzyczeć.

- Co ty wyprawiasz, pannico? Zejdz w tej chwili! Zejdz, powiedziałam! Panie Barraclough, proszę kazać temu dziecku zejść z drzewa. Niech pan na nią spojrzy! Muszę zaprotestować...

- Niech pani protestuje, ile tylko pani zechce, panno Froom, ale nic pani z tego nie przyjdzie - stwierdził Edward ze zniecierpliwieniem. - Mam w tej chwili pilniejsze sprawy niż wysłuchiwanie pani pretensji. Jeśli nie panuje pani nad dzieckiem, to niech je pani zostawi w spokoju. Nic jej tam nie grozi.

- Po czym odwrócił się od guwernantki i zawołał stangreta: - Jem! Gdzie jesteś, do licha? Jak to wygląda?

Czerwona ze złości panna Froom odetchnęła głęboko, wydeła z oburzeniem usta i przysiadła na leżącej w pobliżu kłodzie.

- Usiądź przy mnie, Lisette - poleciła - i przestań się tak głupawo uśmiechać. Nie uważam nieposłuszeństwa twojej siostry za zabawne.

- Ona wcale nie zamierzała być nieposłuszna, panno Froom - wyjaśniła skwapliwie Lisette. - Jane zawsze stara się wspiąć jak najwyżej. Uwielbia patrzeć na świat z góry. Papa nazywał ją swoją małą małpeczką... Ona... zawsze go bawiła...

- Możliwe, ale jeśli ja mam ponosić za nią odpowiedzialność, to będzie musiała zachowywać się jak młoda dama, a nie jak małpka ulicznego kuglarza! Moja poprzednia podopieczna, lady Araminta, była młodsza od Jane, kiedy zaczęłam ją uczyć. Nigdy nie widziałam jej na drzewie, była doskonale wychowana. Podobnie jak jej rodzeństwo. Markiza, ich matka...

Obie dziewczynki westchnęły. Znały pannę Froom dopiero od trzech dni, a zdążyły już wysłuchać znacznie więcej opowieści o markizie Ledbury i jej idealnej rodzinie, niż by sobie życzyły.

Wyczerpawszy temat Ledburych, panna Froom zwróciła się do Lisette.

- Próbuj zachowywać się jak dama, Lisette. Ustaw stopy razem i siedź prosto. Tak lepiej. A teraz wymień w porządku chronologicznym królów i królowe Anglii. Nie musimy marnować czasu podczas tej przymusowej przerwy w podróży.

-Ja... ja nie wiem.

- Nie wiesz?!,

- Nie... nie w porządku chronologicznym.

- Wilhelm Zdobywca - krzyknęła Jane - przeszył strzałą oko Harolda!

Panna Froom zignorowała ją zupełnie.

- W takim razie musisz się tego nauczyć. A co powiesz o prorokach ze Starego Testamentu?

- O prorokach? No więc... J... Jeremiasz...

- W porządku chronologicznym, jeśli łaska!

- Ja... tak nie umiem, panno Froom. Mama nas tak nie uczyła.

- Rozumiem. - Ton panny Froom świadczył niezbicie, że nie była najlepszego zdania o metodach stosowanych przez mamę dziewczynek.

- Lekcje były bardzo zabawne, ale i pouczające! - dobiegł gniewny głosik z góry.

- Moje metody nauczania służą zdobywaniu wiedzy, a nie dostarczaniu rozrywki - oświadczyła chłodno panna Froom.

- Lady Ledbury w pełni je aprobowała. Lady Araminta potrafiła w wieku dziesięciu lat wyrecytować...

- Ta lady Araminta wydaje mi się śmiertelnie nudna - wtrąciła buntowniczo Jane. - Podobnie jak markiza Ledbury.

- Co ty powiedziałaś, Jane?!

- Proszę spojrzeć, panno Froom! Idzie Edward! Pewnie powóz już gotowy! - zawołała pospiesznie Lisette. - Zejdź na dół, Jane.

Pan Barraclough zawiadomił, że oś została wymieniona, mogą więc ruszać w drogę, a do Wychford pozostały już tylko trzy mile.

- Wsiadajcie do powozu. Panno Froom?

Znowu się usadowiły. Zapadło ciężkie milczenie. Pan Barraclough rzucił ostre spojrzenie na zaciśnięte usta guwernantki, po czym przeniósł wzrok na młodszą bratanicę.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Jane jest okropnie niegrzeczna, niezdyscyplinowana i źle wychowana - odparła lodowatym tonem panna Froom.

Jane wyprostowała się z wyrazem buntu na twarzy, a Lisette położyła jej uspokajająco rękę na ramieniu.

- Ona jest po prostu zmęczona, Edwardzie. To był długi dzień. Na pewno jest jej przykro. Proszę jej wybaczyć, panno Froom.

Zapadła cisza.

- Panno Froom? - zapytał pan Barraclough.

- Nie chodzi o mnie, choć nie przywykłam do takiego traktowania - oświadczyła wyniośle guwernantka. - Kiedy głupia dziewczynka ośmiela się krytykować takich ludzi, jak rodzina markiza Ledbury, rodzina o kilkusetletniej historii...

Pan Barraclough również miał już powyżej uszu opowieści o Ledburych. Jego zdaniem markiza powinna nieco mniej uwagi poświęcać dzieciom, a więcej mężowi. Romanse Ledbury'ego dostarczały od lat tematów do plotek całemu Londynowi.

- Tak, to bez sensu - powiedział jednak. - Nie powinna się pani tym przejmować, panno Froom. A ty, Jane, postaraj się w przyszłości trochę powściągnąć język. O, spójrzcie, wi-dać już dom!

## Rozdział drugi

Minęli bramę. Przed nimi ciągnęła się długa aleja dojazdowa, biegnąca dookoła jeziora. Jane wychyliła się przez okno i pisnęła z podniecenia.

- Widzę, Edwardzie! Jest śliczny. Ma takie śmieszne, małe okienka. I spójrz - kominy zupełnie jak jęczmienne paluszki. I wieża! Mogę dostać pokój w wieży? Proszę, pozwól mi mieszkać w wieży.

Lisette też się rozejrzała.

- Jakie piękne barwy o zachodzie słońca - zachwyciła się.  
- Popatrzcie na te drzewa. Zielone, szkarłatne, brązowe, złote - są wspaniałe! Chyba nam się tu spodoba. Jak pani sądzi, panno Froom?

Panna Froom nadal była w złym humorze. Zerknęła na dom z ukosa.

- Wątpię, żeby mi się tu spodobało - oświadczyła ponuro. - Znam takie stare domostwa, choć nigdy dotychczas nie musiałam w nich mieszkać. Są ciemne, wilgotne i pełne przeciągów. - Spojrzała z dezaprobatą na lekką, płócienną spódniczkę Jane i jej potargane loki, a potem przeniosła wzrok na Lisette i zmarszczy-



ła czoło. - Widzę, że czeka mnie mnóstwo pracy, zanim osiągnę standardy, jakich oczekuję od swoich uczniów.

Pan Barraclough dostrzegł, jak wyraz radosnego podniecenia znika powoli z buzi Jane. Zauważył również chmurne spojrzenie Lisette i oświadczył nagle:

- Żałuję, że perspektywa nauczania moich bratanic wydaje się pani taka przykra, panno Froom. Przeżyły... wszyscy ostatnio przeżyliśmy ciężkie chwile. Została pani zaangażowana jako ich nauczycielka, miałem jednak nadzieję, że przynajmniej do czasu przyjazdu ich stryjostwa z Indii Zachodnich będzie pani dbała również o ich rozrywkę i zadowolenie.

- Szczęście osiąga się poprzez dyscyplinę i ciężką pracę, sir - pouczyła go panna Froom. - To zawsze była moja filozofia i dzieci dobrze na tym wychodziły.

Pan Barraclough przyjrzał się guwernantce z chmurną miną, ale się nie odezwał, dopóki powóz nie zatrzymał się u stóp szerokich schodów, wiodących do masywnych dębowych drzwi. Wprowadził dziewczynki i ich guwernantkę do obszernego holu z kamienną podłogą, gdzie powitała ich gospodyni, pani Dutton.

Zabrała panienki i pannę Froom, żeby pokazać im dwór, a Edward poszedł do biblioteki. Wkrótce dziewczynki przyłączyły się do niego.

- Co tak szybko? - zapytał. - Gdzie panna Froom?

- Powiedziała, że chce się położyć - wyjaśniła Lisette. - Mówi, że rozboleła ją głowa.

Jane podbiegła do stryja i złapała go za rękę.

- Edwardzie, błagam, odeślij ją! Nie cierpię jej! Jest okropna! - prosiła rozpaczliwie.

- A to co? Znowu byłaś niegrzeczna dla panny Froom? - zapytał Edward surowo.

- Zasłużyła sobie. Oznajmiła, że mam spać w ciasnej klitce obok jej pokoju, bo chce mnie mieć na oku. A ja sobie wybrałam mały pokój narożny, ten w wieży. Dlaczego nie mogę spać w wieży?

- To nie moja sprawa, Jane, ale nie wydaje mi się, żeby to był powód do kolejnego pokazu arogancji.

- To nie było tak! Wcale tak nie było! Ona jest... jest okrutna! - Jane rzuciła się na kanapę i zanosła płaczem.

Edward zaklął pod nosem i z marsową miną przyglądał się Lisette, która objęła siostrę i zaczęła ją pocieszać. Za jakie grzechy, do licha, spotkało go coś takiego? Chwalił się zawsze, że potrafi poradzić sobie z każdą kobietą w każdej sytuacji. Tymczasem był bezradny wobec tej małej, zmęczonej, zagubionej dziewczynki. Przeklęta Julia! Dlaczego akurat teraz musiała złamać nogę? I co strzeliło Henry'emu do głowy, żeby przysyłać dziewczynki do Anglii? Patrzył na bratanice i coraz bardziej łagodniał. Z westchnieniem rezygnacji usiadł przy nich.

- O co poszło, Lisette? Czy panna Froom naprawdę była taka przykra?

- Niestety, tak - potwierdziła Lisette spokojnie. - Panna Froom nie należy do osób dobrych. Kiedy zabroniła Jane zamieszkać w wieży, Jane zawołała ze złością, że mama na pewno by jej pozwoliła. Panna Froom oświadczyła, że nie ma co do tego wątpliwości, i dodała, że Jane jest zepsutym, rozpuszczonym bachorem i im szybciej zrozumie, kto tu teraz rządzi, tym lepiej.

- Panna Froom jest pewnie zmęczona podróżą. Jane potrafi być diabelnie męcząca...

- To jeszcze nie wszystko, Edwardzie. Ona powiedziała również, że nasza mama umarła i już nie wtioci. A jeśli Jane

będzie taką niegrzeczną dziewczynką, to nie pójdzie do nieba i nigdy nie zobaczy mamy.

- Co powiedziała?!

- Że mama umarła... To, oczywiście, prawda, ale jednak okrutna.

- To mi wystarczy. Wasza ciotka i ja popełniliśmy błąd. Zabierz Jane do pokoju śniadaniowego, Lisette, i zostań tam z nią. Pokojówka poda wam coś do picia. Możecie nie przejmować się już panną Froom - oznajmił Edward i ruszył do drzwi.

- Co zamierzasz zrobić?

- Jeszcze nie wyprzęgnięto koni z powozu. Odwiozę ją do Kingston, skąd jutro będzie mogła odjechać do Londynu.

- Nie, Edwardzie, nie możesz odsyłać jej w nocy.

- Mogę i odeśle! Wyrzucę tę kobietę z domu, zanim znowu powie coś podłego!

- Nie, nie możesz. Jest za późno. Nie wolno ci zostawiać jej samej w gospodzie. Musisz pozwolić jej spędzić tę noc tutaj. Odeślesz ją rano.

- Jesteś taka sama jak twoja matka, masz zbyt miękkie serce, dziewczyno.

- Proszę, Edwardzie. Panna Froom nie jest dobrym człowiekiem, ale to nie powód, żebyśmy zachowywali się tak samo jak ona.

Edward miał ochotę odmówić, ale spojrzał na twarz Lisette i zmiękł.

- Dobrze więc - przystał niechętnie. - Może tu spędzić noc. A teraz wyjdźcie. Chcę porozmawiać z panną Froom.

Panna Froom odjechała rano z nadąsaną miną, miesięczną pensją i starannie zredagowanym listem do agencji. Jane skakała pod niebo z radości, ale jej stryj nie był szczęśliwy.

- Skończ z tym tańcem zwycięstwa, trzeba pomyśleć, co dalej. Kto teraz, po wyjeździe panny Froom, będzie się wami opiekował? Nie mogę zostawić was tu samych, a od czasu do czasu muszę bywać w Londynie.

- Żeby spotykać się z tą panią?

Edward zaczerwienił się z gniewu. W gorączkowym rozgardiaszu ostatnich dni doszło do pewnego niefortunnego incydentu: Jane zobaczyła go z Louise. Co gorsza, słyszała też komentarze służby na jej temat. Edward był z tego powodu równie wściekły jak zawstydzony.

- Mówiłem ci, że powinnaś zapomnieć o tej pani - powiedział ostrym tonem. - Jeśli jeszcze raz usłyszę, że o niej wspominasz, wyciągnę surowe konsekwencje. Zrozumiałaś?

- Tak. Zresztą i tak niezbyt mi się podobała. Dlaczego musisz jeździć do Londynu?

- Mam tam pewne interesy - odparł wymijająco.

Lisette, zawsze skora do łagodzenia napięć, dostrzegła, że cierpliwość stryja jest już na wyczerpaniu. Zwróciła się więc do siostry z wyjaśnieniem.

- Edward zajmuje się naszym majątkiem. Nie tylko swoim własnym, ale całej rodziny. Prowadzi rozmowy z bardzo ważnymi osobami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Naprawdę musi czasem jeździć do Londynu.

- W takim razie będziesz musiał zatrudnić nową guvernantkę, Edwardzie - powiedziała niespieszona Jane - ale wybierz młodą i ładną.

Edward oświadczył stanowczo:

- Nie ma mowy! Dość mam kłopotów z tobą, moja panno. Wybiorę osobę, której będzie zależało na pracy, a nie jakąś podfruwajkę, która myśli tylko o tym, żeby usidlić pierwszego odpowiedniego kawalera, jaki pojawi się w pobliżu. Z ta-

kiej pannicy nie byłoby żadnego pożytku. - Westchnął ciężko i podjął: - Jeszcze dzisiaj napiszę do agencji, ale nie możemy się spodziewać odpowiedzi przed upływem tygodnia. Potem trzeba przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne. Będę musiał przełożyć na później kilka ważnych spotkań, ale nic na to nie poradzę.

Lisette wyszła za nim z pokoju.

- Przykro mi, Edwardzie, że jesteśmy dla ciebie takim ciężarem - powiedziała. - Przez pewien czas na pewno poradzi-  
my sobie bez guwernantki. Ja mogę zaopiekować się Jane.

Ironiczny zwykle wyraz twarzy Edwarda zmienił się, gdy na jego ustach pokazał się rzadki gość - szczerzy uśmiech. Buntował się przeciwko ograniczeniom, jakie spadły na niego, gdy został zmuszony do podjęcia opieki nad bratanicami, ale bardzo je kochał. Martwił go smutek Lisette. Młoda dziewczyna nie powinna być taka zgaszona.

- Jane potrzebuje stanowczości i uwagi - zauważył z czułością. - A ty masz dość własnych trosk, chciałbym je chociaż ograniczyć.

- Jane jest posłuszna wobec tych, których lubi. Bardzo tęskni za rodzicami. Potrzebuje nie tylko stanowczości, ale i dobroci, Edwardzie.

- Zostaw to mnie, Lisette. Znajdę osobę, która będzie miała do niej właściwe podejście. Żadnej kolejnej panny Froom, obiecuję.

W następną środę, nie mając pojęcia, że rodzina Baraclough wprowadziła się do rezydencji, lady Octavia Petrie pożegnała się z ojcem i kuzynką Marjorie, zabrała z sobą stajennego i wyruszyła do Wychford z dreszczykiem emocji nieproporcjonalnym do wagi wydarzenia. Po drodze zatrzymała

się tylko raz, żeby dać wypocząć koniom, dość szybko więc stanęła u bram majątku. Spojrzała na drogę dojazdową, która wiała się pomiędzy szpalerami drzew. To miejsce zdawało się ją witać...

Podjęła decyzję.

- Odprowadź gig do zajazdu we wsi, Willu - poleciła stajennemu. - Jest piękna pogoda, a do domu już stąd niedaleko. Zrobię sobie spacer. Przyjedź po mnie za kilka godzin.

- Służący próbował się sprzeciwić, więc Octavia zawołała ze zniecierpliwieniem: - Zachowujesz się jak stara baba! Będę tu całkowicie bezpieczna. Pan Walters zaangażował już pełną obsadę służących, z gospodynią włącznie. Chyba nie sądzisz, że znajduje się wśród nich jakiś zbrodniarz? Jedź!

Octavia patrzyła, jak znajoma sylwetka Willa znika w oddali, po czym weszła przez bramę na teren posiadłości. W miarę zbliżania się do dworu gnębiące ją od wielu miesięcy znużenie ustępowało miejsca poczuciu ulgi i wrażeniu, że oto wkracza w zaczarowany świat. Uśmiechnęła się. Może Czarownica z Wychford rzuciła na nią urok? Po obu stronach drogi rosły wspaniałe stare drzewa. Niektóre gałęzie zwieszały się nisko i tworzyły baldachim utkany ze złocistych, szkarłatnych i brunatnych liści, pomiędzy którymi połyskiwało intensywnie błękitne niebo. Niekiedy promień słońca przedzierał się przez gęste listowie i oślepiał ją złotym blaskiem. Zmierzła w stronę domu, rozglądając się z zachwytem. Czuła się jak po kieliszku szampana, jakby została przeniesiona w świat baśni... Nagle przestraszyła się, kiedy tuż nad jej głową znieznacka rozległ się głos.

- On pani nie zechce!

Octavia stanęła i spojrzała w górę. Słońce ją oślepiało

i w pierwszej chwili nie dostrzegła drobnej, przypominającej elfa istotki, przycupniętej na gałęzi.

- Słucham?

- On pani nie zechce. Jest pani za młoda i za ładna.

- Dziękuję za miłe słowa.

- Powiedział, że nie będzie z pani żadnego pożytku.

- Doprawdy? A skąd on to może wiedzieć? Chociaż chyba niezupełnie rozu...

- On szuka następczyni panny Froom, ale mam nadzieję, że jednak weźmie panią. Pani wygląda bardziej interesująco.

- Jeszcze raz ci dziękuję. - Octavia zdążyła już dojść do siebie i postanowiła poprowadzić nieco bardziej sensowną rozmowę.

- Wybacz, ale czy mogłabyś mi powiedzieć, kim jesteś?

- Jestem Jane Barraclough.

- Co?!

- To niegrzecznie mówić: „co”. Panna Froom zawsze się złościła, kiedy tak mówiłam.

- Ale... co ty tu robisz? - wyjąkała Octavia. - Spodziewałam się, że...

- Spodziewała się pani, że będę w domu? W taką piękną pogodę?

- Nie w tym rzecz. Nikt rozsądny nie siedziałby w domu w taki cudowny dzień. Nie to chciałam powiedzieć...

- Zwiedzam. Mieszkamy tu dopiero od paru dni. Wczoraj obejrzałam dom z drugiej strony. To bardzo piękny dom. Widziała pani kominy?

Octavia zrezygnowała z prób prowadzenia rozsądnej rozmowy. Właściwie podobała jej się ta zwariowana konwersacja. Pasowała do tego trochę szalonego dnia.

- Nie - odparła. - Możesz mi je pokazać?

Dziewczynka zeskoczyła z drzewa. Zwichrzone, czarne loki

otaczały piegowatą buzię. Mała była szczuplutka, ale rozsadzała ją energia. Wielkie, szare oczy błyszczały, kiedy przyglądała się Octavii badawczo i krytycznie. Najwyraźniej usatysfakcjonowało ją to, co zobaczyła.

- Chodźmy! - poleciła i ruszyła przodem.

- Dobrze - zgodziła się Octavia ze śmiechem i podażyła za przewodniczką.

- Proszę spojrzeć. - Jane zatrzymała się raptownie.

Octavia popatrzyła posłusznie i westchnęła z zachwytem. Po drugiej stronie małego jeziora, wśród łąk i drzew, usadowiło się Wychford - różowoczerwony dwór, którego okna połyskiwały w słońcu. Nieco krzywe gzymsy i zbudowana z boku okrągła wieża nadawały budynkowi zabawny wygląd. Przyjazny dom, gościnny i magiczny. A na dachu...

- Jak jęczmienne paluszki! - zawołała Octavia.

Jane była uszczęśliwiona.

- Wiedziałam, że pani je rozpozna! - zawołała. - Naprawdę chciałabym, żeby Edward panią wziął. Wie pani, on ma kompletny mętlik w głowie.

- Przykro mi to słyszeć. A dlaczego? - zapytała Octavia.

- Bo straciłyśmy guwernantkę. Wobec pani nie byłabym niegrzeczna.

- Dlatego wyjechała? Bo byłaś niegrzeczna?

- Nie. Edward ją odprawił. Pozbył się jej ze względu na charakter - oświadczyła dziewczynka z wyraźną ulgą. - Była niedobra. Nawet Lisette jej nie lubiła, a ona chyba wszystkich lubi.

- Lisette to twoja siostra?

- Tak. Dużo starsza. Ja mam dziesięć lat. Czy pani jest zwoleńniczką list?

- O jakie listy ci chodzi? Listy rzeczy do prania? Listy zakupów? Świątecznych prezentów?



- Nie! Listy faktów, które trzeba wykuć na pamięć. Na przykład królów Anglii w porządku chronologicznym.

- Absolutnie nie! - odparła stanowczo Octavia. - Wkuwanie na pamięć jest nudne.

- Wiedziałam, że pani jest w porządku. Idę poszukać Edwarda. Musi panią zaangażować.

- Do czego?

- Jako naszą guwernantkę, oczywiście. Przecież po to tu pani przyjechała, prawda?

- Nie! Ja...

Jane odfrunęła już szybko jak ważka.

- Proszę nie gniewać się na Jane.

Ponownie zaskoczona Octavia określiła się na pięcie i... zaczęła podejrzewać, że trafiła do krainy baśni, przed oblicze zaczarowanej królowej. Stała twarzą w twarz z najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziała. Miała, podobnie jak siostra, czarne włosy, ale o niespotykanym, granatowym odcieniu. Rysy jej twarzy były wręcz doskonałe: cudowne czoło, śliczny, prosty nos, delikatnie rzeźbione kości policzkowe, cera jak płatek róży, pięknie wykrojone wargi... Robiła wrażenie onieśmiałej i pogrążonej w smutku. Octavia instynktownie zapragnęła ją objąć i pocieszyć. Słaby rumieniec wypłynął na policzki dziewczyny, zakłopotanej badawczym spojrzeniem Octavii.

- Ja... nie chciałam pani przestraszyć. Przepraszam. Jestem przekonana, że Jane nie zamierzała być niegrzeczna. Po prostu zapomina czasem o dobrym wychowaniu. Mam na imię Lisette. Lisette Barraclough.

- A ja nazywam się Octavia Petrie.

Wymieniły ukłony.

- Proszę wejść do domu - zaprosiła Lisette. - Nie wiem, czy to coś da, bo Edward był zdecydowany zatrudnić kogoś star-

szego, a on rzadko zmienia zdanie. Chciałabym jednak, żeby się pani z nim spotkała.

Octavia sama nie rozumiała, co powstrzymało ją przed wyjaśnieniem dziewczynie przyczyn swojego przyjazdu do Wychford. Dobrze wychowana osoba bezwzględnie powinna sprostować nieporozumienie, ona jednak była bardzo zaintrygowana sytuacją i dwiema dziewczynkami - tę pierwszą, tryskającą energią i radosną, i tę drugą, śliczną, ale smutną.

- Pewnie zastanawia się pani, dlaczego potrzebujemy nowej guwernantki - zagadnęła Lisette. - Edward zatrudnił w Londynie nauczycielkę poleconą mojej cioci przez markizę Ledbury.

Octavia znała rodzinę Ledburch. Nic dziwnego, że Jane nie cierpiała panny Froom, pomyślała. Nikt, kto zyskał uznanie takich nadętych nudziarzy, jak lady Ledbury i jej okropne dzieci, nie mógł nawet marzyć o zdobyciu sympatii tak żywej dziewczynki, jak Jane Barraclough!

- Ale już po dwóch dniach stało się jasne - ciągnęła Lisette - że Jane i panna Froom nie dojdą do ładu i Edward musiał ją odesłać.

- Bez referencji. Słyszałam.

- Jane tak pani powiedziała? Zmyśliła to. Edward napisał jej doskonałą opinię.

Octavia kiwnęła głową.

- Tak podejrzywałam. A co na to wasza ciocia?

- Nie ma jej tutaj. Złamała nogę i została w domu. Jeszcze przez pewien czas nie będzie zdolna do podróży, chwilowo więc naszym jedynym opiekunem jest Edward. Ma mnóstwo obowiązków, dlatego tak pilnie potrzebuje kogoś do pomocy.

- Rozumiem. Wobec tego chyba jednak nazbyt pochopnie odesłał pannę Froom.

- Może, ale kiedy Edward podejmie jakąś decyzję, od razu ją realizuje. Chciał odesłać stąd pannę Froom natychmiast po przyjeździe, choć było już bardzo późno. Potrafi być bezlitosny. Namówiłam go jednak, żeby poczekał do rana.

- Biedna panna Froom! Zostać odprawioną tak bezwzględnie. ...

- Nie! Ona naprawdę była niedobra, panno Petrie. Edward wypłacił jej miesięczną pensję i dopilnował, żeby bezpiecznie dotarła do Londynu.

- To już lepiej. Ale powiedz mi, kim właściwie jest ten Edward. To pan Barraclough?

- Tak. To nasz stryj, ale już dawno kazał nam zwracać się do siebie po imieniu. Jesteśmy dla niego ogromnym ciężarem. I tak będzie przez następne osiem czy dziewięć tygodni, do przyjazdu cioci.

- Rozumiem.

Lisette zamilkła i Octavia zamyśliła się. Sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Te dwie dziewczynki nie były córkami pana Barraclough, lecz jego bratanicami, a wypadek uniemożliwił pani Barraclough przyjazd do Anglii. Edward Barraclough pozbył się zaangażowanej wcześniej guwernantki i rozpaczliwie potrzebował kogoś do pomocy. Na mniej więcej dwa miesiące... Tylko dwa miesiące...

Znalazły się przed frontowym wejściem.

- Panno Petrie, czy mogłaby pani tutaj zaczekać? Na tej ławeczce w cieniu? A może wołałaby pani wejść do środka? Edward prosił, żebym przekazała wiadomość gospodyni. To potrwa najwyżej minutę.

- Wolę zostać tutaj - powiedziała Octavia. - Tak tu pięknie...  
- Pani też tak sądzi? A panna Froom mówiła, że dom jest wilgotny i mroczny.

- Tak? To znaczy, że ten dom jej nie polubił - odparła Octavia bez zastanowienia. - Dlatego musiała stąd odejść.

Lisette spojrzała na nią ze zdumieniem, ale nie zatrzymała się, żeby poprosić o wyjaśnienie. Pobiegła przez trawnik do domu, a Octavia mogła w samotności kontemplować swoje dziedzictwo. O dziwo, Wychford zdawało się do niej uśmiechać. Jak dom może się uśmiechać? Nie może! To po prostu promienie słoneczne odbijały się w oknach.

Przypomniała sobie nagle, jak podczas ostatniej wizyty w Ashcombe ciocia Carstairs wpatrywała się badawczo czarnymi cygańskimi oczami w nią, a potem w lorda Warnhama i lady Dorney. Co jej wówczas chodziło po głowie? Dopiero teraz, w Wychford, Octavia uświadomiła sobie, że najlepszym wyjściem byłoby małżeństwo ojca z kuzynką Marjorie. Zawsze byli sobie bliscy, a lady Dorney, kobieta troskliwa i kochająca, bardzo potrzebowała towarzystwa i kogoś, o kogo mogłaby dbać. Tak, to idealne wyjście! Szkoda, że nierealne. Tata, urodzony konserwatysta, nie znosił zmian i pewnie nie przyjdzie mu do głowy, żeby się oświadczyć. A gdyby lady Dorney zajęła na pewien czas miejsce Octavii? Na przykład na dwa miesiące? Może wówczas tata zrozumiałby, że lepiej mu przy Marjorie, która jest cierpliwsza, bardziej rozmowna, bliższa mu wiekiem...

Dwa miesiące. Czy to wystarczająco długo? Kusiło ją, żeby spróbować. Polubiła te dziewczynki i czuła, że mogłaby zrobić dla nich coś dobrego. Szczególnie że ich wuj należał chyba do zwolenników ostrej dyscypliny. Może więc nie powinna prosić ich pomyłki i udać, że naprawdę ubiega się o posadę guwernantki?

Octavia zerwała się z ławki i postanowiła wziąć się w garść. Mrugające okna, czarne cygańskie oczy, małżeństwa, odgrywanie guwernantki - gdzie się podział jej zdrowy rozsądek? To szalony pomysł. Jednodniowa wolność najwyraźniej uderzyła jej do głowy. Powinna wejść do domu i przedstawić się Edwardowi Barraclough, zanim to wszystko zabrnije za daleko. Kiedy Lisette zbliżała się do niej przez trawnik, chmury przesłoniły słońce i okna Wychford zmatowiały. Dom zdawał się robić jej wymówki i Octavia nagle poczuła się winna.

Lisette otworzyła ciężkie, dębowe drzwi i wprowadziła ją do holu. Octavia postanowiła trzymać wyobraźnię na wodzy i rozejrzała się. Dom nie był zbyt wielki, więc i hol miał przyjazne człowiekowi rozmiary. Na środku stał wielki stół, jak w refektarzu, a po obu bokach były kominki. Ze wspaniałego, zdobionego sztukateriami sklepienia zwisały dwa masywne, symetrycznie rozmieszczone kandelabry z brązu. Ładne dębowe schody prowadziły na piętro. Z galerii wchodziło się do pokoiów sypialnych. Lisette poprowadziła ją przez hol ku drzwiom w przeciwległej ścianie. Znalazły się w niewielkim saloniku czy pokoju śniadaniowym, który sprawiał wrażenie krzepiąco zwyczajnego. Na kominku płonął ogień, a meble dobrano dla ich wygody, a nie stylu. Dziewczyna zaprosiła Octavię, by usiadła.

- Ja... eee... chyba jeszcze nie usiądę - wymówiła się Octavia. - Poczekam, aż przyjdzie twój stryj.

W tym momencie do pokoju wpadła Jane.

- Tutaj jest, Edwardzie! - zawołała. - Błagam, powiedz, że się nadaje!

Za nią wszedł wysoki, barczysty mężczyzna. Młodszy, niż spodziewała się Octavia. Był całkiem przystojny pomimo zła-

manego w jakiejś bójce nosa. Miał czarne włosy, czyste szare oczy i śniadą cerę. Octavia zauważyła niewielką bliznę, która unosiła nieco zewnętrzny koniec jednej z brwi, nadając twarzy mężczyzny nieco diaboliczny wygląd.

Pan Barraclough zatrzymał się przed nią i uważnie taksował ją wzrokiem. Octavia natychmiast poczuła, że jest zbyt szczupła, niezbyt wysoka, ubrana w skromną suknię, a kilka niesfornych, miodowozłotych kosmyków wysunęło się spod czepka i opadło na ramiona. Zarumieniła się pod jego badawczym spojrzeniem i pożałowała, że nie miała czasu, by się ogarnąć.

- Edward Barraclough - przedstawił się. - Mogę poznać pani nazwisko?

- Oczywiście, sir. Jestem Octavia Petrie.

- Cóż, panno Petrie, nie wiem, w jaki sposób udało się pani tak szybko dowiedzieć o wolnej posadzie guwernantki, obawiam się jednak, że niepotrzebnie naraziła się pani na trudy podróży. Zupełnie nie odpowiada pani moim oczekiwaniom.

- Myli się pan.

- Doprawdy? Nie wiem, czym oczarowała pani moje bratanice, ale proszę mi podać choć jeden powód, dla którego miałbym zatrudnić osobę, która zjawia się na moim progu...

-Wcale nie chcę...

Pan Barraclough przerwał jej i dokończył rozpoczęte zdanie.

- ... która zjawia się na moim progu bez zapowiedzi, licząc na to, że natychmiast ją zaangażuję.

Octavia zapomniała o zakłopotaniu.

- Sądziłam, sir, że właśnie o to panu chodzi - odparła cierpko. - Ze słów pańskich bratanic wywnioskowałam, że potrzebuje pan guwernantki od zaraz. A może się mylę?

Pan Barraclough przyjrzał jej się z zastanowieniem.

- Nie myli się pani, rzeczywiście pilnie potrzebujemy kogoś... - zrobił efektowną pauzę, po czym dokończył: - może popełniłem błąd. Może nie jest pani taką ładniutką podfruwajką, na jaką pani wygląda. Mówi pani jak osoba pewna siebie.

- Podfruwajką?! - Octavia odetchnęła głęboko. - Pan wybaczy, sir! Zapewniam, że nie mam w sobie nic z podfruwajki! Pozwoli pan, że powiem...

Pan Barraclough przerwał jej ponownie, ale nie był - wbrew jej oczekiwaniom - oburzony jej słowami, lecz szczerze rozbawiony. Skłonił przed nią głowę i stwierdził z aprobatą:

- Co za zdecydowany ton... I niewątpliwie jest pani bystra. Może początkowo nie doceniłem pani.

- Zapewniam, że potrafię być jeszcze bardziej stanowcza, sir! Nie chciałabym...

- Edwardzie, pozwól jej zostać! Proszę! - zawołała Jane, która usadowiła się na okiennym parapecie. - Ona nie jest zwolenniczką chronologii i wcale nie będzie musiała demonstrować zdecydowania. Jeśli to ona zostanie naszą guwernantką, to na pewno będę umiała się grzecznie zachowywać.

- To tylko dwa miesiące, Edwardzie.

Słowa Lisette zaskoczyły pana Barraclough. Spojrzał na bratanicę przenikliwie.

- Ty także chcesz, żeby została? A może tylko litujesz się nad nią?

Lisette potrząsnęła głową.

- Uważam, że będzie dla nas dobra - powiedziała z naciskiem.

Octavia zauważyła, że słowa Lisette zrobiły na stryju wrażenie, i uznała, że najwyższy wyjaśnić nieporozumienie.

- Przykro mi, ale muszę po...

- Jakie ma pani kwalifikacje? - zapytał. - Chyba jakieś pani ma?

Jego ton jeszcze raz zirytował Octavię. Przydałoby mu się parę lekcji dobrego wychowania, uznała.

- Sądzę, że mam wystarczające kwalifikacje, by uczyć podstawowych przedmiotów - odparła chłodno i pomyślała o zatrudnianych przez matkę najdroższych nauczycielach i guwernantkach, a potem latach nauki w ekskluzywnym seminarium dla dobrze urodzonych panien. - Jednak nie w tym rzecz...

- Wymagam tylko, żeby dziewczynki pod pani opieką były bezpieczne i szczęśliwe. A także by wzięła je pani w ryzy. Potrafi pani to zrobić? Nie musi ich pani zbyt wiele uczyć. Lisette w przyszłym roku zostanie przedstawiona w towarzystwie. Przypuszczam, że ciotka dopilnuje, by umiała się odpowiednio zachować.

- Wiem to i owo również na ten temat, ale...

- To będzie towarzystwo przez bardzo duże T, panno Petrie. Nie spodziewam się ani nie oczekuję, że pani sobie z tym poradzi. Pani Barraclough wolałaby chyba, aby nie uczyła pani Lisette manier rodem z jakiejś szkoły dla panien. Będzie chciała czegoś więcej.

Octavia z trudem zachowała powagę na myśl, że seminarium, któremu patronowała śmietanka angielskiej arystokracji, zostało nazwane jakąś szkołą dla panien.

- Cóż, chyba możemy przyjąć panią na próbę. Proszę przejść do biblioteki, omówimy warunki. Wyznaczę pani hojne wynagrodzenie, ale to praca na krótki okres, osiem, najwyżej dziewięć tygodni. Wie pani o tym, prawda?

- Pańska bratanica wspominała mi o tym. Ale ja nie przyjechałam...



- Dobrze! W takim razie ustalone. Proszę do biblioteki.

Czy on już nigdy nie pozwoli mi dokończyć zdania? - zapytała się w duchu Octavia. Tak, pan Barraclough aż się prosi, by go oszukać. Przeniosła wzrok na dziewczynki. Jane kiwała twierdząco głową tak energicznie, że o mało nie spadła z parapetu, a Lisette po raz pierwszy uśmiechnęła się i jej śliczne oczy rozbłysły radością. Ku własnemu zdziwieniu, Octavia oświadczyła:

- Dobrze, sir.

I potulnie ruszyła za panem domu do biblioteki.

## Rozdział trzeci

Po zakończeniu rozmowy z panem Barraclough Octavii pozostało tylko ufać, że lady Dorney powiedziała jej prawdę. Nie była pewna, czy uległa potężnej sile osobowości panna Barraclough, czy też równie potężnej sile tego domu. Ku własnemu zdumieniu, zobowiązała się wrócić tu za cztery dni z kompletem referencji i podjąć obowiązki guwernantki i damy do towarzystwa. Pan Barraclough okazał się człowiekiem bardziej elastycznym, niż przypuszczała. A może tylko bardziej zdesperowanym? Kiedy wyznała, że chciałaby od czasu do czasu zajrzeć do mieszkającego w pewnej odległości starszego krewnego, obiecał jej dwa dni wolne w miesiącu i prawo do korzystania z gigu.

Jednak pan Barraclough wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie jest do niej do końca przekonany. Ta marna opinia o jej zdolnościach do tego stopnia zirytowała Octavię, że przysięgła sobie udowodnić, jak bardzo się co do niej pomylił.

Odrzuciła propozycję dziewczynek, że odprowadzą ją aż do drogi, i wyszła na tyle wcześniej, by znaleźć się przy furtce, zanim Will Gifford podjedzie ją zabrać. Po poszukujące

pracy guwernantki rzadko zajeżdżał doskonale utrzymany gig z woźnicą, odnoszącym się do niej z szacunkiem, ale i familiarnie, jak przystało na starego sługę.

Podać panu Barraclough prawdziwe nazwisko, aczkolwiek bez tytułu. Chociaż nigdy nie szukała zatrudnienia, to jednak czuła się na siłach, by przez dwa miesiące opiekować się dziewczynkami, niezależnie od tego, co sądzi o niej ich stryj. Uczciwie zapracuje na hojną pensję, jaką jej wyznaczyl.

Jednego tylko nie mogła pojąć: dlaczego właściwie wyraziła zgodę. Na pewno ten dom jest tego przyczyną. Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała jeszcze raz. Dwór Wychford ponownie uśmiechnął się do niej i zamrugał szybko. Może w słyszanych dawniej opowieściach kryło się jednak ziarnko prawdy? Może ciocia Carstairs naprawdę była czarownicą, tak, jak sądzili z Harrym? Dlaczego zapisała jej dom? Może zauważyła dręczący chrestną córkę niepokój? A może rozumiała jej niechęć do wyjścia za mąż tylko po to, żeby się wyrwać z Ashcombe? Niewykluczone.

W drodze do furki Octavia wspominała ostatnie spotkanie z ciotką Carstairs. Pożegnały się już i kamerdyner czekał w drzwiach, żeby ją odprowadzić do powozu. Tuż przed wyjściem ciotka odwróciła się i ujęła rękę Octavii.

- Cierpliwości, moje dziecko - powiedziała. - Pomoc już nadchodzi. - A potem, kiedy powóz miał ruszać, wychyliła się z okna i ze śmiechem zawołała: - Pojawi się już nawet twój rycerz, choć musi minąć trochę czasu, zanim go poznasz.

Octavia zastanawiała się nad tymi słowami, mijając bramę Wychford. Rycerz? Nie z rodu Barraclough, to pewne. Edward Barraclough był nie tylko żonaty, ale stanowił przeciwieństwo jej ideału. Ciemny, gwałtowny, nieuprzejmy i nie-

zbyt wesoły. Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej przypominającego Toma Payne'a! Gdzie znajdzie jasnowłosego księcia? Może któryś z sąsiadów ma syna... Ale jakim cudem guwernantka z Wychford może spotkać ziemianina? Octavia westchnęła. Ciotka Carstairs mogła wymyślić coś lepszego. Kiedy Will Gifford podjechał, roześmiała się głośno. Zaczynała utożsamiać się z wymyśloną przez siebie postacią.

Octavia wróciła do Ashcombe jeszcze za dnia i, nie tracąc czasu, postanowiła przystąpić do realizacji planu. Zaprosiła lady Dorney na rozmowę w cztery oczy przy filiżance herbaty.

- Od wieków nie widziałam ojca tak szczęśliwego - zaczęła, kiedy rozsiadły się w jej małym saloniku. - Jesteś dla niego taka dobra.

Lady Dorney spojrzała na nią z rozbawieniem.

- Miło mi to słyszeć - odparła. - Zbyt dobrze cię znam, żeby dać sobie zamydlić oczy tą uwagą. Jakie plany snujesz w swojej ślicznej główce? Nie wierzę, że zaprosiłaś mnie tutaj po to, by prawić mi komplementy. Swoją drogą, ty również wyglądasz na szczęśliwą, a nawet podekscytowaną. Co się dziś wydarzyło?

Octavia zawahała się, ale zaczęła opowiadać, co ją spotkało. Kiedy doszła do punktu, w którym Edward Barraclough stwierdził, że może jednak nie jest taką podfruwajką, za jaką ją w pierwszej chwili uznał, lady Dorney była tak zdumiona, że omal nie upuściła filiżanki.

- A kiedy mu wyjaśniłaś, że nie jesteś poszukującą pracy namolną guwernantką, lecz córką lorda Warnham i właścicielką wynajętego przez niego domu?

- Wcale nie wyjaśniłam.

- Co? Dlaczego, na miły Bóg?

Octavia odetchnęła głęboko i rzuciła się na głęboką wodę.

- Zgodziłam się podjąć obowiązki guwernantki. Zaczynam za cztery dni.

- A jak chcesz tego dokonać? Rupert się nie zgodzi. Nie akceptuje udawania kogoś, kim nie jesteś. Nie, nie! Nie możesz tego zrobić, Octavio!

- Mogę. Z twoją pomocą.

- Twój ojciec się zdecydowanie sprzeciwi.

- Nie zamierzam go prosić o zgodę. Powiem mu, że jego obawy były uzasadnione, Wychford wymaga większych nakładów, niż przypuszczałam, i muszę na pewien czas tam zamieszkać. To nawet częściowa prawda.

- Jak, twoim zdaniem, poczułby się ojciec, gdyby wiedział, że jego córka pracuje jako guwernantka?

- Nie musi się o tym dowiedzieć. Po dwóch miesiącach wrócę tutaj, do dawnego życia. Te dziewczynki naprawdę mnie potrzebują.

- Ojciec również. Jak mu wytłumaczysz, że musi się obywać bez ciebie?

- Właśnie dlatego mam do ciebie ogromną prośbę.

- Słucham.

- Mówiłaś, że chętnie zostałabyś w Ashcombe na dłużej. Jeśli będziesz przy nim, papa nie będzie tak bardzo za mną tęsknił. Nasza gospodyni jest bardzo kompetentna, a służba doskonale zna rozkład dnia.

- Jeśli sugerujesz to, co sędzę, to stanowczo odmawiam, Octavio. Nie zrobię tego! Mam prowadzić dom? Zdecydowanie nie!

- Nie musiałybyś prowadzić domu, tylko być tutaj. Mogę przyjeżdżać regularnie i sprawdzać, czy wszystko w porządku, choć jestem pewna, że nie będzie takiej potrzeby. Proszę, zgódź się.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakie podejmuję ryzyko? - odezwała się lady Dorney dość chłodno. - Zawsze byliśmy z Rupertem dobrymi przyjaciółmi. Gdyby to wszystko wyszło na jaw, byłby wstrząśnięty tym, że pomogłam ci go oszukać. To oznaczałoby koniec naszej przyjaźni.

- Tak się nie stanie, przysięgam. Ja tylko mam poczucie... Kuzynko Marjorie, błagam, zrób to. Wiem, że proszę o wiele. Nie mogę wyjaśnić, dlaczego to dla mnie takie ważne. Może to ucieczka. Proszę, pomóż mi.

Lady Dorney zawahała się, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale znowu je zamknęła. Octavia czekała w milczeniu.

- Tyle razy cię namawiałam, żebyś się stąd wyrwała, że chyba nie mogę ci teraz odmówić - powiedziała w końcu. - I, prawdę mówiąc, nie mam żadnych planów na jesień ani na zimę. Nie sądzę, by za mną tęskniono w Lutworth... - Westchnęła, po czym oświadczyła zdecydowanie: - Dobrze, zrobię to. Zostanę tu przez dwa miesiące. Widać jestem tak samo szalona, jak ty.

Dzięki pomocy lady Dorney Octavia wyruszyła do Wychford w niespełna tydzień po pierwszej wizycie w odziedziczonym po ciotce domu. Will Gifford ponownie towarzyszył jej w podróży, ale tym razem miał wrócić do Ashcombe bez niej. Z tyłu powozu został przytroczony niewielki kuferek ze starannie wybranymi, najskromniejszymi sukniami Octavii. Związała włosy w surowy kok i schowała pod niezbyt twarzowym czepek, włożyła szarą, prosto skrojoną pelerynę ze zwyczajnego materiału, a jej buty i rękawiczki były raczej praktyczne niż eleganckie. Lady Octavia Petrie, najmłodsze dziecko jednej z najbogatszych rodzin w południowej Anglii, dziedziczka pokaźnego majątku ziemskiego, przeistoczyła się

w skromną pannę Petrie, świeżo zaangażowaną guwernantkę i osobę do towarzystwa panien Barraclough.

Sprawiła wrażenie opanowanej i pewnej siebie. Przygodny obserwator nie domyśliłby się, jak jest zdenerwowana. Była zdumiona własną odwagą i bardzo się cieszyła, że zdołała uciec. Dwa miesiące. Dwa miesiące na podjęcie decyzji, czego właściwie chce od życia.

Wychford wydawało się jeszcze bardziej przyjazne niż poprzednio. Przez cały dzień było pochmurno, ale kiedy giga podjechał do bramy posiadłości, pojedynczy promień słońca przedarł się przez chmury i rozświetlił okna domu. Lisette stała na trawniku, najwyraźniej wyczekując przyjazdu Octavii. Gdy pasażerka wysiadała z gigu, Jane zeskoczyła z najbliższego drzewa. Natychmiast wzięły ją w posiadanie: Jane ciągnęła ją do drzwi, a Lisette wydawała polecenia gospodyni.

- Przygotowałyśmy pani pokój obok mojego - zawiadomiła ją Jane. - Niezupełnie w wieży, ale zaraz obok. Wie pani, że starsza dama, która tu przedtem mieszkała, była czarownicą? Pani Dutton jeszcze tu nie służyła, mieszkała w sąsiedniej wsi, ale twierdzi, że wszyscy wieśniacy bali się pani Carstairs.

- Naprawdę? - Wchodząc do wnętrza przez szeroko otwarte dębowe drzwi, Octavia ponownie odniosła wrażenie, jakby dom się z nią witał. - Myślę, że była dobrą czarodziejką, Jane - powiedziała z uśmiechem. - Wychford to bardzo przyjazny dom. Nie sądzisz?

Jako córka lorda Warnham Octavia przywykła do szacunku okazywanego jej z racji urodzenia i bogactwa. Wcielenie się w skromną guwernantkę nie stanowiło jednak dla niej problemu. Nie była ani arogancka, ani wyniosła, a natura wyposażyła

ja w ponadprzeciętny urok. Typowy dla niej swobodny, nawet nieco nonszalancki sposób bycia pozwolił jej nawiązać doskonałe stosunki ze wszystkimi w Wychford, a ściślej - ze wszystkimi poza panem domu. Jeśli o niego chodzi, była ciągle na cenzurowanym i niejedną raz musiała się powstrzymać przed ripostą na jego krytyczne uwagi.

Na szczęście dość często wyjeżdżał do Londynu. Dowiedziała się, że było trzech braci Barraclough. Najstarszy John, ojciec Lisette i Jane, odziedziczył bogatą plantację. Drugi syn, Henry, również miał tam majątek ziemski i nadal w nim przebywał. Najmłodszy, Edward Barraclough, nie gustował w życiu plantatora i kiedy odziedziczył po wuju zdobytą na operacjach bankowych fortunę, zaczął podróżować po świecie. Teraz najwyraźniej dojrzał do tego, żeby osiedlić się w Anglii na stałe. Akurat uczestniczył w jakimś spotkaniu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jako ekspert od spraw stosunków z Ameryką.

Lisette miała wyjść za mąż za syna sąsiadów z kolonii. Nagle John Barraclough zmienił decyzję i postanowił wywieźć obie córki do Anglii, gdzie miały zostać wprowadzone do towarzystwa. W trakcie przygotowań do podróży wydarzył się tragiczny wypadek. Wiozący rodziców dziewczynek powóz zjechał z drogi i obie panny Barraclough zostały sierotami. Ich opiekunowie, obaj bracia ojca, postanowili uszanować wolę rodziców i panienki znalazły się w Anglii. Jednak w przeddzień opuszczenia Indii Zachodnich pani Barraclough pośliznęła się i złamała nogę, musiały więc wypłynąć w rejs bez ciotki. Postanowiono, że dziewczęta zamieszkają w Wychford pod opieką guwernantki, dopóki pani Barraclough nie będzie w stanie do nich przyjechać.



Octavia dowiedziała się o tym wszystkim już w pierwszym tygodniu pobytu w Wychford. Nie od Lisette, która zachowywała pewną rezerwę, lecz od jej siostry. Słowo „dyskrecja” nie istniało w słowniku Jane. Gdy tylko uznała pannę Petrie za przyjaciółkę, natychmiast powierzyła jej wszystkie rodzinne sekrety.

Pewnego pięknego jesiennego popołudnia, po porannych lekcjach w pokoju szkolnym, Octavia wybrała się z Jane na przechadzkę po lasku, który rósł za domem. Lisette została w domu, żeby dokończyć książkę.

- Wie pani, panno Petrie, myślę, że stryj Henry był całkiem zadowolony, kiedy ciocia Julia złamała nogę - oznajmiła Jane.

Zaszokowana Octavia stanęła jak wryta i spojrzała na dziewczynkę.

- Co ty mówisz?

- Mówię, że moim zdaniem stryj Henry był zadowolony, kiedy ciocia Julia złamała nogę - powtórzyła cierpliwie Jane.

- To okropne, Jane! Jak mógłby być zadowolony?

- Miał pretekst, żeby zostać w domu. Bo, widzi pani, stryj wcale nie chciał jechać do Anglii, a dzięki złamanej nodze cioci Julii może trochę dłużej zostać u siebie.

- Ale... chyba nie do końca cię rozumiem. Skoro stryj Henry tak bardzo nie miał ochoty płynąć do Anglii, to dlaczego w ogóle się wybierał? Przecież ciocia Julia i stryj Edward potrafiliby zapewnić wam wystarczającą opiekę.

- Stryj Henry też tak uważał. Niestety, ciocia Julia nie chciała nawet o tym słyszeć. Twierdziła, że w tej sprawie Edwardowi nie można zaufać i reszta rodziny musi go mieć na oku.

- Powiedz mi, dlaczego nie mówisz o cioci „Julia”, skoro o stryju mówisz „Edward”?

- To niemożliwe. Ona jest od niego znacznie starsza. Wygląda prawie jak panna Froom.

- Naprawdę?

- Ciocia i Edward nie przepadają za sobą - ciągnęła Jane.  
- To widać na pierwszy rzut oka. Są zawsze dla siebie uprzedzająco grzeczni.

Octavia uświadomiła sobie, że jako dobra guwernantka powinna natychmiast przerwać te zwierzenia.

- Nie powinnaś mi o tym mówić. Nie wolno zdradzać obcym tego, co się dzieje pomiędzy mężem a żoną.

- O co pani chodzi? - Jane przez chwilę była ogromnie zdumiona, a potem zaczęła się zaśmiewać. - Panno Patrie, chyba pani nie sądzi, że ciocia Julia jest żoną Edwarda, prawda?

- Oczywiście, że tak sądzę. A nie jest?

- On wolałby raczej umrzeć! Tak powiedział. Ciocia Julia jest żoną stryja Henrygo. Słyszałam, jak Edward powiedział kiedyś tacie, że nie może zrozumieć, dlaczego Henry ożenił się z taką cierpką śliwką.

Octavia o mało się nie roześmiała. Po chwili udało jej się odezwać surowo:

- Absolutnie nie wolno ci tego powtarzać, szczególnie mnie. Twój stryj na pewno bardzo by się gniewał, że podsłuchiłaś jego słowa, a jeszcze bardziej, że powtarzasz je obcym. A nawet, że w ogóle o nim mówisz!

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- W takim razie nic więcej nie dodam. Lubię Edwarda. Jeszcze tylko jedno pani powiem, panno Petrie. On nie jest żonaty. Lisette bardzo mu współczuje. Podejrzewa, że on ma złamane serce, ale ja uważam to za bzdurę. Interesowały się nim najładniejsze damy, ale on nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Cieszę się, bo nie przepadałam za żadną z nich. Chciałabym, żeby ożenił się z kimś miłym. - Spojrzała znacząco na Octavię.

- Pani nadawałaby się doskonale, panno Petrie. Chciałabym, żeby Edward ożenił się z panią. Musi go pani usidlić.

Octavia udała atak kaszlu, żeby ukryć śmiech.

- Dość tego! - stwierdziła surowo. - Już nigdy więcej nie używaj w mojej obecności takich wulgarnych określeń. Gdzie ty to, na litość boską, usłyszałaś?

- A co w tym złego?

- Zarzucanie kobiecie, że próbuje kogokolwiek usidlić, jest niedopuszczalne. To nie tylko wulgarne, ale i nieuprzejme. Nie wolno ci używać tego określenia.

- Edward go użył, kiedy rozmawialiśmy o guwernantkach. Oświadczył, że nie chce żadnej łądnej podfruwajki, która nie marzy o niczym innym, jak tylko o usidleniu pierwszego odpowiedniego kawalera, który znajdzie się w pobliżu. Nie sądzę, żeby miał na myśli siebie, choć muszę pani powiedzieć, że jest bardzo bogaty. Mnóstwo kobiet próbowało go usid...

- Jane dostrzegła zmarszczkę na czole Octavii i szybko się poprawiła: - ... próbowało go sobą zainteresować. Dlaczego pani nie chce?

Octavia stłumiła pokusę, by poinformować dziewczynkę, że Edward Barraclough jest ostatnim mężczyzną, jakiego mogłaby wziąć pod uwagę. Próbowała wyobrazić sobie, co pomyślałaby prawdziwa guwernantka.

- Widzę, że zbyt długo byłaś pozostawiona samopas, moja panno! - powiedziała stanowczo. - Przyda ci się trochę dyscypliny. Nie patrz tak na mnie. Nie jestem panną Froom. Musisz się jednak nauczyć, że nie wolno rozsiewać plotek ani powtarzać innym tego, co ktoś kiedyś pochopnie powiedział. Na tym polega dobre wychowanie.

Jane westchnęła.

- Spróbuję się tak zachowywać, ale to nie będzie łatwe. Li-

sette uważa, że Edward potrzebuje żony, a pani nadaje się idealnie. Chciałabym mieć taką ciocię, jest pani znacznie sympatyczniejsza od cioci Julii.

- Co przed chwilą powiedziałam?!

- Że nie wolno powtarzać plotek, a to wcale nie była plotka, tylko moja opinia. Pani byłaby dobra dla Edwarda. Jest pani ładniejsza od tych wszystkich dam z kolonii. I ładniejsza od tej pani, którą odwiedza w Londynie. Chociaż musi ją bardzo lubić. Daje jej mnóstwo prezentów.

Co jeszcze to dziecko jej zdradzi? I jak Edward Barraclough mógł dopuścić, by mała zobaczyła go w towarzystwie metresy?

- Zapewniam cię, Jane, że nawet gdyby to było możliwe, to i tak nie brałabym pod uwagę małżeństwa z twoim stryjem - oświadczyła z naciskiem. - Zakończmy wreszcie tę dyskusję. Wrócimy teraz do domu i przez resztę popołudnia będziesz próbowała trochę zmadrzeć.

Zawróciły i stanęły twarzą w twarz z Edwardem Barraclough. Dzieliła ich odległość najwyżej kilku jardów. Musiał słyszeć ostatnią wypowiedź Octavii.

- Pan Barraclough! - Octavia poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem i wyjąkała: - Nie widziałyśmy pana, sir...

- Edward! - Jane rzuciła mu się na szyję. - Myślałyśmy, że jesteś w Londynie. Co tu robisz?

- Szukam Lisette. Mam dla niej list, a nie znalazłem jej w domu. Pomyślałem więc, że jest z panią, panno Petrie.

Octavia opanowała się z widocznym wysiłkiem i odparła uprzejmie:

- Nie siedzi w swoim pokoju, sir? Zostawiłyśmy ją tam zagrożoną w lekturze.

- Teraz jej tam nie ma. Radzę, żeby ją pani jak najszyb-

ciej znalazła. Ile czasu minęło, odkąd zostawiła ją pani bez opieki?

Octavia znowu się zarumieniła, tym razem z gniewu. Odpowiedziała jednak spokojnie, starannie wymawiając słowa.

- Około godziny, sir. Zostawiłam ją w jej własnym pokoju, z książką w ręku. Uznałam, że nie jest to szczególnie niebezpieczne zajęcie.

- Gdyby została w swoim pokoju, nie musielibyśmy jej teraz szukać. Nie odezwała się, kiedy ją wołałam. Jak pani sądzi, gdzie może być, panno Petrie? Pani wymieniała zwierzenia z Jane, podczas gdy moja druga bratanica pozostawała bez nadzoru przeszło godzinę.

- Nie gniewaj się na pannę Petrie, Edwardzie. Lisette nic nie grozi. Pewnie usadowiła się na słońcu na szczycie wieży. Lubi tam siedzieć.

- Na szczycie... - Octavia zebrała spódnice i spiesznie zawróciła w stronę domu. Pan Barraclough prześcignął ją już po kilku krokach. Zanim dotarła do podnóża prowadzących na wieżę schodów, już schodził w towarzystwie Lisette.

- Dlaczego tak się złościysz, Edwardzie? - zapytała dziewczyna ze zdumieniem. - To bezpieczne miejsce. Parapet jest wysoki, a dach mocny.

- Wołałam cię. Dlaczego nie odpowiedziałaś?

- Nie słyszałam cię. - Lisette podeszła do Octavii. - Przepraszam, panno Petrie, nie chciałam pani zdenerwować.

-W porządku, Lisette. Przeżyłam chwilę niepokoju, ale wiem przecież, że jesteś zbyt rozsądna, by zrobić coś głupiego. Skończyłaś książkę?

- Tak, a potem zasnęłam na słońcu. Dlatego nie słyszałam wołania. Nie gniewaj się na mnie, Edwardzie.

- Nie gniewam się - zapewnił pospiesznie. - Martwiłem się, kiedy nie mogłem cię znaleźć.

- Nie powinienes się martwić - powiedziała, kręcąc głową.  
- Jestem tu zupełnie bezpieczna. Dlaczego mnie szukałeś?

- Mam dla ciebie kilka listów, między innymi od ciotki Julii. Przyjdźcie za chwilę razem z Jane, to oddam wam korespondencję. Najpierw muszę zamienić parę słów z panną Petrie.

Octavia podążała za Edwardem Barraclough, zastanawiając się, co jej powie. Na pewno nic miłego. Bez wątpienia słyszała, o czym rozmawiały z Jane, zbierała więc siły, by go przeprosić, choć nie miała pojęcia, jak się tłumaczyć. Natomiast jego reakcja na pozostawienie Lisette bez nadzoru była nieracjonalna i gdyby pan Barraclough ponownie chciał jej zarzucić zaniedbywanie obowiązków, trudno byłoby jej przyjąć krytykę bez protestu.

Była zdumiona, gdy zaproponował, by usiadła. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym podszedł do okna.

- Pewnie pani uważa, że zareagowałem zbyt ostro - rzucił gwałtownie, nie odwracając się do Octavii.

- W sprawie Lisette? Cóż...

- Niepotrzebnie pani się waha, panno Petrie. Chyba wiem, co pani o mnie sądzi. To w tej chwili nieważne. Chciałbym pani wytłumaczyć, dlaczego tak się martwię o Lisette.

- Sir?

Usiadł za biurkiem.

- Nie wiem, ile pani wie o naszej rodzinie, podejrzewam jednak, że Jane zdażyła już opowiedzieć pani wszystko ze szczegółami. Zapałała do pani wyjątkową sympatią. - Z tonu pana Barraclough można było wnosić, że nie podziela uczuć bratanicy. - Nie uważa jej pani za zbyt absorbującą?

- Nie, sir. To urocza dziewczynka i wyjątkowo inteligentna.

- Hm. W każdym razie niewątpliwie zdobyła pani jej zaufanie. Z pewnością jest bystrzejsza niż Lisette.

- Na pewno żywsza. Lisette ma mnóstwo wdzięku. Odniesie ogromny sukces, kiedy zostanie wprowadzona w wielki świat.

- A co pani może o tym wiedzieć? - zapytał kpiąco.

Octavia ugryzła się w język. Guwernantka nie potrafiłaby ocenić, jak jej uczennica zostanie przyjęta przez towarzyską śmietankę.

- Uroda, delikatność i troska o innych muszą jej zjednać wszystkich, z którymi się zetknie. W wyższych sferach czy tutaj - oświadczyła spokojnie.

- Czytuje pani zbyt wiele powieści. Mam nadzieję, że nie nabija pani główki Lisette takimi nonsensami. Z mojego doświadczenia wynika, że delikatność i troska o innych nie należą do najbardziej pożądanых cech wśród dam z wyższych sfer. Zresztą nie są zbyt często spotykane... - Urwał, kiedy Octavia głośno wciągnęła powietrze. - Chce pani coś powiedzieć? Nie? Zatem kontynuuję. Uroda Lisette jest jej wielką zaletą, ale moja bratanica ma inny klucz do sukcesu: bogactwo, panno Petrie, pieniądze. Jest dziedziczką znacznej fortuny. Właśnie to gwarantuje jej sukces w wyższych sferach.

Octavia nie mogła zostawić tego bez odpowiedzi.

- Nie chciałabym „nabijać” komukolwiek głowy romantycznymi nonsensami, sir. Nie chciałabym również zaszcześcić młodej dziewczynie tak cynicznego spojrzenia na świat, jakie był pan łaskaw przed chwilą zaprezentować,

- Tak, byłem łaskaw. Pani doświadczenie życiowe jest nieco ograniczone. A gdybym pani powiedział, że tak młodziutka dziewczyna, jak Lisette została niemal w ostatniej chwili uchroniona przed bardzo nieodpowiednim związkiem?

To zaskoczyło Octavię. Lisette jej o tym nie wspomniała.

- Chyba muszę panu uwierzyć - powiedziała powoli Octavia. - Zapewne wydarzyło się to na Antique?

- Oczywiście. Syn jednego z sąsiadów uznał, że małżeństwo z nią to najprostszy sposób na wzbogacenie się. Ricardo Arandez potrafi prawić piękne słówka, a Lisette, jak pani pewnie zauważyła, jest aż nazbyt skłonna wierzyć ludziom i łatwo obdarza ich sympatią. Jej ojciec był taki sam. Arandez namówił go do zgody na zaręczyny. Na szczęście Lisette była jeszcze zbyt młoda, więc John, choć wyraził zgodę, to jednak nalegał, by z ogłoszeniem oficjalnych zaręczyn zaczekać, aż córka ukończy szesnaście lat. Do tego czasu zdołał już przejrzeć prawdziwy charakter Arandeza. - Uśmiechnął się ponuro. - Zadałem o to. John wycofał zgodę i Lisette została uratowana przed katastrofalnym małżeństwem. Ricardo Arandez to nikkzemnik.

- Czy ona kochała tego człowieka?

- Oczywiście, że nie. Była zbyt młoda, by się zakochać.

Octavia pomyślała o Tomie Paynie i uśmiechnęła się.

Pan Barraclough przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Panna Froom bez wątpienia zgodziłaby się z moją opinią, tymczasem pani ciągle nabija dziewczynie głowę romantycznymi bzdurami. Wyjašnjmy sobie jedno, panno Petrie. Pani zadaniem jest opieka nad Lisette, w tym również chronienie jej przed nieodpowiednimi znajomościami do przyjazdu jej ciotki, która przejmie od pani te obowiązki. Jest wysoce nieprawdopodobne, by Arandez odnalazł drogę do Wychford, ale gdyby on czy jakikolwiek inny łowca posagów pojawił się na horyzoncie, życzę sobie być niezwłocznie o tym poinformowany.

- Ryzyko jest minimalne, ale oczywiście obiecuję. Mam jednak nadzieję, że to nie zobowiązuje mnie do pełnienia funkcji



strażnika więziennego i pilnowania Lisette przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- Nie, oczywiście. Przyznaję, że zareagowałem przesadnie, kiedy nie mogłem jej dzisiaj znaleźć. Mam na swoje wytłumaczenie to, że właśnie odebrałem list od bratowej, która jest nieco nadopiekuńcza wobec naszych bratanic i ciągle mi zarzuca, że niewystarczająco o nie dbam. Chyba byłem jeszcze pod wrażeniem jej listu.

- Czy to już wszystko, sir? - zapytała Octavia po chwili ciszy.

- Co? Tak, oczywiście. Proszę poprosić do mnie dziewczynki, dobrze?

Octavia podeszła do drzwi i właśnie je otwierała, gdy zawołał:

- Panno Petrie! - Zatrzymała się i odwróciła. - Wiem, że ucieszenie Jane graniczy z niemożliwością, ale byłbym wdzięczny, gdyby pani nie omawiała z nią moich spraw. Jakkolwiek poczułem ulgę na wieść o tym, że nie grożą mi atencje z pani strony - oznajmił i rozparł się w fotelu z uśmiechem satysfakcji, a zarumieniona Octavia wybiegła z pokoju.

## Rozdział czwarty

Edward, nadal uśmiechnięty, przysunął sobie list od szwagierki. Jak oczekiwał, list był pełen jadowitych uwag na temat jego trybu życia, instrukcji w sprawie dziewczynek i surowych przestróg. Wolał nawet nie myśleć, co napisałyby, gdyby dotarła do niej wiadomość, że pozbył się panny Froom i zastąpił ją młodą dziewczyną. Tym razem obawy Julii były uzasadnione. Doszły ją słuchy, że Ricardo Arandez znajduje się w drodze do Europy. Obawiała się, że planuje spotkanie z Lisette.

Edward Barraclough westchnął. Życie w Wychford nie było wcale takie okropne, jak przewidywał. Właściwie momentami było całkiem przyjemne. Kochał bratanice, lecz uważał, że rola opiekunki dwóch dziewczynek nie pasuje do dorosłego mężczyzny. Problemom nie było końca, a cierpiało na tym jego życie osobiste. Louise wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie zamierza dłużej tolerować takiej sytuacji i ostatnia wizyta okazała się katastrofą. Kochanka stała się nużąco zaborcza. Co ją obchodzi, jak on spędza czas z dala od niej? Oczywiście, nie powiedział jej prawdy, ale nawet gdyby to zrobił, i tak by mu nie uwierzyła. Nie przyjęłaby tłumaczenia, że zakopał się na zapadłej wsi z dwiema dziewczynkami i skromnie

ubraną młodą kobietą. Uznałaby to za zbyt dziwaczne. Podobnie zresztą jak on. Louise była bardzo ładna, ale jej głos nabierał niekiedy nieprzyjemnie piskliwych tonów. Edward zaczął także tracić cierpliwość do gryzypiórków z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i przemknęło mu nawet przez myśl, że niepotrzebnie marnuje przez nich czas. Kiedy wreszcie nauczą się, że pora zapomnieć o osiemnastowiecznej polityce i zająć się dziewiętnastowieczną?

Widział na horyzoncie tylko jeden jasny punkt. Chociaż nie miał ochoty przyznać się do tego nawet przed samym sobą, panna Petrie, pomimo swej urody i młodości, okazała się strzałem w dziesiątkę. Edward uśmiechnął się na wspomnienie jej zażenowania, kiedy przed kilkoma minutami zakpił z jej słów skierowanych do Jane. Na jej policzkach wykwił krwistoczerwony rumieniec. Dobrze jej tak! Żaden mężczyzna nie lubi, gdy mówi się o nim lekceważąco, nawet jeśli te słowa wypowiada guwernantka.

Dziewczynki szczerze ją polubiły, a służba odnosiła się do niej z głębokim szacunkiem. Skąd właściwie pochodzi? Przywiozła z sobą list polecający, ale Edward przejrzał go pobieżnie, nie zagłębiając się w jego treść. Teraz otworzył zamykaną na klucz szufladę i wyjął teczkę. List z referencjami leżał na wierzchu. Został napisany przez lady Dorney z Lutworth Court, która wydawała się kobietą inteligentną i wykształconą. Edward przypomniał sobie, że przed kilkoma laty poznał Gerarda Dorneya. To pewnie jego matka. Lady Dorney polecała pannę Petrie bez najmniejszych zastrzeżeń, podkreślała jej cierpliwość, sprawność i doskonałe wykształcenie... Same walety. Skarb nie dziewczyna.

Panna Petrie ubierała się skromnie, bez śladu kokieterii. Gdyby podczas pierwszego spotkania nie zauważył miodo-

wozłotych loków, które opadły jej na ramiona, nie wiedziałyby nawet, że ma tak wspaniałe włosy. Związywała je w surowy węzeł albo wręcz chowała pod czepkiem. Nie należała do wysokich i była, o ile zdołał zauważyć, nieco zbyt szczupła. Jeśli nie liczyć błękitnych jak niezapominajki oczu, nie znajdował w niej nic szczególnie pociągającego dla mężczyzny. On gustował w posagowo pięknych kobietach, takich jak Louise Kerrall. Przez chwilę próbował przywołać obraz Louise takiej, jaką widział podczas ostatniego spotkania, zrędlivej, ale nadal prześlizycznej, lecz przeszkadzał mu nasuwający się wciąż przed oczy wizerunek panny Petrie.

Podziwiał jej bystrość i dowcip. A w jej drobnej figurce było coś pociągającego: królewski ruch głowy, gdy spoglądała za siebie, proste plecy, smukła szyja. Poruszała się z gracją, zachowywała skromnie, ale bez uniżoności czy pokory, bez poczucia niższości. Podobnie jak Jane, miała własne zdanie i choć zręczniejsza potrafiła to ukrywać, była równie mało skłonna do ustępstw.

Edward Barraclough był zaintrygowany. Może powinien większą część czasu, który z konieczności spędzał w Wychford, poświęcić bliższemu poznaniu guwernantki swych bratanic? Przecież niczym nie ryzykuje. Nie grozi mu wpadnięcie w kobiece sidła. Słyszał to z własnych ust panny Petrie; oświadczyła wyraźnie, że nie widzi w nim kandydata na męża. Co więcej, bez wątplenia mówiła szczerze. Edward Barraclough odrzucił nagłą pokusę, żeby udowodnić jej, iż nie ma racji. Nie należy do mężczyzn, którzy uwodzą guwernantki.

W rezultacie pan Barraclough zaczął zwracać większą uwagę na postępy bratanic w nauce. Uznał, że metody nauczania panny Petrie są dość niekonwencjonalne i z pewnością odległe od standardów panny Froom. Mimo to, ku jego zaskp-

czeniu, dziewczęta szybko nadrabiały zaległości. To prawda, że z położonego na uboczu pokoju, który został przeznaczony na salę lekcyjną, często dobiegały wybuchy śmiechu, ale kiedy zatrzymywał się pod drzwiami, żeby posłuchać, śmiech cichł po chwili i ustępował miejsca żywej dyskusji, potem ciszey, wreszcie - pytaniom i odpowiedziom. Czasami panna Petrie czytała im głośno. Miała piękny głos - ciepły, niski, z leciutką chrypką.

Kiedy pogoda pozwalała, zabierała podopieczne na dwór, a Edward starał się niby przypadkowo do nich dołączyć. Odkrył, że nauka nie ogranicza się do przedpołudniowych zajęć w salce szkolnej. Dziewczynki mogły tego nie zauważać, ale znacznie więcej uczyły się w trakcie zabaw na świeżym powietrzu. Artyści, muzyka, sceny z historii, porównanie flory Indii Zachodnich z roślinnością okolic Wychford - te i wiele innych tematów było poruszanych podczas spacerów. Porzucano je, kiedy zaczynały nużyć, albo kontynuowano następnego dnia, jeśli okazały się szczególnie zajmujące. Początkowo jego obecność zdawała się przeszkadzać pannie Petrie, gdy jednak do niego przywykła, odkrył, że wykorzystywała go bezlitośnie do wzbogacenia tematyki ich dyskusji. I wszystkie trzy szczegółowo wypytywały go o jego podróże.

Każda dziewczynka miała notatnik. Lisette szczególnie interesowała się botaniką. Mistrzowskie szkice liści, drzew i jesiennych kwiatów opatrywała datami i pieczętowała chowając do dużej teczki. Niektóre z nich podmalowywała potem delikatnie akwarelami. Jane bardziej interesowała się zwierzętami i budynkami. Jej notes pełen był koślawych szkiców ptaków, myszy, owadów, okien, szczytów dachów, gargulców i, oczywiście, czap na kominach. Zapiski pod rysunkami były starannie prowadzone i sprawdzane przez pannę Petrie.

Podczas każdego spaceru musiał także znaleźć się czas na gry i zabawy ruchowe. Jane nie trzeba było do tego namawiać, ale Lisette wymagała pewnej zachęty, żeby zacząć biegać czy skakać.

Pewnego dnia Edwarda wywabiły na dwór śmiechy i okrzyki. Znalazł dziewczęta za domem, gdzie grały w piłkę. Razem z panną Petrie biegały po trawnikach. Lisette próbowała wyminąć guwernantkę i rzucić piłkę siostrze. Kiedy panna Petrie zauważyła zbliżającego się Edwarda, zostawiła dziewczynki, a sama pośpiesznie próbowała doprowadzić się do ładu. Zwijała właśnie włosy w ciasny węzeł, kiedy do niej podszedł. Miała zarumienione policzki i oddychała szybko. Wydawała się rówieśnicą Lisette.

- Dzień dobry, sir. Zaskoczył nas pan. - Z rozbawieniem zauważył lekką nutę wyzwania w jej głosie.

Skłonił głowę na powitanie.

- Panno Petrie, gratuluję szybkości zwrotów. Wątpię, czy panna Froom potrafi robić tak zręcznie uniki.

- Przypuszczam, że pan tego nie aprobeuje, panie Baraclough?

- Czego?

- Naszego nieprzystającego damom zachowania.

Edward rzucił okiem na bratanice i potrząsnął głową.

- Nie widziałem ich tak radosnych od przyjazdu do Anglii. Szczególnie Lisette. Nie, nie potępiam takich zabaw. - Roześmiał się na widok jej miny. - Czy naprawdę jestem w pani oczach aż takim potworem, panno Petrie?

- N... nie, sir! Oczywiście, że nie! - jąkała. - Przepraszam, muszę zawołać dziewczynki. Powinny się przebrać, żeby nie złaćpać przeziębienia. Lisette! Jane! - Skłoniła się przed nim zakło-

potana i szybko podeszła do rozbawionych dziewcząt. Edward był pod wrażeniem radości, z jaką do niej podbiegły, wzięły ją pod rękę, każda ze swojej strony, i poprowadziły ku niemu. Przywitały się z nim serdecznie jak zwykle, ale kiedy panna Petrie każała im wracać do domu, posłuchały bez dyskusji.

- Doskonale pani sobie radzi, panno Petrie - zauważył, kiedy szli za dziewczynkami. - Chyba jednak nie popełniłem błędu w wyborze guwernantki.

- Wyborze, sir? - Spojrzała na niego sceptycznie. - Odniosłam wrażenie, że byłam dla pana ostatnią deską ratunku.

- Uważałem, że jest pani stanowczo zbyt ładna. Proszę mi powiedzieć, dlaczego wiązuje pani włosy w ten okropny węzeł? Te miodowozłociste loki są zdecydowanie bardziej pociągające.

Edward powiedział to bez zastanowienia i niemal natychmiast pożałował swoich słów. Pewnie dziewczyna poczuje się zakłopotana tak osobistą uwagą pracodawcy. Jednak panna Petrie nie zarumieniła się z zażenowania ani nie straciła pewności siebie. Zmroziła go spojrzeniem, jakiego mógłby spodziewać się raczej po księżnej w londyńskim salonie.

- Nie u guwernantki - oświadczyła chłodno. - Pan wybacz - dodała i przyspieszyła kroku.

Dogonił ją przy drzwiach domu.

- Przepraszam - powiedział. - To była niewybaczalna impertynencja. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Dobrze, sir. Pan pozwoli, muszę zająć się pańskimi bratami. - Skłoniła się lekko i ruszyła w stronę schodów.

Edward poszedł do biblioteki i rzucił się na fotel. Ależ z niego głupiec. Dlaczego, u licha, zrobił tę idiotyczną uwagę? Wprawdzie panna Petrie naprawdę wyglądała ładniej z rozpuszczonymi włosami, lecz nie należy podnosić takich tematów w rozmowie z guwernantką. Takie komplementy są za-

rezerwowane do flirtów ze ślicznotkami z wyższych sfer albo dla kochanek.

Dlaczego jednak tak się tym przejmuję? Przecież przeprosił, prawda? Zresztą ta dziewczyna nie była nawet w jego typie. Do czego to podobne, żeby jakaś guwernantka mogła sprawić, by uważał się za aroganta z powodu dość niewinnej uwagi o jej włosach. Za kogo ona się ma, do diabła?!

Edward zerwał się, wybiegł z biblioteki i wezwał stajennego. Był w okropnym nastroju. Tylko porządny galop po polach mógł poprawić mu humor.

Octavia obserwowała przez okno wyjazd pana Barraclough. Westchnęła. Nic dziwnego, że jest zły. Zareagowała na jego uwagę o włosach jak lady Octavia, córka lorda, a nie jak panna Petrie, skromna guwernantka. Panna Petrie miała prawo czuć się zakłopotana, ale starałaby się nie obrazić pracodawcy, szczególnie że niemal natychmiast ją przeprosił. Prawdę mówiąc, była zmieszana i zdumiona przyjemnością, jaką sprawiły jej słowa Edwarda. Swego czasu nasłuchiwała się komplementów i rzadko który robił na niej wrażenie. Dlaczego uwaga Edwarda Barraclough tak bardzo ją ucieszyła? Nie miała pojęcia. Odwróciła się od okna i niecierpliwie przeszła w drugi koniec pokoju.

Powinna uważać. Właśnie dlatego Edward Barraclough początkowo wzbraniał się przez zatrudnieniem jej. Zbyt ładna i zbyt młoda - takie miał wobec niej zastrzeżenia. Podfruwajka! Cóż, udowodniła, że nie jest głupiutką podfruwajką, ale on pewnie pożałował, że na chwilę opuścił gardę i pochwalił jej pracę z dziewczynkami. Wiele wysiłku kosztowało ją przewycięzenie jego uprzedzeń, a teraz chyba wszystko poszło na marne. Pewnie przy następnym spotkaniu znów będą obchodzić się szerokim łukiem.



Usiadła przy oknie. Minione tygodnie upłynęły jej bardzo przyjemnie. Nie pomyliła się w ocenie panien Barraclough, okazały się dziewczynkami wrażliwymi, uczuciowymi i - każda na swój sposób - obdarzonymi wyobraźnią. Uwielbiała je uczyć. Ostatnio spojrzała również innymi oczami na Edwarda Barraclough. Już nie wydawał jej się potworem, za jakiego go miała początkowo. Odkąd zaczął im towarzyszyć w popołudniowych spacerach, wydawał jej się bardziej ludzki, obdarzony poczuciem humoru, choć niejednokrotnie podszytym ironią. Ku własnemu zaskoczeniu, Octavia bardzo polubiła jego towarzystwo. Tak, Edward Barraclough okazał się znacznie bardziej interesującym mężczyzną, niż przypuszczała.

Może okazała mu to zbyt wyraźnie? Może nabrał nadziei na znalezienie w Wychford dodatkowej rozrywki, która uprzyjemni mu przymusowy pobyt na wsi w oczekiwaniu na przyjazd bratowej? Nieobowiązujący flirt z guwernantką? Ta myśl bardzo się jej nie spodobała. Jeśli tak, to im szybciej pan Edward Barraclough dowie się, że popełnił błąd, tym lepiej. Postanowiła, że następnego dnia poprosi o wolne dni, które jej obiecał. A po powrocie postara się lepiej kontrolować własne zachowanie.

Podejrzenia Octavii przybrały na sile, kiedy pan Barraclough przysłał zaproszenie, by towarzyszyła mu wraz z Lisette podczas obiadu. Do tej pory, jeśli spędzał wieczór w Wychford, zawsze siadał do posiłku w samotności. Skąd ta dzisiejsza zmiana? Zamierzała się wymówić, ale Lisette błagała, by nie zostawiała jej samej.

- Musi pani przyjść, panno Petrie! Bez pani nie będę wiedziała, co mówić ani jak się zachować!

- To nonsens, Lisette. Co wieczór jemy razem obiad, ty, Jane i ja, i twoje maniery przy stole są absolutnie bez zarzutu.

- Bez pani na pewno wszystko zapomnę. Kocham Edwarda, ale chwilami mnie onieśmiela, na przykład kiedy mówi o polityce. Po raz pierwszy mam jeść obiad na dole. Na pewno będę taka zdenerwowana, że nie wykrztuszę ani słowa. Nie, koniecznie musi pani ze mną pójść. Proszę, niech się pani nie wymawia.

Octavia poddała się, pomogła Lisette wybrać suknię na wieczór, po czym poszła do swojego pokoju, żeby znaleźć coś dla siebie. Przywiozła z Ashcombe proste sukienki, które po dodaniu ładnego szala czy wstążki były całkowicie stosowne na obiad z dziewczynkami. Natomiast znakomita większość jej sukni wieczorowych była albo zbyt frywolna, albo zbyt bogata, by mogła je zabrać do Wychford. Żadna nie nadawała się dla guwernantki. W końcu wrzuciła do kufra ciemnoszarą muslinową suknię, którą nosiła w czasie żałoby po matce. Miała stosunkowo mały dekolt, rękawy do łokci i tren tak krótki, że mógł ujść uwagi. Włożyła teraz tę suknię, a dla ozdoby dodała do niej biały koronkowy kołnierz, który należał do jej matki. Włosy zwinęła, jak zwykle, w węzeł, przystroiła je tylko małym czepeczkiem z takiej samej koronki.

Kiedy nadszedł czas, zabrała Lisette i razem zeszyły po schodach. Edward Barraclough czekał na nie na dole. Octavia zauważyła, że dobrze mu w wieczorowym ubraniu. Jednak niezależnie od tego, jak pasowały do niego atrybuty wyższych sfer, nie mogły jednak ukryć tego, kim jest. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast niż między jej pogodnym, jasnowłosym, błękitnookim pierwszym ukochanym a tym ciemnowłosym, władczyim człowiekiem sukcesu, z brwią przeciętą blizną i rysem okrucieństwa w twarzy.

Górny podest schodów był dość słabo oświetlony i w pierwszej chwili Edward nie zauważył panny Petrie. Kryła się za plecami Lisette i w ciemnej sukni stała się niemal niewidzialna. Dopiero gdy się poruszyła, błysnęło coś białego przy szyi. Razem zaczęły schodzić w dół. Lisette ubrała się na biało, jej ciemnoniebieskie oczy błyszcząły jak gwiazdy, a policzki zarumieniły się lekko z podniecenia. Edwarda ogarnęła duma i zachwyt. Lisette była lekko podenerwowana, jak każda szesnastolatka, choć przewyższała rówieśnice urodą. Cień smutku, który nie odstępował jej od czasu wypadku rodziców, zniknął niemal bez śladu.

Potem skupił uwagę na pannie Petrie. Włożyła szarą suknię z białym koronkowym kołnierzykiem. Związane włosy ukryła pod małym czepeczkiem. Pomimo skromnego stroju roztaczała wokół siebie aurę takiego dostojęstwa, że nie mieściło się w głowie, że to osoba niższego stanu, guwernantka. Co takiego jest w tej dziewczynie?

Edward wziął się w garść. Zaprosił je na obiad ze względu na Lisette. Chciał jeszcze przed przyjazdem wymagającej bratowej zorientować się, jak posuwa się edukacja jego bratanicy pod kierunkiem panny Petrie. Julia nie będzie mu szczędziła gorzkich słów, jeśli okaże się, że maniery Lisette ucierpiały. Poza tym był ciekaw, jak panna Petrie zachowa się w sytuacji bardziej oficjalnej.

- To bardzo twarzowa sukienka, Lisette.
- Wybrała ją panna Petrie, Edwardzie. Pomogła mi też dobrać dodatki. Cieszę się, że ci się podoba.
- Możemy przejść na obiad? - zwrócił się chłodno do Octavii.

Edward szybko uznał, że maniery Lisette nie pozostawiają nic do życzenia. Więcej, doszedł do wniosku, że wymagania

panny Petrie w tym względzie były równie rygorystyczne jak jego bratowej, jeśli nie wyższe. Nie mógł wręcz uwierzyć, że dwie pełne gracji istoty, które zasiadły z nim do stołu, to te same dziewczyny, które po południu biegały za piłką po trawniku. Początkowo Lisette była trochę spięta i prawie się nie odzywała. Edward zauważył, że panna Petrie stopniowo, prawie niezauważalnie, wciągała ją do rozmowy, poruszając tematy doskonale dziewczynie znane, na przykład pytając o życie w koloniach. Lisette odzyskała pewność siebie i zaczęła rozmawiać całkiem naturalnie.

Edward skupił uwagę na guwernantce. Przy każdym spotkaniu zadziwiała go coraz bardziej. Nie był zaskoczony, że stara się pokazać Lisette w jak najlepszym świetle, dziwiła go tylko klasa, z jaką to robi. Był pod wrażeniem jej naturalnej pewności siebie i opanowania. Choć ubrała się z pozoru bardzo skromnie, to niewątpliwie koronki, które miała na sobie, musiały kogoś słono kosztować. Z jakiego środowiska pochodzi? List lady Dorney był entuzjastyczny, ale poza wzmianką, że Octavia Petrie opiekowała się wiekowym krewnym, nie zawierał właściwie żadnych informacji. Najwyższy czas dowiedzieć się czegoś bliższego. Lisette opowiadała akurat o popołudniowej grze.

- Wydawało mi się, że bawiłyście się doskonale. Kto cię nauczył tej gry, Lisette?

- Panna Petrie. Ona zna mnóstwo zabaw. Grała w nie ze swoimi braćmi i siostrami.

- Pochodzi pani z licznej rodziny, panno Petrie?

- Bardzo licznej, sir. Ja byłam najmłodsza.

- Może ósma? Dlatego otrzymała pani imię Octavia?

- Rzeczywiście dawniej było nas ośmioro, ale jeden z moich braci zginął pod Waterloo.

- Jak wielu innych. To zwycięstwo zostało okupione znacznymi stratami. W którym regimencie służył?

- W Pięćdziesiątym Drugim.

- Świetny regiment! Musi pani być dumna z brata. Pochodzi pani z żołnierskiej rodziny?

- Nie. Stephen był pierwszym z moich braci, który wstąpił do armii - powiedziała i szybko, zanim Edward zdążył zadać kolejne pytanie, dodała: - Pan był w Indiach w czasie bitwy pod Waterloo?

- Tak, spędziłem trochę czasu w Madras.

- To musiała być interesująca wyprawa. Czy życie tam jest tak trudne, jak się powiada?

Przy nieświadomej pomocy Lisette, która dosłownie zasypała stryja pytaniami o Indie, Octavii udało się sprowadzić rozmowę na bezpieczne tory. Edward podejrzewał, że to nie przypadek, ale musiał przyznać, że przeprowadziła to po mistrzowsku. Nie pozwolił jednak na długo odwieść się od tematu. Wykorzystał pierwszą przerwę w rozmowie, by zadać nurtujące go pytanie.

- Jak pani poznała lady Dorney, panno Petrie?

- Jest znajomą osoby, dla której pracowałam - odparła po krótkiej pauzie.

- Jako guwernantka?

- Nie, mówiłam panu chyba, że opiekowałam się starszym panem.

- A dlaczego postanowiła go pani opuścić?

- Nie opuściłam go na stałe, panie Barraclough. Obojgu nam potrzebna była odmiana na pewien czas, dlatego właśnie ta posada tak bardzo mi odpowiadała. W tej chwili opiekuje się nim kto inny.

- Rozumiem. Czy lady Dorney jest z nim zaprzyjaźniona?

Widział, że Octavia kręci się niespokojnie, przygwożdżona jego pytaniami.

- Jest... jego daleką krewną - odparła po chwili.

- Z panią również jest zaprzyjaźniona?

- Chciałabym w to wierzyć. Jest starsza ode mnie i prowadzi zupełnie inny tryb życia.

-Jaki?

Panna Petrie spojrzała mu prosto w oczy.

- Lady Dorney to bogata wdowa - oświadczyła zdecydowanie - i bardzo szanowana. Była pierwszą osobą, o której pomyślałam, kiedy poprosił pan o referencje. Nie wystarczają panu? Mogę znaleźć inne.

- To nie będzie konieczne. List jest pełen pochwał. Znam Dorneyów ze słyszenia.

- To dobrze!

I znów ten ostry ton, nutka wyzwania w głosie, tak niezwykła u guwernantki.

- Skoro już o tym mowa, panie Barraclough - kontynuowała - chciałabym prosić o dzień lub dwa wolnego w najbliższym czasie. Uzgodniliśmy, że będę mogła odwiedzać rodzinę, a jeszcze ani razu nie byłam w Ashcombe.

Sam nie wiedząc czemu, Edward próbował znaleźć wiarygodny pretekst do odmowy, lecz nie potrafił żadnego wymyślić.

- Oczywiście - odparł. - Jutro muszę być w Londynie, ale potem postaram się tak wszystko zorganizować, by spędzić tu kilka dni.

- Panno Petrie, dlaczego musi pani jechać? Będziemy z Jane tęskniły - powiedziała Lisette ze łzami w oczach.

- Nie wyjeżdżam na długo. Najwyżej na C2:terdzieści osiem godzin.

-Ale...

- Nie próbuj zatrzymywać panny Petrie, Lisette. Może zamierza odwiedzić nie tylko starszego krewnego. Może ma tam adoratora?

- Tak, panno Petrie?

- Guwernantki nie miewają adoratorów, Lisette. Są zastrzeżeni dla ślicznych panienek, które na wiosnę mają zostać wprowadzone na salony. - Słowom Octavii towarzyszył ciepły uśmiech skierowany do dziewczyny. Uśmiech zniknął, kiedy zwróciła się do Edwarda. - Mam nadzieję, że nie nastąpi dalsze opóźnienie przyjazdu pani Barraclough do Anglii? Otrzymał pan jakieś nowe informacje?

Edward postanowił na razie pozwolić jej wygrać. Uznał, że dalsze dociekania na temat pochodzenia panny Petrie może odłożyć na później.

- O ile wiem, leczenie przebiega normalnie - odparł. - Moja szwagierka jest osobą stosunkowo zdrową i bardzo zdeterminowaną. Na pewno przyjedzie, jak tylko będzie mogła. Nie może się pani doczekać, by wreszcie się od nas uwolnić?

- Absolutnie nie, sir - oświadczyła uprzejmie. - Uzgodniłszy, że zostanie przez dwa miesiące. A potem...

- Potem zobaczymy.

- Właśnie, zobaczymy. Czas już, żebyśmy zostawiły pana na cygaro i kieliszek porto. Lisette?

- A może poplotkujecie trochę w salonie, zanim do was dołączę? - zapytał z kpiącym uśmiechem.

- Raczej nie.

Odebrał jej spokojną stanowczość jako wyzwanie.

- A gdybym nalegał? - zapytał.

- Wówczas musiałabym, oczywiście, ustąpić. Chyba nie będzie pan tak nierozsądny. Przypuszczam, że jest pan zadowolony.

lony z zachowania Lisette podczas obiadu, ale nie przywykła ona siedzieć do późna w nocy.

Edward spojrział na bratanicę i zauważył, że oczy rzeczywiście same się jej zamykają. Roześmiał się.

- Ma pani rację! Ma pani rację również w innej sprawie. Rzeczywiście jestem zadowolony z Lisette. Muszę pani pogratulować, panno Petrie. Nawet panna Froom nie spisałyby się lepiej. Dobranoc.

Lisette podeszła do stryja.

- Dobranoc, Edwardzie - wymruczała sennie. - Dziękuję za uroczy wieczór. - Ruszyła do drzwi, a guwernantka pośpieszyła za nią.

- Panno Petrie!

- Sir?

- Musi mi pani kiedyś opowiedzieć więcej o swoim bracie. A może sam odwiozę panią do Ashcombe?

- To nie będzie konieczne, panie Barraclough. Obiecał pan oddać mi do dyspozycji gig, a powozić mogę sama. Nie chciała-bym zabierać panu czasu. Dobranoc. Dziękuję za miły wieczór.

Odprowadził ją do drzwi. Sięgała mu zaledwie do ramienia, ale gdy wstępowała po schodach, wlokąc za sobą tren sukni, w jej postawie dawało się wyczuć siłę ducha i dumę. Tak, panna Petrie była niewątpliwie niezwykłą guwernantką.



## Rozdział piąty

Następnego dnia Octavia miała ciężką przeprawę z młodszą ze swych podopiecznych. Jane wpadła we wściekłość, że nie została przez Edwarda zaproszona na obiad, i żadne próby udobruchania jej nie odnosiły skutku. Lisette dołała oliwy do ognia informacją, że wkrótce zostaną pozbawione towarzystwa guwernantki na całe dwa dni. W czasie porannych lekcji dziewczynka była wyjątkowo niegrzeczna, w południe odmówiła zjedzenia posiłku, a potem wybiegła na dwór sama.

Octavia postanowiła jej nie gonić. Jane była rozsądną dziewczynką. Nic się nie stanie, jeśli trochę na nie poczeka, a podczas spaceru na pewno przejdzie jej zły nastrój. Po kilku minutach Octavia i Lisette wyszły na spacer do lasu. Liście przybierały już piękne barwy. Lisette była oczarowana i obie z Octavią zamarudziły nieco, zbierając okazy do zasuszenia między stronami zeszytu.

Kiedy wychodziły z domu, pogoda była piękna, ale teraz nadciągnęły chmury i wyraźnie się ochłodziło. Lekkie zakieity i muślinowe sukienki nie stanowiły wystarczającej ochrony przed chłodem, Octavia uznała więc, że Jane miała dość cza-

su, by uporać się ze złym humorem. Pora ją odnaleźć i wrócić pod dach.

Zbyt dobrze ją znały, żeby szukać na ścieżkach czy w krzakach. Jane uwielbiała wspinać się na drzewa. Przez parę minut przepatrywały ulubione drzewa dziewczynki i coraz głośniej ją wołały, wreszcie zrozumiały, że Jane specjalnie się przed nimi schowała. Z nieba spadły pierwsze wielkie krople deszczu i Lisette zaczęła drzeć. Octavia zdjęła żakiet i pomimo protestów Lisette otuliła nim jej ramiona. Szukając Jane, oddalały się coraz bardziej od domu. Wreszcie dostrzegły coś czerwonego wysoko w koronie drzewa, którego gałęzie zwieszały się nad jeziorem.

Octavia wpadła ze wściekłość - wspinanie się na drzewa rosnące nad brzegiem było surowo wzbronione. Nie mogła jednak demonstrować gniewu. Deszcz padał coraz mocniej i wszystkie trzy były już przemoczone. Nie należało denerwować Jane, bo teraz zejście z drzewa i tak nie będzie łatwe.

- Jesteś, to doskonale! - zawołała Octavia, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie. - Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz. Już ci ulżyło? Jesteś gotowa zejść? Pewnie całym przemokłaś. Czas schronić się pod dach.

- Nie gniewa się pani, że weszłam na to drzewo? - zapytała Jane. - Byłam pewna, że będzie pani wściekła.

- W takim razie dlaczego to zrobiłaś?

- Chciałam zrobić pani przykrość. Nie zejdem na dół, dopóki mi pani nie obieca, że nigdzie stąd nie wyjedzie - oświadczyła Jane buntowniczo. - Panna Froom na pewno nie zostawiłaby nas na całe dwa dni i pani też nie powinna.

- Nic ci nie przyjdzie z robienia mi na złość. Najwyżej nabiorę ochoty, żeby przedłużyć nieobecność - zagroziła Octavia.

- Zresztą wcale nie będziesz sama - zawołała błagalnie Lisette. - Edward z nami zostanie. Przecież go lubisz, Jane.

- Ale on mnie nie lubi. Innych zaprasza na obiad, a mnie nie.

- Edward cię kocha. Pomyśl, ile czasu spędza w Wychford, choć jest taki zajęty.

Jane z uporem pokręciła głową.

- Wcale nie. W ogóle nie chciał nas przywieźć do Wychford.

- Jane! - krzyknęła Octavia bardziej stanowczo. - Jestem kompletnie przemoczona i nie mam siły się na ciebie gniewać, a biedna Lisette okropnie zmarzła. W dodatku zaczyna mnie łąpać kurcz od zadzierania głowy podczas tej rozmowy. Proponuję, żebyśmy kontynuowały dyskusję na *tetra firma*.

- Nie wiem, gdzie to jest.

- Wiesz. Na ziemi. Zejdź, Jane. Wrócimy do domu, usiądziemy przed kominkiem i będziemy się opychać drożdżówkami. To lepsze niż jakiś głupi obiad.

Jane uwielbiała drożdżówki. Wstała i zaczęła przesuwac się po mokrej gałęzi. Nagle poślizgnęła się, a bezradnie stojąca pod drzewem Octavia wstrzymała oddech. Jane zdołała uchwycić się najbliższej gałęzi i odzyskała równowagę.

- Nie mogę - powiedziała niepewnie, spoglądając w dół.

- Na pewno możesz, Jane. Przecież weszłaś na górę, prawda? Możesz więc także zejść.

Jane przesunęła się jeszcze kilka cali, ale kiedy była już prawie przy pniu, znowu się poślizgnęła. Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę wydawało się, że tym razem spadnie. Utrzymała się jednak i usiadła na gałęzi, przytulona do pnia.

- Panno Petrie! - zawołała piskliwym głosem. - Nie... nie mogę! Jest za ślisko! Nie dam rady!

Octavia tego właśnie się obawiała. Jane nie brakowało odwagi i w normalnych warunkach po krótkim ociąganiu zdołałaby zejść na dół. Teraz jednak była mokra i przemarznięta.

- Panno Petrie! - dobiegł z góry pełen strachu głosik. - Co mam robić? Boję się!

Octavia odwróciła się do Lisette.

- Biegnij do domu i sprowadź pomoc. Ja tu zostanę. Szybko!

- A może to ja powinnam zostać?

- Ty biegasz szybciej ode mnie - powiedziała Octavia stanowczo. - W drogę! - Z ulgą stwierdziła, że Lisette bez dalszej dyskusji puściła się pędem.

Octavia wiedziała już, co robić. Lisette musi obieć jezioro, żeby dotrzeć do domu, a przez ten czas Jane jeszcze bardziej zmarznie. Może podjąć kolejną próbę zejścia z drzewa, a to mogłoby zakończyć się katastrofą. Octavia przyjrzała się drzewu i stwierdziła, że nie na takie wspinała się w dzieciństwie. Była niewysoka, ale zwinna. Długa spódnica utrudnia zadanie, jednakże... Zdjęła pończochy i podwiązała nimi suknię, by sięgała powyżej kolan. Włożyła buciki na bose nogi i zawołała:

- Zostań na miejscu, Jane! Idę do ciebie. - Zmobilizowała się, podskoczyła i uchwyciła się pnia.

Deszcz zalewał jej twarz i oczy, ale nie zwracała na to uwagi, skupiła się na odnajdywaniu drogi do przerażonego dziecka. Ogarnęła ją ogromna ulga, gdy wreszcie znalazła się przy Jane i mogła wziąć dziewczynkę w ramiona. Usiadły razem oparte o pień. Obie były przemarznięte i mokre, ale musiały jeszcze poczekać na nadejście pomocy. Sprowadzenie Jane z drzewa przekraczało siły Octavii.

Edward przyjechał z Londynu nadspodziewanie wcześniej i właśnie zdejmował mokry kapelusz i płaszcz, kiedy do holu wpadła Lisette.

- Co się stało? - zawołał, widząc jej przejętą twarz i ociekającą wodą ubranie. - Chodzi o Jane? Gdzie ona jest?

Lisette, szlochając, beładnie opowiedziała całą historię. Kiedy tylko zdołała wytłumaczyć, gdzie szukać Jane i guwernantki, Edward natychmiast kazał koniuszemu biec nad jezioro. Sam wydał polecenia gospodyni, przekazał Lisette w jej ręce i również wybiegł z domu.

Początkowo pomyślał, że Lisette źle opisała drogę. Pod wskazanym przez nią drzewem nie znalazł nikogo. Potem jednak usłyszał płacz. Podniósł głowę i dostrzegł wreszcie coś jakby tłumok wetknięty w zagłębienie pomiędzy pniem drzewa a jednym z głównych konarów. To była panna Petrie, która tuliła do siebie Jane.

- Przynieś drabinę - rozkazał stajennemu - i sprowadź ludzi z kocami.

Służący nie oddalił się jeszcze nawet o dziesięć kroków, kiedy Edward zdjął płaszcz i zmierzył drzewo wzrokiem. Podczas wspinaczki zachodził w głowę, jakim cudem pannie Petrie udało się tam wejść.

Kiedy zbliżył się do nich, dobiegł go spokojny głos.

- Edward przyszedł, Jane. To miło, prawda? - Octavia trzymała się drzewa, tuląc do siebie podopieczną. Obie były przemoczone do suchej nitki, Jane dygotała, obejmując guwernantkę tak kurczowo, jakby nigdy nie zamierzała jej puścić.

- Czy mogę do was dołączyć? - zapytał Edward, uśmiechając się, świadomy, że bratanica jest na granicy hysterii. - A może raczej powinienem sprowadzić was na dół?

Jane nie podniosła głowy i jeszcze mocniej przyłgnęła do opiekunki.

- Chyba powinien pan najpierw pogodzić się z Jane, panie Barraclough - powiedziała Octavia.

- Dlaczego?

- Pomiął ją pan we wczorajszym zaproszeniu na obiad.

- Nie przypuszczałem, że będzie miała o to pretensję. Myślałem, że wolałaby herbatę z drożdżówkami przy kominku. Dlatego przyjechałem dziś wcześniej do domu. Byłem rozczarowany, że nigdzie nie mogłem jej znaleźć.

Jane podniosła głowę.

- Naprawdę, Edwardzie? - zapytała słabym głosem. - Przyjechałeś wcześniej? Tylko po to? Zjadłabym parę drożdżówek.

- W takim razie schodź na dół, panienko. Pani Dutton nie będzie zadowolona, że musi czekać. Proszę mi ją dać, panno Petrie, spuścimy ją na dół w mgnieniu oka. - Głęboki, uspokajający głos Edwarda zrobił swoje i Jane pozwoliła się przemieścić. Edward uśmiechnął się do panny Petrie ze współczuciem. - Niestety, pani musi tu jeszcze zostać - powiedział, przesuwając się po gałęzi. - Wkrótce wrócę po panią. Spójrz, Jane. Drabina już czeka. To jedyny sposób dostania się na dół. Chodź.

Edward na poły niósł, a na poły prowadził dziewczynkę do drabiny, ustawionej przez stajennego i jednego z ogrodników. Sprowadził Jane bezpiecznie na dół i przekazał pod opiekę służącego.

- Teraz zajmij się tobą Jem, moja panno - powiedział, otulając ją kocem. - Zabierze cię do domu, żebyś się rozgrzała. Lisette już na ciebie czeka. Ja muszę ratować pannę Petrie.

Postawił stopę na najniższym szczeblu drabiny i spojrzał w górę. Zdumiał się. Panna Petrie schodziła z drzewa.

- Niech pani nie będzie taką cholerną idiotką! - wrzasnął. - Niech pani czeka!

Wszedł na drabinę w samą porę, bo Octavia poślizgnęła się na ostatnim grubym konarze, tuż nad najwyższym szczeblem drabiny. Przez jedną przerażającą chwilę zawisła w powietrzu,

rozpaczliwie trzymając się gałęzi. Edward złapał Octavię w ostatniej chwili i przyciągnął do siebie.

- Przecież kazałem pani czekać - mruknął.

- M...myślałam, że p...przede wszystkim d...dopilnuje p...pan, żeby Jane sz...szybko znalazła się w d...domu, p...panie Barraclough. Było mi z...zimno. - Widział, z jakim wysiłkiem stara się powstrzymać szczykanie zębami. - Normalnie z...zeszłabym z tego drzewa bez n...najmniejszej pomocy.

- W takim stanie nie jest pani zdolna do gimnastyki: zziębnięta, zeszywniała i mokra. Musimy sprowadzić panią na dół jak najszybciej. Nie życzę sobie mieć na głowie przykutej do łóżka guwernantki. Chodźmy. - Przesunął się w stronę szczytu drabiny.

Panna Petrie spojrzała w dół i potrząsnęła głową.

- Musi pan d...dać mi trochę cz...czasu - wykrztusiła. - W tej eh...chwili nie m...mogę. Mam r...ręce i nogi jak z w...waty...

- Czy jeśli zacznę schodzić po drabinie pierwszy, to pani da radę iść za mną? Jeśli będziemy trzymać się blisko, zdołam powstrzymać panią przed ewentualnym upadkiem. To nie powinno być trudne. Im szybciej znajdzie się pani w domu i osuszy, tym lepiej. Może pani spróbować?

Niepewnie spojrzała na dół, ale kiwnęła głową.

- Dobrze! - powiedział.

Zszedł z kilku szczebli i zaczekał na nią, a potem powoli posuwali się razem. Edward podtrzymywał Octavię, ujawszy jej biodra, a jego twarz znalazła się na wysokości jej talii. Szczupła, pomyślał, ale wyjątkowo kształtna. Kuszące piersi widział przed chwilą, szczupłą talię miał tuż przed oczami, krągłe biodra, smukłe kostki... Gdyby panna Petrie potrafiła czytać w myślach, miałyby powód do niepokoju i może niwet poszukałaby

innego sposobu dostania się na ziemię. Kołysanie się jej bioder, skręty talii przy schodzeniu po szczeblach drabiny, ocieranie się ich ciał, wyjątkowo silnie podziałyły na Edwarda.

Wreszcie stanął na ziemi i pomógł pannie Petrie zejść z najniższego szczebla. Była wyraźnie oszołomiona i całkowicie nieświadoma stanu swojego odzienia. Edward zauważył, że Seth, ogrodnik, stał z kocem w rękach i gapił się na nią, szczerząc zęby w uśmiechu.

Odebrał mu koc i rzucił ostro:

- Nie stój tak, zanieś drabinę do szopy! Już cię tu nie ma!  
- Odwrócił się w stronę panny Petrie. - Owinę panią pledem. Proszę opuścić spódnicę. - Spojrzała na niego pytająco, nie rozumiejąc przyczyny jego nagłej szorstkości. Z pomrukiem zniecierpliwienia przyciągnął ją do siebie, rozwiązał szarfę podtrzymującą spódnicę i otulił Octavię kocem. Wyglądała na tak zagubioną i zmęczoną, że bez zastanowienia objął ją mocno i pocałował.

Przez chwilę stała potulnie jak dziecko. Ta reakcja podziałyła w sposób magiczny: Edward pogłębił pocałunek. Koc opadł na ziemię, gdy przyciągnął Octavię bliżej i przytulił do siebie. Zadrzała i przylgnęła do niego, jakby szukała życiodajnego ciepła.

- Octavio! - szepnął urywanym głosem i znowu ją pocałował.

Usłyszawszy jego głos, oprzytomniała. W jednej chwili uwolniła ręce i odepchnęła go.

- Nie! - krzyknęła wstrząśnięta i zawstydzona. - Nie może pan! Przepraszam, jeśli zachowywałam się tak, jakbym prosiła. Och, co pan sobie o mnie pomyśli? Ja nie chciałam. Przyśięgam, panu. Nie! - Gorączkowo rozglądała się za kocem, wreszcie dostrzegła go na ziemi i szczelnie się nina okryła. -



Proszę mi wierzyć, panie Barraclough. Ja nie jestem taka... zupełnie nie....

Edward był niemal równie wstrząśnięty jak ona. Już dawno nie dał się tak bez reszty porwać emocjom. Zwykle potrafił oprzeć się pokusie i zapanować nad sobą. Uznał, że należy od razu wszystko wyjaśnić.

- Panno Petrie, ja nie chciałem... To ja jestem zobowiązany do przeprosin - powiedział tak niepewnie, że słysząc go, jego przyjaciele osłupieliby ze zdumienia. - Nie przypuszczałem... a potem chyba straciłem głowę. Przepraszam. Proszę wierzyć, że to się nie powtórzy.

Octavia kiwnęła głową. Edward mówił dalej, czując się jeszcze dość niezręcznie.

- Proponuję, żebyśmy jak najszybciej wrócili do domu. Musi się pani przebrać w suche ubrania, bo inaczej gotowa się pani rozchorować. Czy przyjmie pani moje ramię? A może panią zanieść? - Gdy tylko pomyślał, że mógłby ją nieść w ramionach, wyraźnie przyspieszył mu puls. Co się z nim dzieje? Poczul ulgę, gdy odmówiła.

Zrobiła kilka niepewnych kroków i stanęła.

- Chyba jednak muszę wesprzeć się na pana ramieniu. Przepraszam. - Wyglądała na tak zmęczoną i zdenerwowaną, że poczul wyrzuty sumienia. Zapomniał o sobie i podał jej ramię.

Deszcz ustał. W połowie drogi do domu spotkali panią Dutton, która zaopiekowała się Jane i Lisette, a teraz wyruszyła na poszukiwanie guwernantki. Zaoferowała się zastąpić Edwarda, ale odmówił. Dłoń panny Petrie tylko lekko wspierała się na jego ramieniu, był jednak dumny z tego, że zaufała mu na tyle, by poprosić go o pomoc. Było mu z tym dobrze.

Gdy zbliżali się do domu, słaby promień słońca przebił się

przez chmury i rozświetlił okna Wychford. Edwardowi wydawało się, że załśniły niesamowicie jasno w wilgotnym powietrzu.

Drożdżówki zostały podane w małym saloniku przy ogniu buzującym w kominku. Zanim Octavia przebrała się i zeszła do nich, wszyscy zdążyli już zasiąść przy niewielkim stole, na którym stały srebrne dzbanki z kawą, czekoladą i lemoniadą, a także półmisek drożdżówek. Widok był naprawdę uroczy - płomienie ognia odbijały się w srebrnych nakryciach, Jane usadowiła się tuż przy stryju, Lisette, całkiem już spokojna, uśmiechała się do nich serdecznie. Octavia zawahała się w progu, ale Edward Barraclough wstał na jej widok i doprowadził ją do stołu.

Octavia nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Przed chwilą, kiedy znalazła się w swoim pokoju i zrzuciła koc, przeżyła szok na widok swojej sukni. Była podarta i niemal przezroczyta. Octavia przypomniała sobie, że dopóki Edward nie rozwiązał prowizorycznej szarfy z pończoch, była podkasana i odsłaniała nogi powyżej kolan. Nic dziwnego, że tak śmiało sobie z nią poczynał. Nie tylko była wyzywająco ubrana, ale wręcz prosiła się, żeby ją wziął w ramiona. Mógł nawet uznać, że odmowa byłaby niegrzeczna. Stała przed lustrem, czerwona ze wstydu.

Później zachował się jak na dżentelmena przystało, wziął całą winę na siebie i najuprzejmiej przeprosił. Zapewnienie, że to się nigdy nie powtórzy, brzmiało bardzo szczerze.

Jednak to jej nie uspokoiło. Wiedziała, że w głębi duszy naprawdę chciała, żeby wziął ją w ramiona i pocałował. A przecież nawet nie lubiła tego mężczyzny. Nie, to nieprawda! Pan Barraclough nie był jasnowłosym bohaterem z jej marzeń, ale

go polubiła. W głowie Octavii rozległ się dzwonek alarmowy. Pan Barraclough mógł być nawet wzorem wszelkich cnót, ale jej wolno myśleć o nim jedynie jako o pracodawcy. Dopóki pozostaje na służbie, musi zachować stosowny dystans wobec Edwarda Barraclough.

Patrzyła w lustro i zastanawiała się, co będzie później, po zakończeniu tej maskarady. Czy jeśli spotkają się za rok w Londynie i Edward będzie już wiedział, że Octavia jest najmłodszą córką lorda Warnham i właścicielką Wychford, to będzie mu się podobała? Jest pożądanym kandydatem na męża, pewnie wiele pań z towarzystwa próbowało go sobą zainteresować.

Po raz pierwszy w życiu Octavia zastanawiała się, jak to jest być poślubioną, na przykład takiemu mężczyźnie jak Edward Barraclough. O czym ona myśli! Jeden pocałunek i już jest gotowa zapomnieć o Tomie Paynie, pozwolić, by jasnowłosy bohater jej snów odszedł w przeszłość? Dla mężczyzny o doświadczeniu Edwarda Barraclough ten pocałunek nie miał pewnie znaczenia, prawie go nie zauważył.

Octavia z trudem się opanowała. Jeśli ten pocałunek nie miał dla niego znaczenia, to i dla niej nie powinien. Widać już zbyt długo mieszkała w Wychford i zdecydowanie należało wyjechać chociaż na krótko. Po powrocie będzie stale pamiętała o swojej pozycji guwernantki, która wyklucza najbardziej niewinny flirt z panem domu.

Spotkanie z panem Barraclough okazało się jednak nadspodziewanie miłe i Octavia zaczęła powoli się odprężyć. Przy herbacie z drożdżówkami był uprzejmy, nic w jego zachowaniu nie wskazywało, by uważał ją za kogoś więcej niż tylko guwernantkę swych bratanic. Zaczęła wierzyć, że incydent w lesie naprawdę może pójść w zapomnienie.

Kiedy jednak po odejściu Jane i Lisette na wcześniejszy spoczynek Edward poprosił, by została, znów ogarnęła ją panika. Zauważył to i spochmurniał.

- Zdenerwowała się pani, jak widzę. To, co wydarzyło się po południu, było błędem, panno Petrie. Bardzo tego żałuję. Mam nadzieję, że zdołamy puścić to w niepamięć. Nie zamierzałem w niczym pani uchybić i musi pani w to uwierzyć, jeśli pragnie pani pozostać guwernantką moich bratanic. Inaczej sytuacja stanie się nieznośna. Co pani na to? Czy będzie pani w stanie wybaczyć i zapomnieć, czy też woli pani nie wracać już do Wychford po swoim jutrzejszym wyjeździe? Jeśli tak, zrozumiem, choć bardzo bym tego żałował.

Serce Octavii mocniej zabiło. Nie wracać do Wychford? Nie! Nie może porzucić... porzucić Lisette i Jane!

- Jestem w stanie puścić to w niepamięć, panie Barraclough - oświadczyła spokojnym tonem. - Oboje byliśmy pod wpływem silnego napięcia, żadne z nas nie było w pełni sobą.

- Otóż to.

- Może moja krótka nieobecność ułatwi nam obojgu zapomnienie o tej sprawie.

- Mam nadzieję. To nie jedyna kwestia, którą muszę z panią omówić. - Zamilkł na chwilę, zmarszczył czoło, po czym podjął: - Radzi sobie pani z dziewczętami lepiej, niż się spodziewałem. Są dobrze nauczane i znacznie szczęśliwsze, niż byłyby pod opieką panny Froom. Jednak dzisiaj Jane znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Fakt, że ryzykowała pani życie, żeby ją ratować, tego nie zmienia.

Octavia czekała. Miała świadomość, że każdy inny pracodawca już dawno by ją zwymyślał. Lekko podskoczyła, kiedy pan Barraclough podniósł głos.

- Jak pani mogła do tego dopuścić? Dlaczego nie narzuciła

jej pani żadnych reguł, żadnych ograniczeń dla jej własnego bezpieczeństwa?

Octavia nie mogła tłumaczyć się tym, że nie przypuszczała, iż dziewczynka może okazać się tak krnąbrna.

- Przepraszam.

- Dlaczego pozwala pani Jane wspinać się, kiedy i gdzie chce?

- Nie pozwalam! To prawda, że nie zabraniałam jej wchodzenia na drzewa, bo rozpira ją energia i ma potrzebę patrzenia na świat z góry. To nieszkodliwe przyzwyczajenie, z którego z pewnością kiedyś wyrośnie.

- Nieszkodliwe!

- Ustanowiłam pewne reguły, panie Barraclough. Zabroniłam jej wchodzenia na niektóre drzewa, także na to, na które dziś się wspięła. Zakazane są wszystkie drzewa rosnące nad brzegiem jeziora, a także wysokie gałęzie, takie jak ta, na której dzisiaj siedziała. Jane musiała zapomnieć o zakazie.

- Zapomnieć? A może to był bunt? Wiem od Lisette, że Jane miała dziś jeden ze swych czarnych dni.

- To prawda. Jednak kiedy ją znalazłam, była gotowa mnie posłuchać. Zeszłyby na dół, gdyby się nie przeraziła.

- Chyba że najpierw wpadłaby do jeziora.

- Tak - przyznała Octavia. - Tak mogło się stać. Przepraszam. Porozmawiam z Jane.

- Nie dzisiaj. Nie chcę zepsuć efektu drożdżówkowej uczyty, ale jutro sam z nią porozmawiam i ustanowię absolutny zakaz wchodzenia na wysokie gałęzie i na drzewa rosnące nad brzegiem. Więcej tego nie zrobi. W przyszłości proszę bardziej na nią uważać, kiedy wychodzi na dwór. Pani obowiązkiem jest czuwanie nad bezpieczeństwem dziewczynek, a nie tylko dostarczanie im radości. Kiedy Jane wpadnie w ten swój zły humor, potrafi być bardzo samowolna. Potrzebuje wówczas sil-

nej ręki. - Rzucił jej ostre spojrzenie. - Czy nadal pani sądzi, że potrafi nad nią zapanować?

- Tak. Kiedy to się powtórzy, będę już wiedziała, jak z nią postępować. Proszę jednak nie być dla niej zbyt surowym. Czuję, że z Jane więcej można osiągnąć miłością niż groźbami.

- Czyżby pani podejrzewała, że zamierzam biciem zmusić ją do posłuszeństwa?

- Oczywiście, że nie. Zapewne nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że dla kogoś znacznie mniejszego może pan być przerażający.

- Bardzo wątpię, bym panią przerażał, panno Petrie, a przecież jest pani zdecydowanie niewysoka. - Octavia chciała odpowiedzieć, ale Edward powstrzymał ją ruchem dłoni i kontynuował: - Nie zamierzam straszyć Jane, chcę tylko dopilnować, żeby się nie zabiła. Zapewniam panią, że kocham swoje bratanice. Zrobię wszystko co konieczne dla zapewnienia im bezpieczeństwa, nie zważając na ingerencje pani czy kogokolwiek innego. Czy to jasne?

Oto prawdziwy Edward Barraclough, pomyślała Octavia. Despota, który natychmiast tłamsi wszelkie cieplejsze uczucia, jeśli tylko się pojawią.

- Przedstawił pan to wyjątkowo jasno, sir - oświadczyła chłodno.

- Dobrze. W takim razie możemy o wszystkim zapomnieć. Kiedy chce pani wyjechać? Dopilnuję, żeby gig i woźnica byli do pani dyspozycji.

- Tylko gig, sir. Mogę sama powozić.

- Jak pani sobie życzy. Dobranoc, panno Petrie.

Po wyjściu Octavii Edward Barraclough usiadł przy biurku i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w leżące przed nim

papiery. Za nic w świecie nie przyznałby się do tego, ale był zadowolony, że panna Petrie wyjedzie na dwa dni. Prawdę mówiąc, dałby jej chętnie nawet tydzień wolnego, gdyby o to poprosiła. To mu dawało czas na otrząśnięcie się. Z czego? Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że z nieokreślonych uczuć, jakie w nim wzbudziła. Były co najmniej niewłaściwe. Wprost zmusił się do wypowiedzenia kilku słusznych uwag na temat jej podejścia do dziewczynek, a kiedy wyglądała na dotkniętą, z trudem się opanował, żeby jej nie pocieszyć. Wiercił się niespokojnie na krześle. Co, do diabła, się z nim dzieje?

Może byłoby lepiej, gdyby guwernantka nie wróciła... Odrzucił tę myśl, kiedy tylko zaświtała mu w głowie. To by nic nie dało, a byłoby wyjątkowo niedogodne. Otóż to. Gdyby panna Petrie miała nie podjąć swoich obowiązków, byłoby to niedogodne.

Był jednak zadowolony, że ma przed sobą dwa dni na uporanie się z nagłą, niepotrzebną fascynacją tą dziewczyną. Całkowicie niepotrzebną!



## Rozdział szósty

Octavia musiała jednak odłożyć wizytę w Ashcombe. Wieczorem Jane była spokojniejsza niż zwykle, a następnego dnia obudziła się rozpalona i narzekała, że wszystko ją boli.

Edward wezwał miejscowego lekarza, który stwierdził przeziębienie. Zalecił troskliwą opiekę i leżenie w łóżku przynajmniej przez tydzień. zaproponował, że przyśle pielęgniarkę.

- Mam wprawę w pielęgnacji chorych - powiedziała Octavia. - Doskonale sobie poradzę.

- Jane na pewno wolałaby kogoś znajomego - przyznał Edward po zastanowieniu. - Moim zdaniem, byłoby lepiej, gdyby to pani przy niej została.

- Mogę odłożyć wyjazd. Wolę zostać, dopóki Jane nie wyzdrowieje.

- W takim razie ustalone. Gdyby potrzebowała pani pomocy, proszę mi o tym powiedzieć.

Przez pierwsze trzy dni Jane była bardzo chora. Do jej pokoju wstawiono leżankę, na której każdej nocy spała jedna z pokojówek, żeby w razie potrzeby obudzić Octavię. Za dnia



siedziały przy niej na zmianę Lisette i Octavia, a i Edward często zaglądał.

Trzeciego dnia wieczorem, kiedy Octavia podniosła głowę znad szycia, zauważyła, że Jane wpatruje się w nią całkiem przytomnie. Wstała i podeszła z lampą w rękę.

- Witaj - powiedziała i postawiła lampę na stoliku przy łóżku. - Cieszę się, że do nas wróciłaś. Chcesz pić?

Uniosła Jane, żeby pomóc jej napić się ze stojącego przy łóżku kubka.

- Nigdzie nie odchodziłam - powiedziała powoli. - Bolała mnie głowa, ale już czuję się lepiej.

- To znakomita wiadomość.

- Gdzie Lisette?

- Chyba śpi. Opiekowała się tobą przez cały dzień i była zmęczona, posłałam więc ją do łóżka.

- A Edward?

- On również tu był. Pewnie zajrzy później.

- Mogę wstać?

- Jeszcze nie. Może jutro albo pojutrze.

- Pani wyjeżdża. Nie będzie pani tutaj.

Octavia usiadła na łóżku i ujęła rękę dziewczynki. Znalazły się obie w jasnym kręgu światła lampy, podczas gdy reszta pokoju tonęła w mroku.

- Zostanę, dopóki nie wyzdrowiejesz, kochanie - powiedziała ciepło.

- Nie chcę, żeby pani wyjeżdżała. Rodzice też obiecywali, że nie będzie ich tylko dwa dni, a nie wrócili już nigdy.

- Ja wrócę, Jane. Obiecuję.

- Dlaczego musi pani jechać do tego Ashcombe? Tam jest tylko jakiś stary pan!

- To nie jest tylko „jakiś stary pan”! - Octavia zawahała się,

spojrzała na zaróżowioną twarz Jane i zdecydowała się uchylić rąbka tajemnicy: - Nie jechałabym, gdyby to był tylko jakiś stary pan, Jane. To mój ojciec. Muszę go zobaczyć i sprawdzić, czy jest szczęśliwy i w dobrej formie. Pozwolił mi przyjechać tutaj i zaopiekować się tobą i Lisette, ale byłby rozczarowany, gdybym nie odwiedziła go od czasu do czasu. Chyba możesz to zrozumieć, prawda?

- Chyba tak. Nie wiedziałam, że to pani tata.

- Nikomu poza tobą o tym nie powiedziałam.

- A nie mógłby przyjechać tutaj? Chciałabym poznać pani tatę.

Octavia uśmiechnęła się.

- Jest bardzo stary. Nie może tak daleko podróżować. Wróć za dwa dni, przekonasz się.

- Pewnie ma pani w domu także mnóstwo sióstr i braci.

- Ani jednego! Jestem najmłodsza i wszyscy poza jednym bratem założyli własne rodziny. A ten jeden jest w wojsku.

- Jakie mają imiona?

Jane robiła się znowu śpiąca. Octavia uznała, że nic się nie stanie, jeśli opowie jej trochę o swojej rodzinie.

- Najstarszy jest Arthur. Ma cztery córki.

- W moim wieku?

- Dwie są od ciebie starsze. Po Arthurze urodziły się moje trzy siostry: Gussie, Eleanor i Charlotte. Wszystkie są już zamężne i mają gromadkę dzieci.

- W moim wieku?

- Wszystkie pociechy Gussie są od ciebie starsze, podobnie jak trójka Eleanor i Charlotty. Pozostałe są młodsze.

- Dalej. Kto jest następny?

- Następna jest Elizabeth. Była mężatką, lecz jej mąż nie żyje. Mieszka we Francji, ale myślę, że wkrótce wróci do Anglii.

- Ile ma dzieci?  
- Żadnego.  
- Gussie, Eleanor, Charlotte, Elizabeth... Ma pani jeszcze jakichś braci?

- Poza Arthurem? Miałam dwóch, ale starszy, Stephen, był żołnierzem i zginął pod Waterloo. Teraz, poza Arthurem, mam tylko jednego brata.

- Cztery siostry i dwaj bracia. Całkiem sporo - mruknęła sennie Jane. - Czy Edward przyjdzie niedługo? Chcę już spać.

Octavia uśmiechnęła się i pocałowała dziewczynkę.

- W każdej chwili może wejść - powiedziała.

- Już tu jest - dobiegł z mroku głos.

- Pan Barraclough! - zawołała przestraszona Octavia.

- Nie chciałem pani przerywać - powiedział, wchodząc w głąb pokoju. - Muszę przyznać, że interesuje mnie pani rodzina. Sześcioro rodzeństwa. Nic dziwnego, że zna pani tyle zabaw. Jak się czujesz, panienko?

- Chyba lepiej. Panna Petrie obiecała zostać, póki całkiem nie wydobrzeję, i obiecała, że na pewno wróci.

- To dobrze. - Edward spojrział na twarz guwernantki. - Cieszę się.

Octavia była zadowolona, że w pokoju panuje półmrok, bo poczuła, że jej policzki zalał krwisty rumieniec.

- Jeśli posiedzi pan trochę z Jane, sir, to zajrzę do Lisette i sprawdzę, czy już się położyła. Była bardzo zmęczona. - Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała Jane. - Dobranoc, kochanie. Dobranoc panu.

Następne kilka dni toczyło się podobnym trybem. Jane szybko wracała do zdrowia i odzyskiwała energię. Edward

spędzał z nią wiele czasu, a Lisette była zawsze w pobliżu. Po tygodniu Octavia uznała, że może bez obaw ich zostawić, i pojechała z dwudniową wizytą do Ashcombe.

Nie musiała martwić się o ojca. Mąż lady Dorney był człowiekiem słabego zdrowia i lord Warnham spędzał z kuzynką upojne chwile, omawiając z nią symptomy różnych chorób i sposoby ich leczenia. Tęsknił za córką, oczywiście, ale nie aż tak, jak się obawiała.

- Kuzynka Marjorie zna więcej przepisów na kleiki niż ja - zawiadomił córkę. - Naprawdę doskonale mi robią. Mam nadzieję, że namówisz ją, by została trochę dłużej, Octavio, Nie wypróbowaliśmy jeszcze nawet połowy z nich.

- Obiecała być u nas przynajmniej dwa miesiące, papo. Może zgodziłaby się przedłużyć pobyt, gdybyś tego pragnął. O ile wiem, nie ma żadnych planów na zimę.

- To świetnie! Musimy się postarać, żeby zabawiła aż do wiosny. Byłem kompletnie załamany na wieść o nieszczęściu Arthura, ale kuzynka Marjorie zdołała mnie pocieszyć.

- A co się stało Arthurowi, tato?

- Jego żona urodziła kolejną córkę, moja droga. Przecież jeszcze przed ślubem ostrzegałem Arthura, że u Dawsonów rodzą się same córki, ale mnie nie słuchał. A teraz doktorzy stwierdzili, że Sarah nie może mieć więcej dzieci. Arthur ma pięć córek i ani jednego dziedzica.

Octavia nie przepadała za najstarszym bratem, rozumiała jednak, że był to dotkliwy cios dla jego dumy.

- To bardzo smutne, papo.

- W rzeczy samej. Współczuję mu.

- To Sarah należy się współczucie - zauważyła Octavia. - Arthur jej tego nie wybaczy.

- Rozumiesz, co to oznacza, Octavio? Po odejściu moim i Arthura tytuł odziedziczy Harry. Co ty na to?

Harry Petrie, najmłodszy i najdzielniejszy z synów lorda Warnham, był ukochanym bratem Octavii. Jeszcze się nie ożenił i służył w gwardii w randze porucznika.

- Czy to oznacza, że Harry musi wszystko rzucić?

- Oczywiście! Arthur już wysłał do niego list. On zawsze bierze na siebie tego typu sprawy.

- Co Arthur mu napisał?

- Że musi zrezygnować z patentu oficerskiego, ustatkować się i ożenić.

- Biedny Harry.

- Stephen nie powinien zaciągać się do armii. Służba wojskowa to wyjątkowo niebezpieczne zajęcie. Gdyby Stephen nie zginął, Harry nie musiałby porzucić obecnego życia.

- Ale wówczas to Harry podejmowałby ryzyko.

Ojciec popatrzył na Octavię i uznał, że lepiej zmienić temat.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak sobie radzisz w Wychford, kochanie. Wyglądasz doskonale.

- Radzimy sobie całkiem nieźle, papo. Chyba zaczynamy wreszcie robić postępy, choć jeszcze sporo przed nami. Jutro muszę tam wracać.

- Tak szybko?

- Niestety. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- O mnie się nie martw, kochanie. Mam towarzystwo kuzynki Marjorie. Gawędzimy o latach naszej młodości. Obiecała, że jutro przyrządzi nowy kleik.

Z rozmowy z ojcem Octavia wywnioskowała, że zaproszenie lady Dorney okazało się znakomitym pomysłem. Wyjeżdżając z Ashcombe, miała już pewność, że nie musi się o niego martwić.

Octavia znacznie bardziej przejmowała się tym, co czeka ją w Wychford, nawet zadała sobie w duchu pytanie, czy nie popełnia głupstwa, wracając. Przemyślała swoje postępowanie w dniu wypadku Jane i jego wpływ na dalsze stosunki z Edwardem Barraclough. Zdawał się obwiniać siebie o to, co się stało, i jego przeprosiny brzmiały całkiem szczerze. Wierzyła również, że rzeczywiście pragnął potraktować tamten pocałunek jak chwilowe szaleństwo, o którym jak najszybciej należy zapomnieć. Była pewna, że to się więcej nie powtórzy. Pan Barraclough obiecał jej to uczciwie. Przez cały następny tydzień traktował ją z chłodną uprzejmością.

Nie, to nie zachowanie panna Barraclough martwiło Octavię, lecz raczej jej własne. Tęskniłaby, gdyby nie wróciła do Wychford. Brakowałoby jej delikatnego uroku Lisette i nieokiełznanej żywiołowości Jane. A także tego czarodziejskiego domu i jego zabawnych okien, pobliskiego jeziora i starych drzew. Ale nade wszystko, i to właśnie ją martwiło, brakowałoby jej towarzystwa Edwarda Barraclough. Nie przeceniała znaczenia ich pocałunku, wiedziała, że był przypadkowy, spowodowany wyjątkową sytuacją. Zawsze uchodziła za najrozsądniejszą osobę w rodzinie, za dziewczynę zdrowo myślącą, bez śladu romantycznych skłonności. Przyspieszone bicie serca, urywany oddech - to było dobre dla innych, nie dla Octavii Petrie. Mało prawdopodobne, by ponownie straciła głowę. Jednak żaden z młodych mężczyzn, których poznała w czasie swego londyńskiego sezonu, nie zaintrygował jej tak bardzo jak Edward Barraclough.

Miała jeszcze jedno zmartwienie. Ona i jej brat Harry, dwójka najmłodszych dzieci w rodzinie Petrie, zawsze byli z sobą blisko związani. Jeśli brat po powrocie do Anglii nie

zastanie jej w Ashcombe, gotów jej szukać w Wychford. To mogło ją zdemaskować.

Uspokajała się myślą, że zapewne upłynie sporo czasu, zanim Harry zjedzie do Ashcombe. Jeżeli do tego czasu ona nie wróci jeszcze do domu, to prześle bratu wiadomość, że nie powinien jej szukać. W przeszłości nieraz razem spiskowali - brat jej nie wyda.

Edward Barraclough stwierdził z irytacją, że nieobecność panny Petrie wcale go nie uleczyła. Z niecierpliwością wyglądał jej powrotu, i to bynajmniej nie dlatego, że dziewczynki przysparzały mu kłopotów. Te dwa dni były raczej przyjemne, chociaż trochę mdłe. Brakowało nadającej smak przyprawy. Brakowało im panny Petrie.

Zgodnie z obietnicą próbował wyrzucić z pamięci nieoczekiwaną rozkosz pocałunku. Wiedział, że jeśli Octavia ma pozostać w Wychford, to ta sfera będzie zakazana. Czuł jednak, że chodzi o coś więcej...

Dziwne, pociągały go ciemnowłose, ciemnoookie piękności o pełnych kształtach, biegłe w miłosnych gierkach i sztuczkiach. Nigdy nie interesował go ich umysł czy sztuka konwersacji. Nie uwierzyłyby, że mogłyby go pociągać zwyczajna rozmowa z kobietą, że mogłyby cieszyć się jej towarzystwem. Co takiego jest w tej pannie Petrie?

Może uśmiech, który potrafi całkowicie odmienić jej twarz? Może zmrużenie oczu w chwilach skupienia? Uniesienie jednej brwi, sygnalizujące sceptycyzm lub ironię? Albo gotowość do rzucania mu wyzwania, która nie oznaczała bynajmniej braku szacunku? A może irytująca umiejętność absolutnie jednoznacznego przedstawiania swojego punktu widzenia bez wypowiedzania choćby jednego słowa?

W dodatku nie należy do kobiet przeciętnej urody. Rysy jej twarzy są delikatne i regularne, a figurka bardzo zgrabna. Edward Barraclough uznał, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Powinien przestać myśleć o pannie Petrie i jej doskonałych proporcjach. Opieka nad bratanicami nie stanowi dla niego problemu, natomiast będące jej rezultatem życie w celibacie wyraźnie mu nie służy. Nic dziwnego, że nachodzą go niestosowne myśli o guwernantce dziewczynek! Powinien spędzać więcej czasu w Londynie i postanowił udać się tam zaraz po przyjeździe panny Petrie. Co prawda, musiał zrezygnować z kuszących zaproszeń do rezydencji swych przyjaciół, ale w stolicy rozrywek nie brakowało. Mógł oddawać się hazardowi w licznych klubach, pić z przyjaciółmi i rozkoszować się wdziękami pięknej Louise. Dzięki temu bardzo szybko wywierzają mu z głowy niestosowne myśli o guwernantce.

Dlatego właśnie niemal natychmiast po powrocie Octavii Petrie do Wychford Edward Barraclough wyjechał do Londynu, gdzie rzucił się w wir życia towarzyskiego.

Trwało to tydzień. Zrobił to, co sobie obiecał: korzystał z wszelkich możliwych uciech. Uprawiał hazard, pił na umór, a z Louise spędził wiele rozkosznych chwil, tym rozkoszniejszych, że chyba znów zaczęło jej zależeć na zdobyciu jego względów. Jednak już po kilku dniach zaczął go dręczyć bliżej nieokreślony niepokój. Londyn wydał mu się stary i brudny, a obowiązujące w nim konwencjonalne zachowania - sztuczne i nużące. Zaczął tęsknić za świeżością lasów okalających Wychford, za młodzieńczymi głosami bratanic, za ich spontanicznym śmiechem podczas zabaw, żywością rozmów, za sylwetkami trzech dziewcząt, spacerujących przed domem, dyskutujących zawzięcie czy robiących notatki.



Nawet kiedy był z kochanką, zaczynało mu się przykrzyć. Louise była śliczna jak zawsze i jak zawsze biegła w sprawianiu mu rozkoszy, ale kiedy kończyli się kochać, nie mieli o czym rozmawiać. W jej oczach nie pojawiał się błysk gniewu czy wyzwania, tylko wyraz wdzięczności za ten czy inny drobiazg. Delikatne łuki brwi nie unosiły się, żeby wyrazić sceptycyzm lub niedowierzenie. Potrafiła się ślicznie dąsać, ale nigdy nie roześmiała się spontanicznie z radości ani nie zaryzykowała zmarszczenia czoła w wyrazie autentycznego gniewu. Co więcej - aż trudno uwierzyć, że dotychczas tego nie zauważył - Louise była pozbawiona poczucia humoru.

Wrócił pod koniec października w wietrzny i chłodny dzień, ale Wychford nawet w deszczu zdawało się go zapraszać. W oknach małego saloniku odbijał się blask ognia płonącego w kominku. Podszedł do okna i zajrzał do środka. Dziewczęta usadowiły się wokół okrągłego stolika, na którym leżały sterty sztonów. Panna Petrie, jak zwykle, miała na sobie prostą suknię, niepodkreślającą powabów zgrabnej figury. Włosy zaczesła do tyłu w ten okropny węzeł, ale odbłask ognia wydobył ich wspaniały, żywy kolor i Edward uśmiechnął się z przyjemnością na ich widok. Widział, jak jej twarz rozjaśniła się uśmiechem, kiedy przesuwiała stertę sztonów w stronę Lisette, a potem wyrzuciła w górę ręce w geście udawanej rozpacz.

- Lisette! - zawołała. - To koniec mojej fortuny. Jestem zrujnowana!

Lisette wybuchnęła śmiechem, który całkowicie odmienił jej śliczną buzię. Tymczasem Jane obiegła stół i uściskała z całej siły guwernantkę.

- Niech pani weźmie trochę moich, panno Petrie! Mam mnóstwo.

- Jesteś kochana, Jane, ale dziękuję, nie skorzystam. Jeśli nie masz pieniędzy, odpadasz z gry. To pierwsza zasada, której nauczyli mnie moi bracia. Poza tym będziesz potrzebowała wszystkich swoich środków, żeby pokonać Lisette. Ona jest w szczytowej formie.

- Kto tam? - Jane, odwracając się, zauważyła twarz w oknie. W następnej chwili rozpoznała stryja. Biegiem popędziła do holu, wołając:

- Edward!

Widok Edwarda Barraclough położył kres przekonaniu Octavii, że jest racjonalnie myślącą istotą, która potrafi trzymać uczucia na wodzy. Gdy dostrzegła w oknie jego smagłą twarz, oblała ją fala gorąca, bo nagle niezwykle żywo stanął jej w pamięci ich pocałunek. Zachowała jednak resztki władzy nad emocjami, bo kiedy Edward wszedł do pokoju prowadzony przez podekscytowaną Jane, odniosła się do niego raczej uprzejmie niż serdecznie.

- Pewnie zmarzył pan w podróży, sir. Może poślę po herbatę czy inne napoje?

- Zaczekam. Dokończcie tę grę. Chyba jej nie znam.

- Panna Petrie przywiozła z domu mnóstwo gier, Edwardzie - wyjaśniła Jane, ciągnąc go do stolika. - Bawiła się nimi z rodzeństwem. Dziś było zbyt zimno, żeby wyjść na dwór. Spójrz na wygraną Lisette! Doprowadziła już pannę Petrie do ruiny!

Edward wziął do ręki jeden ze sztonów. Był stary i zniszczony, ale niewątpliwie niegdyś przedstawiał znaczną wartość.

- A to pech. Wyciągnij wnioski z tej przegranej, panienko. Pokażcie mi, jak się w to gra.

Po chwili obie dziewczynki były znowu bez reszty za-

absorbowane grą. Edward odciągnął Octavic na stronę i zapytał zniżonym głosem:

- Co z Jane?

- Jestem pewna, że choroba nie zostawiła żadnych trwałych śladów, chociaż od czasu do czasu miewa koszmary. Śni jej się, że spada, i budzi się z krzykiem.

- Nadal? Raz to się zdarzyło podczas pani pobytu w Ashcombe, myślałem jednak, że z czasem przejdzie.

- Na pewno przejdzie. Oby pogoda poprawiła się na tyle, żeby Jane mogła wychodzić na świeże powietrze, jak dawniej. Ma mnóstwo energii, którą powinna rozładować, ale nie chciałam wypuszczać jej na dwór na zbyt długo. Próbowałam ją czymś zainteresować. Zaczęłam nawet uczyć ją gry w szachy.

- I w tryktraka. - Spojrzał na bratanice. - Czy szachy są równie cenne jak żetony do tryktraka?

- O co panu chodzi? - Octavia spojrzała na niego pytająco.

- Zastanawiam się nad panią. Te stare żetony to nie są zwyczajne zabawki dla dzieci, zostały wykonane z kości słoniowej i widzę jeszcze wstawki z hebanu. Dziwne zabawki jak na dzieci biednego proboszcza.

- A kto panu powiedział, że mój ojciec jest proboszczem? Na pewno nie ja.

- Chyba przyjąłem takie założenie. Jest pani kobietą wykształconą, ale musi pani zarabiać na życie. Wyraźnie lubi pani opiekować się innymi. To wszystko doskonale pasuje do córki proboszcza z powszechnie szanowanej rodziny.

- Moja rodzina jest rzeczywiście powszechnie szanowana, sir - potwierdziła Octavia.

- Kim jest pani ojciec, jeśli nie proboszczem? Nauczycielem?

- Nie. On... od lat jest inwalidą. A przedtem zarządzał majątkiem ziemskim.

- A! Zarządca!

- Coś w tym rodzaju. Zabawki dostaliśmy od rodziny, która mieszkała we dworze. - Octavia czuła się bardzo nieswojo. Z każdą chwilą głębiej brnęła w półprawdy. Przywiozła z Ashcombe gry, nie zastanawiając się nad ich wartością. Myślała tylko o zapewnieniu dziewczynkom rozrywki na chłodniejsze dni. A doprowadziła do tego, że Edward Barraclough zaczął ją wypytywać. Pora zmienić temat.

- Zadowolony pan z pobytu w Londynie? - zapytała.

- Niezupełnie - odparł. - Zna pani stolicę?

Znowu ją zahaczył!

- Mieszkałam tam przez kilka miesięcy - wyznała. - Dość dawno temu. Pewnie dużo się od tego czasu zmieniło. Czy miał pan ostatnio wiadomość od bratowej?

Edward zmarszczył brwi. Spojrzał na zajęte grą bratanice i odprowadził Octavię w drugi koniec pokoju.

- Julia może przyjechać do Anglii wcześniej, niż się spodziewałem - powiedział cicho. - Podobno Ricardo Arandez wyruszył do Europy.

- Sądzi pan, że będzie chciał spotkać się z Lisette? Może naprawdę kocha pańską bratanicę?

- Kocha jej majątek.

- A co on mógłby zrobić? Mówił pan przecież, że ojciec Lisette wycofał zgodę na ślub. Ten młodzieniec na pewno zdaje sobie sprawę, że ona nie sprzeciwi się woli opiekunów. Jane mogłaby to zrobić, lecz nie Lisette.

- Zgodziłbym się z panią, ale sprawa nie przedstawia się tak prosto. Po śmierci mojego brata Arandez zdołał przekonać Lisette, że jej ojciec jednak złągodniał i życzył sobie, by za niego wyszła.

- A to nieprawda?

- Oczywiście! John uznał, że Arandez nie jest odpowiednim kandydatem na męża Lisette, i to wszystko. Nie zmienił zdania.

- Dlaczego Lisette w to nie wierzy?

- Chyba muszę pani powiedzieć wszystko. - Zerknął na dziewczynki. - Nie tutaj. Przyjdźmy do biblioteki.

Kiedy Octavia usiadła wygodnie w fotelu, podjął opowieść.

- Ricardo Arandez ma dar przekonywania. Mój brat John wiedział, że Lisette lubi syna sąsiadów, i obiecał, że jeśli nadal będzie go lubiła, gdy dorośnie, udzieli zgody na ich ślub. To małżeństwo przyniosłoby nawet pewne korzyści, bo ziemie Arandezów graniczą z naszymi. Wkrótce jednak John doszedł do wniosku, że nie takiego człowieka chciałby mieć za zięcia i wycofał zgodę. Jasne?

Octavia kiwnęła głową.

- Potem John i jego żona zginęli. Nie upłynął nawet tydzień od ich śmierci, a Arandez oświadczył, że rozmawiał z moim bratem w przeddzień wypadku i że brat żałował, iż wycofał zgodę na małżeństwo, i ponownie jej udzielił. Nie uwierzyliśmy w te bzdury. Wygoniliśmy go z Henrym i kazaliśmy Lisette zapomnieć o Ricardo Arandezie.

- Czy to nie było zbyt okrutne? Biedna dziewczyna i tak była w szoku. Arandez mógłby ją pocieszyć.

- Pocieszyć! Proszę mnie wysłuchać, zanim zacznie pani wydawać sądy. Arandez poczekał, aż wyjadę, i potajemnie spotkał się z Lisette. Później wyjawiała mojej bratowej, że Arandez pokazał jej list rzekomo napisany przez Johna, w którym mój brat wyrażał pragnienie, by młodzi pobrali się, tak jak to było dawniej planowane. Możemy tylko podejrzewać, że list został sfałszowany, bo nikt poza Lisette go nie widział.

Arandezowi udało się jednak przekonać Lisette. Była gotowa przeciwstawić się rodzinie i uciec z nim. Na szczęście Henry ich nakrył i Arandez został wypędzony.

- Czy nikomu z was nie przyszło do głowy, że Lisette mogła być w nim zakochana?

Edwardowi wyrwał się okrzyk zniecierpliwienia.

- Już pani mówiłem, panno Petrie, że Lisette była za młoda, żeby się w kimkolwiek kochać. Arandez wykorzystał to, że była kompletnie rozbita i bezbronna po śmierci rodziców. Szukała w nim oparcia, to wszystko. Nie była w nim zakochana! - Zauważył sceptyczną minę Octavii i kontynuował już spokojniej. - Zresztą nawet gdyby była w nim zakochana, to i tak nie miałoby znaczenia. Ani ja, ani Henry nie pozwolilibyśmy jej wyjść za Arandeza.

- Przypuszcza pan, że bratowa może zjawić się tu wcześniej, niż zamierzała? - zapytała, zmieniając temat.

- Jeśli tylko będzie mogła. Obawiam się, że pani Baraclough nie bardzo wierzy w moje zdolności zapewnienia opieki bratanicom, panno Petrie. Chyba nie bez powodu.

- Nie zgadzam się z panem. Chyba nie widziała pana z dziewczynkami.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Jestem poruszony. Komplement z pani ust to rzadkość.

- Mówiłam poważnie. Przecież właśnie skrócił pan pobyt w Londynie.

- Tak, rzeczywiście. Muszę przyznać, że Londyn w zimie jest okropnie nudny. Wyjechałem stamtąd bez żalu. Życie w Wychford wydaje mi się znacznie bardziej interesujące.

Najwyraźniej Edward powiedział to bez podtekstów i złych intencji, ale Octavia zaczerwieniła się i obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

- Nie miałem nic złego na myśli - zapewnił Edward. - Starałem się zapomnieć, tak jak obiecałem. Niech mi pani nie utrudnia.

- Ja... nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Chciałem przez to powiedzieć, panno Petrie, że oboje musimy walczyć z własną pamięcią. Oczywiście, jeśli chcemy żyć pod jednym dachem, nie wywołując skandalu, którego za wszelką cenę pragnę uniknąć.

Nerwy Octavii były napięte do granic możliwości. Najpierw niespodziewany przyjazd, potem próby uniknięcia odpowiedzi na pytania o rodzinę, gorące współczucie dla Lisette, a w końcu odkrycie, że ich wzajemny pociąg pozostał równie silny jak poprzednio - tego już za wiele! Musiała przywołać na pomoc całą swoją dumę.

- Nie ma pan powodu obawiać się, że swoim postępowaniem doprowadzę do skandalu, sir - oświadczyła chłodno, po czym wróciła do pokoju, w którym toczyła się gra.

Dziewczynki zakończyły partię. Lisette wygrała.

Przez kolejne dwa dni Octavia unikała Edwarda. Nie było to trudne. Nazajutrz zabrał dziewczynki w odwiedziny do swych przyjaciół w Guildford i skwapliwie wyraził zgodę, by pozostała w Wychford. Wydawało się wręcz, że poczuł ulgę. Na drugi dzień zamknął się w bibliotece na wiele godzin, po czym przyszedł do saloniku ze zmarszczonym czołem, trzymając w ręku jakieś papiery. Dziewczynki grały w szachy, a Octavia siedziała przy kominku, przypatrując się od czasu do czasu ich rozgrywce, i szyła.

- Jesteś zły, Edwardzie? - zapytała Lisette.

-- Nie, tylko zaciekawiony.

- A co cię tak ciekawi?

- Ten dom. Przejrzałem wszystkie dokumenty dotyczące naszej dzierżawy, ale nigdzie nie znalazłem nazwiska właściciela.

- To nie pan Walters?

- Nie, on jest tylko agentem. Dom został zapisany w spadku siostrzenicy pani Carstairs, ale nie znam jej nazwiska. Wszelkie umowy uzgadnialiśmy z panem Waltersem, i to jego podpis widnieje na dokumentach. Podejrzewam, że panna Carstairs, czy jak się tam nazywa, musi być wyjątkowo nieśmiała. Szkoda. Chciałbym porozmawiać z nią o jej ciotce. Może napiszę do pana Waltersa z prośbą o zaaranżowanie spotkania z tą panią.

Octavia wiedziała, że pan Walters bez jej zgody za nic w świecie nie zdradzi jej nazwiska, ale mimo to się przestraszyła.

- Coś się pani stało, panno Petrie?

- Nie, panie Barraclough. Ukłułam się w palec.

Spojrzał na nią przenikliwie, a ona pochyliła głowę, ciesząc się, że ma wymówkę, by ukryć twarz.

- Czy pani wie coś o tym domu, panno Petrie? Albo o siostrzenicy pani Carstairs? Ashcombe znajduje się w niewielkiej odległości od Wychford.

- O pani Carstairs krążyły w tej okolicy legendy - powiedziała ostrożnie, nie podnosząc głowy znad szycia. - Nikt nie wiedział o tym, że zamierza zostawić Wychford siostrzenicy. O ile wiem, siostrzenica nigdy jej nie odwiedzała w tym domu.

- Rozumiem. W takich razie muszę napisać do pana Waltersa. A, byłbym zapomniął, jutro znów zabieram dziewczynki do Guildford. Pani Allardyce zorganizowała lekcje tańca dla swoich córek i zaproponowała, żeby Lisette i Jane dołączyły do nich. Chce pani pojechać?

- Chyba nie. Trochę zaniedbałyśmy ostatnio naukę i wolałabym zostać, żeby przygotować dla panienek kilka ćwiczeń.



- Jak sobie pani życzy - odparł Edward. Dziewczynki, oczywiście, protestowały, ale Octavia nie ustąpiła. Perspektywa spędzenia całego dnia w samotności i spokojnego zastanowienia się nad sobą była wyjątkowo pociągająca.

Po wyjeździe Edwarda i dziewcząt do Guildford Octavia poświęciła trochę czasu na przygotowanie lekcji na następny tydzień. Było jej ciężko na sercu. Julia Barraclough mogła wkrótce się zjawić, a ze słów dziewczynek wynikało, że niełatwo ją zadowolić. Jeśli groźna pani Barraclough ma zaakceptować wybraną przez szwagra guwernantkę, należy szczególnie się postarać. W przeciwnym razie jej przybycie mogło zwiastować wyjazd Octavii, której pobyt w Wychford i tak nie miał już długo potrwać.

Pracowała sumiennie przez cały poranek. Po południu ubrała się ciepło i wyszła na dwór w nadziei, że spacer rozproszy jej melancholię. Ziemia była miękka i nasiąknięta wodą, ale przynajmniej przestało padać, a powietrze było świeże. Ruszyła szybkim krokiem aleją dojazdową. Kiedy skręciła na skrzyżowaniu, dostrzegła w oddali samotnego jeźdźca. Rozpoznała go.



## Rozdział siódmy

- Harry! - krzyknęła Octavia. - O, mój Boże! Co ty tu robisz?

Wysoki jasnowłosy mężczyzna zeskoczył z konia i zamknął ją w mocnym uścisku. Peleryna podróżna rozchyliła się, odsłaniając mundur porucznika gwardii.

- To ma być powitanie od dawna niewidzianego brata! Spodziewałem się większego entuzjazmu.

- Ale... skąd jedziesz?

- Z Ashcombe, oczywiście. Postanowiłem pomieszkać u ciebie kilka dni i przyjrzeć się temu domostwu. Ty szczęściar! Już na pierwszy rzut oka widać, że to fantastyczny majątek. Jak to dobrze, że Czarownica z Wychford zostawiła ci go w spadku.

- A... co papa ci powiedział?

Brat spojrział na nią wyraźnie zaskoczony.

- No, że siedzisz tu, by doprowadzić dom do porządku. Nie rozmawiałem z nim zbyt długo, bo okropnie mnie zirytował. Wyobraź sobie, Arthur twierdzi, że muszę wystąpić z wojska.

- Owszem, coś na ten temat słyszałam.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego Arthur wygaduje takie głupoty.

- Mówiłam papie, że nie najlepiej to przyjmiesz. Arthur się szarogęsi, ale przecież zawsze był taki, a ostitnio papa zostawił wszystko na jego głowie. Martwi się o sukcesję, oczywiście. Słyszałeś, że Sarah urodziła kolejną córkę?

- Niech diabli porwą sukcesję! Gdyby chodziło tylko o gadaninę Arthura, w ogóle bym się tym nie przejmował. Ale papa się z nim zgadza. Nie chciał słuchać moich argumentów, postanowiłem więc przyjechać do ciebie. A tr wcale nie ucieszyłaś się na mój widok.

Octavia serdecznie uściskała brata i pocałowała go.

- Harry, oczywiście, że bardzo się cieszę. Jak możesz w to wątpić? Chodzi o to... Musimy porozmawiać. Powinnam ci to i owo wyjaśnić. - Pociągnęła go za rękaw. - Zejdźmy z drogi. Mogą wrócić lada chwila.

Brat spojrział na nią podejrzliwie, ale nie protestował.

- Jacy „oni”? Jesteś naprawdę zaniepokojona. W co się wplątałaś?

Octavia odprowadziła brata i jego konia nieco w bok, na dróżkę wiodącą w stronę lasu. Skrótowo zrelacjonowała mu swe dotychczasowe przygody w Wychford, pomijając jedynie pewne osobiste, nieistotne dla sprawy szczegóły.

Harry nie należał do tępych i już po chwili miał pełny obraz sytuacji. Był nią szczerze rozbawiony.

- Jesteś durniem, Harry! - zawołała poirytowana Octavia. - Z czego się śmiesz? Masz pojęcie, co by się stało, gdyby się dowiedzieli, kim jestem?

- Cóż, nie mogę wypowiadać się za rodzinę Barraclough, ale ja na ich miejscu natychmiast wyrzuciłbym cię z domu. Ale czy mogliby cię wyrzucić z twojego własnego domu? - Harry dostał kolejnego napadu śmiechu.

- Harry! - Octavia chciała tupnąć, ale nic z tego nie wyszło, bo grunt był rozmiękły.

- Dlaczego to zrobiłaś? Dla żartu? Myślałem, że wyrosłaś już z takich dowcipów.

- To wcale nie miał być żart. Po prostu ten dom... te dziewczynki... podkusiło mnie, żeby tu zostać. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam wyrwać się z Ashcombe!

Octavia opowiedziała bratu o dojmującej nudzie, jaka dręczyła ją w domu. Harry'ego natychmiast ogarnęło współczucie.

- Mimo wszystko musiała być inna droga ucieczki. Postawiłaś się wobec rodziny Barraclough w bardzo niewygodnej pozycji. Jacy oni są?

Octavia zatrzymała się i nasłuchiwała. Z oddali dobiegał stukot kopyt, skrzypienie powozu, turkot kół na żwirze. Karetta wjechała w bramę Wychford.

- Jeśli będziemy mieć pecha, sam się przekonasz, i to szybciej, niż sądzisz - stwierdziła nerwowo. - To właśnie powóz Edwarda Barraclough, powracający z Guildford. Owiń się peleryną. Szkarłatny mundur rzuca się w oczy z odległości wielu mil. I bądź cicho. Nie mogą zobaczyć nas razem. W ogóle nie mogą cię zobaczyć.

Octavia czekała w napięciu, po czym odetchnęła z ulgą, kiedy powóz ich minął. Odwróciła się do brata.

- Przepraszam, Harry, ale muszę już iść. Jeśli Jane nie znajdzie mnie w domu, przybiegnie, żeby mnie szukać, albo przyśle Lisette.

- A co ja mam robić? Pozostało jeszcze wiele spraw do omówienia. Do licha, przecież nie widzieliśmy się przeszło dwa lata. Bądź rozsądna, siostrzyczko. Czy nie mógłbym wejść z tobą do domu?

- Nie! Co miałabym powiedzieć Edwardowi Barraclough?

Jest zbyt bystry, by zaakceptować byle jaką historyjkę. Jak tylko cię zobaczy, zaraz nabierze podejrzeń.

- Nie jesteśmy do siebie podobni. Możemy udawać przyjaciół.

- Nie wejdiesz do domu, Harry! Wracaj do Ashcombe i poczekaj tam na mnie.

- Mam zakopać się w Ashcombe na trzy czy cztery tygodnie? Muszę wracać do regimentu. Umówmy się tak: pojedę do Ashcombe na tę jedną noc, żeby zostawić mundur i zabrać trochę cywilnych ubrań. Jutro wynajmę pokój w pobliskiej wsi na dwie, trzy noce. Będziemy mogli się spotkać. Nie martw się! Nie podam prawdziwego nazwiska. Będę Harrym... Smithem.

- Mało oryginalne.

- Harry Smith to wielki bohater dla żołnierzy, moja panno. Walczył na Półwyspie Iberyjskim i pod Waterloo.

- Rozumiem - mruknęła Octavia najwyraźniej zaprzątnięta jakąś myślą. - Harry, jeśli chcesz zostać bohaterem, moim bohaterem, to zrób coś dla mnie. Muszę przekazać panu Waltersowi wiadomość i łamałam sobie głowę, jak to zrobić, nie narażając się na wpadkę. Gdybyś zgodził się wstąpić do niego po drodze, rozwiązałbyś mój problem. Jutro, jeśli to możliwe. Jego kancelaria mieści się w Guildford.

- Guildford! To nie po drodze.

- Proszę, Harry. Zdjąłbyś mi przynajmniej jeden kłopot z głowy. Nie podejrzewam, że pan Walters może cokolwiek zrobić bez porozumienia ze mną, ale lepiej mieć pewność. Pan Barraclough potrafi być bardzo apodyktyczny.

- Chyba mógłbym wracać przez Guildford... Co to za wiadomość?

- Tylko tyle, że pan Barraclough zamierza go prosić o za-

aranżowanie spotkania z siostrzenicą pani Carstairs, czyli ze mną. To oczywiście nie wchodzi w rachubę. Powiedz panu Waltersowi, żeby w żadnym wypadku nie zdradził mu mojego nazwiska ani nie informował, kim jestem. Zrozumiałeś? Walters nie może mu ustąpić. Zapamiętasz? Nie mam czasu, żeby to napisać.

- Moja kochana siostrzyczko, przekazywałem znacznie dłuższe posłania niż to. I znacznie ważniejsze.

- Nie dla mnie. Harry, jesteś kochany. Muszę już iść. Zobaczymy się pojutrze. Przed południem mam lekcje z dziewczynkami, ale możemy spotkać się tu o trzeciej. Tylko nie przychodź wcześniej. Jeśli pogoda dopisze, wyjdę z dziewczętami na spacer.

Pospieszyła do domu z mieszanymi uczuciami. Cudownie było znów zobaczyć brata, ale nie miała pewności, czy chce, żeby zamieszkał tak blisko. Wioska Wychford jest niewielka i z pewnością zaraz zaczną się spekulacje, co taki przystojny młody mężczyzna tu robi. Ale przynajmniej dzięki Harryemu znalazła sposób, by przekazać panu Waltersowi ostrzeżenie. Octavia westchnęła. Życie w Wychford początkowo wydawało jej się takie łatwe. A teraz komplikowało się z każdą chwilą.

Dziewczęta były podekscytowane lekcją tańca i uparły się, żeby zaciągnąć Octavię do pokoju muzycznego i pokazać jej kroki, jakich się nauczyły. Nawet Jane, która początkowo lekceważyła te lekcje, teraz była pełna entuzjazmu. Przez kilka dni, które z konieczności spędziła w domu, skumulowało się w niej tyle energii, że cieszyła się z możliwości ruchu.

- Edwardzie, pomóż mi pokazać pannie Petrie, czego się nauczyłyśmy! - zawołała. - Lisette, ty zagraj nam na fortepianie! - Roześmiany stryj pozwolił jej zaciągnąć się na środek

pokoju, skłonił się i ujął jej rękę, po czym przetańczyli rundę wokół sali. Delikatnie mówiąc, stanowili wyjątkowo niedobraną parę, bo mężczyzna był o połowę wyższy od partnerki, która podskakiwała w tańcu jak pasikonik. Jednak stryj traktował ją z kurtuazją należną królowej balu. To najlepsze oblicze Edwarda Barraclough, pomyślała Octavia, obserwując ich melancholijnie.

- Teraz pani musi spróbować - oświadczyła Jane. Przypro-wadziła stryja do Octavii i połączyła ich dłonie. - Edward po-każe pani, jak to robić.

- Chyba znam kroki, Jane. Twój stryj jest już na pewno zmęczony.

- Niech pani zatańczy z Edwardem, panno Petrie! - dołą-czyła swoją prośbę Lisette. - Choćby parę kroków. Chciała-bym zobaczyć, jak to powinno wyglądać.

- Panno Petrie? - mruknął Edward pytającym tonem. - Mogę panią prosić do tańca?

- Dziękuję, sir! - odparła z pełnym gracji ukłonem, wcho-dząc w rolę. - Z przyjemnością.

Uroczyście poprowadził ją na środek pokoju i ukłonił się. Lisette zagrała kolejną melodię, a oni zaczęli wirować wokół pokoju ścigani zafascynowanym wzrokiem Jane.

Nie tańczyli kadryla ani walca, lecz całkiem nieszkodliwy taniec ludowy, w którym tylko sporadycznie zdarzał się kon-takt fizyczny. Nie wymieniali nawet znaczących spojrzeń. Mi-mo to podczas żadnego z wielkich londyńskich bali Octavia nie czuła się tak jak w muzycznym pokoju dworu Wychford, przy dźwiękach fortepianu - pełna uniesienia, w idealnej har-monii z partnerem, wyczulona na najlżejszy jego dotyk. Dwu-krotnie okrążyli pokój, wreszcie doszła do wniosku, że lepiej to przerwać.

- Myślę, że Lisette już jest usatysfakcjonowana, sir - powiedziała z ukłonem.

- Ona może tak, ale ja nie - mruknął, gnąc się w ukłonie.

Octavia zarumieniła się i spojrzała na niego z naganą.

- Moim zdaniem, Jane miała już nadto wrażeń jak na jeden dzień, sir - powiedziała. - Może sprawdzę, co pani Dutton proponuje nam na kolację?

Octavia nie mogła w nocy zasnąć. Wierciła się w pościeli i przewracała z boku na bok, aż wreszcie usiadła na łóżku i zapatrzyła się w niewielki krąg światła, rzucanego przez stojącą przy drzwiach lampkę. Właściwie Octavia nie widziała lampki. Miała przed oczami smagłą twarz przeciętą blizną, uroczy męski uśmiech i ten błysk w oku...

Westchnęła głęboko. Jej uczucie do Edwarda Barraclough najwyraźniej nie poddawało się racjonalnym argumentom. Właśnie wtedy, kiedy wydawało jej się, że zdołała nad nim zapanować, ożyło gwałtownie pod wpływem lekkiego dotyku jego dłoni w trakcie ludowego tańca. Rzadko była równie podekscytowana, równie świadoma obecności mężczyzny.

Te niespokojne rozmyślania przerwał dobiegający z sąsiedniego pokoju krzyk przerażenia. Octavia w jednej chwili zapomniała o własnych problemach, wyskoczyła z łóżka i w biegu włożyła szlafrok. Z lampą w ręku ruszyła do pokoju Jane. Dziewczynka spała, ale miotała się po łóżku, płakała i machała rękami, jakby rozpaczliwie starała się czegoś uchwycić. Octavia pospiesznie odstawiła lampę, usiadła na łóżku i objęła dziewczynkę.

- Cicho, cicho. Trzymam cię. Jestem przy tobie, kochanie, nic ci nie grozi.

Jane otworzyła oczy i spojrzała półprzytomnie na Octavię. Poznała ją i ukryła twarz na jej ramieniu.



- Panno Petrie! Och, panno Petrie, tak strasznie się bałam...

- Wiem. - Octavia jeszcze mocniej przytuliła do siebie dziewczynkę. - Jesteś bezpieczna. To był tylko sen. Widzisz? Jesteś w swoim pokoiku w wieży, a ja przyszedłam z sąsiedniego pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie ma się czym martwić, kochanie.

Jane przez chwilę nie ruszała się, po czym podniosła głowę i rozejrzała się dokoła. Znajomy widok najwyraźniej ją uspokoił, bo się uśmiechnęła.

- Zgadza się. Jestem bezpieczna w moim pokoiku w wieży. I pani jest przy mnie. Tak się cieszę, że Edward wybrał panią, panno Petrie. - Umościła się wygodniej w ramionach Octavii i w ciągu minuty zapadła w spokojny sen.

Octavia oparła policzek o głowę Jane. Tak łatwo pokochać to dziecko. Jak będą obie cierpiały, kiedy ona odejdzie. Oparła się o poduszki i zamknęła oczy...

Edward również nie spał, kiedy Jane krzyknęła. Jego pokój znajdował się w pewnym oddaleniu, w pierwszej chwili pomyślał więc, że to wołanie sowy. Dopiero po kilku minutach dotarło do niego, że krzyk mógł dochodzić z pokoju Jane. Nasłuchiwał, ale nie dotarł do niego żaden dźwięk. W domu panowała cisza. Mimo wszystko uznał, że nie zaśnie, póki nie upewni się, czy wszystko w porządku. Włożył szlafrok i ruszył do pokoju bratanicy. W progu stanął. Octavia Petrie półleżała wsparta o poduszki, obejmując Jane ramionami. Obie spały. Edward zawahał się. Nie chciał budzić żadnej z nich, ale panna Petrie leżała niczym nieprzykryta, w dodatku w bardzo niewygodnej pozycji. Do rana zmarznie i zeszywnieje.

Ostrożnie wszedł do pokoju i stanął przy łóżku. Krag światła wydobywał z mroku jej twarz, okoloną luźno związa-

nymi miodowozłocistymi włosami. Panna Petrie oddychała spokojnie, jej piersi unosiły się i opadały, doskonale widoczne pod cienkim materiałem koszuli. To był jeden z najbardziej poruszających i niewinnie uwodzicielskich obrazów, jakie zdarzyło się Edwardowi widzieć. Z wysiłkiem odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu koca czy narzuty, którą mógłby okryć Octavię. Kiedy odwrócił się znów w stronę łóżka, Octavia się w niego wpatrywała.

- Bez obaw - szepnął. - Szukałem czegoś, żeby panią przykryć. Robi się chłodno.

- Jane mocno zasnęła. Chyba mogę ją zostawić. - Zwinnie wysunęła się z łóżka i troskliwie okryła dziewczynkę. Wstała i wydała stłumiony okrzyk bólu.

- Co się stało?

- Moja noga! To kurcz...

- Pomogę pani. - Edward podtrzymał ją. - Nie powinna pani...

- Niech pan nic tutaj nie mówi - ostrzegła. - Nie możemy obudzić małej. - Zrobiła krok i syknęła. O mało się nie przewróciła, bo noga odmówiła jej posłuszeństwa. Edward bez słowa wziął ją na ręce i wyniósł z pokoju. Postawił ją na korytarzu i starannie zamknął drzwi pokoju Jane.

- Czy tutaj możemy mówić? - zapytał zniżonym głosem.

- Chyba tak. Ale nie ma o czym. Chcę tylko podziękować panu za pomoc. Gdyby nie pan, jutro byłabym kompletnie zeszytniała. - Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Edward nie był w stanie dłużej z sobą walczyć. Objął Octavię i przytulił ją delikatnie.

- Moja najdroższa Octavio - szepnął.

Przez chwilę pozwalała mu się tulić, po czym odsunęła się i spojrzała Edwardowi w twarz. W jej oczach nie było lęku.

- Nie ma pani pojęcia, jak straszliwie pragnę zabrać panią do swojego pokoju... - położył jej palec na ustach, by uciszyć protest - ... ale nie będę nawet próbował. To nie dla nas.

- To dobrze - szepnęła - bo sprzeciwiałabym się ze wszystkich sił. Nie będę niczyją kochanką, jakkolwiek bardzo... - Urwała.

- Proszę dalej.

- Nie mogę. To jest niewłaściwe. - Puścił ją, jak tylko zaczęła się od niego odsuwać. Choć pokusa, by przyciągnąć ją bliżej i całować do utraty tchu, była przepotężna. - Dobranoc, panie Barraclough.

- Octavio!

- Nazywam się Petrie, sir. Panna Petrie. Jestem guwernantką. Dobranoc - dodała i zniknęła w sąsiednim pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Edward wrócił do siebie, ale nawet nie próbował położyć się do łóżka. Do rana pisał listy.

Następnego dnia Edward znowu wybrał się do Guildford, ale tym razem zostawił powóz i pojechał konno. Powiedział, że pragnie przedyskutować pewne sprawy z prawnikiem pani Carstairs, który miał tam kancelarię. Prawdę mówiąc, dłuższa przejażdżka konna była mu równie potrzebna jak rozmowa z panem Waltersem. Miał nadzieję, że świeże powietrze rozjaśni mu w głowie, jednak w drodze do Guildford nie zauważył ani wspaniałych barw drzew, ani jesiennych prac polowych.

Próbował uporać się z całkiem dla niego nowymi i niezbyt pożądanymi myślami. Przed przyjazdem bratanic wiódł żywot bogatego kawalera, interesowała go praca, ale w każdej chwili mógł ją rzucić i wyruszyć w świat, zamieszkać w Lon-

dynie, Paryżu czy Wiedniu, w wielkim mieście albo na wsi, mógł robić to, na co akurat miał ochotę, nie pytając nikogo o zdanie. Komuś takie życie mogło wydawać się egoistyczne - bratowa z pewnością tak sądzi - ale Edward nigdy nie przejmował się cudzymi opiniami na tyle, by zakłócały mu przyjemności. Uważał się za szczęściarza, ponieważ udało mu się dobiec trzydziestki bez obciążeń, takich jak żona, dzieci, zobowiązania wobec innych. Największym jego wrogiem była nuda.

Aż tu nagle, wskutek wypadku Julii, musiał z dnia na dzień wziąć na siebie odpowiedzialność za dwie osierocone dziewczynki, które znalazły się w obcym kraju. Choć przepadał za bratanicami, to ich przyjazd odczuł jako obciążenie, przeszkodę w swym leniwym życiu. W ciągu minionych tygodni bratanice bawiły go, martwiły, drażniły, a czasem nawet de nerwowały. Ale kiedy przebywał w Londynie, autentycznie za nimi tęsknił i gdy przyjdzie mu przekazać Julii opiekę nad nimi, uczyni to z niekłamany żalem.

Przybycie dziewczynek pociągnęło za sobą zatrudnienie Octavii Petrie, która stała się jego największym problemem, i to takim, od którego nie można uciec. Nie ulega wątpliwości, że uczucie do niej nie jest chwilowe. Edward zaczął podejrzewać, że może ono zagrozić spokojowi jego ducha. Co z tym zrobić?

Jedno jest pewne. Gdyby nawet dopuszczał możliwość małżeństwa - czego, oczywiście, nie brał pod uwagę - to nie byłoby mowy o poślubieniu Octavii Petrie. Nigdy nie lubił bajki o Kopciuszku. Znał mężczyzn, którzy wzięli za żony kobiety z niższych sfer, i z reguły oboje byli nieszczęśliwi. Octavia Petrie była ostatnim ze stadka dzieci szacownego, ale prawdopodobnie niezbyt zamożnego człowieka, trudniącego się jakąś

profesją. Została wychowana w prostocie i ciszy zapadłej wsi. Jak poradziłaby sobie z życiem w stolicy?

Nie, małżeństwo nie wchodzi w rachubę, a małżeństwo z Octavią Petrie w szczególności. Powinien myśleć o niej jedynie jako o guwernantce bratanic. Gdyby dziewczynki tak się do niej nie przywiązały i gdyby czas jej zatrudnienia i tak nie dobiegał końca, pozbyłby się jej w jednej chwili. Nie może jednak zrobić tego bez powodu, tylko dlatego, żeby oddalić od siebie pokusę. To nie byłoby sprawiedliwe. Musi być silny i do jej wyjazdu walczyć z własną słabością.

Zadowolony, że znalazł rozwiązanie, ale z ciężkim sercem, podjechał do kancelarii pana Waltersa. Zjawił się odrobinę za wcześnie, musiał więc poczekać, aż prawnik zakończy rozmowę z innym klientem. Kiedy klient wyszedł, Edward zobaczył przystojnego młodego mężczyznę, którego sposób bycia wyraźnie zdradzał żołnierza. Nieczęsty widok w zakurzonych kancelariach prowincjonalnych prawników. Edward zapomniał jednak o chwilowym zainteresowaniu młodym człowiekiem, gdy wszedł do gabinetu pana Waltersa.

Tu poniósł klęskę. Jego przekonanie, że prawnik bez oporów podporządkuje się jego woli, okazało się nieuzasadnione. Pan Walters był uprzedzająco grzeczny, ale stanowczo odmówił zdradzenia tożsamości swojej zwierzchniczki.

- Krewni tej damy to moi najstarsi klienci, panie Barclaugh, i są wobec niej wyjątkowo opiekuńczy. Zresztą, prawdę mówiąc, nie pojmuję, dlaczego chciałby pan się z nią skontaktować. Naprawdę w ostatnim okresie niezbyt często widywała panią Carstairs. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę panu służyć. - Rozłożył ręce przeproszającym gestem.

Edward zmarszczył czoło, po czym wzruszył ramionami.

- Rozczarował mnie pan. Przecież prosiłem o taki drobiazg.

Muszę pogodzić się z pana stanowiskiem, ale uważam, że rodzina tej pani zachowuje się nieracjonalnie. Można by pomyśleć, że ta kobieta jest niespełna rozumu.

Prawnik zachichotał.

- Zapewniam, że jest pan jak najdalszy od prawdy. To wyjątkowo mądra dama. Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o Wychford? Zawsze uważałem, że to bardzo dziwny dom.

- Jest przepiękny - odparł Edward. - Moje bratanice są zachwycone. Przykro im będzie go opuścić. Spodziewam się jednak, że bratowa zabierze je do Londynu zaraz po przyjeździe. Potrzebują obycia w wielkim mieście.

- Rozumiem. Jeśli ma pan jeszcze jakiś... ?

- Nie - odpowiedział Edward sucho i dodał: - Jeśli pańska klientka ustąpi, to wie pan, gdzie mnie szukać. Do widzenia, panie Walters.

Wyszedł w przekonaniu, że świat się na niego uwziął.

Octavia nie wiedziała, że Edward Barraclough minął się z Harrym w drzwiach kancelarii i żaden z nich nie rozpoznał drugiego. Od chwili gdy pracodawca oświadczył, że zamierza jechać rano do Guildford na spotkanie z panem Waltersem, siedziała jak na rozżarzonych węglach. Nie mogła skoncentrować się ani na gramatyce francuskiej, ani na hrabstwach angielskich i przysługujących im miejscach w Izbie Lordów.

Jednak nie to było jej największym zmartwieniem. Wbrew temu, co powiedziała poprzedniej nocy, uratowały ją skrupuły Edwarda Barraclough, a nie jej własne. Pragnienie zarzucenia mu rąk na szyję i poddania się jego pocałunkom było obezwładniające. Może powinna wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. W końcu się zakochała, i to w wyjątkowo nieodpowiednim mężczyźnie.

Co więcej, na skutek własnych impulsywnych działań podjętych po przyjeździe do Wychford znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji. Co będzie, jeśli Edward odkryje, że go oszukała? Harry powiedział, że na miejscu Barraclough wyrzuciłby ją. Octavia podejrzewała, że Edward właśnie tak by postąpił. Cała nadzieja w tym, że nie zostanie zdemaskowana. Potem mogłaby przyjechać do Londynu na przyszłoroczny sezon i spotkać się z rodziną Barraclough na własnym gruncie. I może - tylko może - Edward mógłby jej wybaczyć.

To, oczywiście, tylko połowa problemu. Nie była pewna, jakie uczucia żywi do niej Edward, choć zdawała sobie sprawę z jego oporów wobec małżeństwa. Czuła jednak, że gdyby spotkali się jako równi stanem, nie byłaby bez szans. On na prawdę ją polubił. Na pewno czuli do siebie silny pociąg.

Octavia wyczuła, że dziewczynki przyglądają jej się z zaciekawieniem, wróciła więc do dyskusji o zamkach, dworach i wielkich angielskich rodach.

Jane miała ochotę wyjść po południu na dwór, bo pogoda sprzyjała spacerom. Octavia musiała się zgodzić, ale wymogła na dziewczynce obietnicę, że nie będzie się wspinała na drzewa. Wszystkie trzy ubrały się ciepło i wyszły tylnymi drzwiami oddalonymi od frontowego wejścia. Octavia pragnęła uniknąć spotkania z wracającym z Guildford panem Barraclough. Jane, uszczęśliwiona, że wreszcie wyszła na świeże powietrze, przez dłuższy czas biegała radośnie pod czujnym okiem guwernantki. Potem jednak osłabła i bez oporów przyjęła sugestię Octavii, że powinny wracać do domu. Lisette, która przez cały czas pomagała zabawiać siostrę, teraz poprosiła o pozwolenie pozostania na dworze jeszcze przez chwilę, bo chciała poszukać nowych okazów do zielnika. Octavia zawahała się, ale

ustąpiła. Było jeszcze widno, a Lisette, w przeciwieństwie do Jane, należała do osób ostrożnych z natury. Nie narazi się na niebezpieczeństwo. Kazała jej wrócić za kwadrans i zabrała Jane do domu.

Lisette spóźniła się bardzo niewiele, ale miała zarumienione policzki i błyszczące oczy, jakby biegła. Octavia była ciekawa, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę ze swej oszałamiającej urody. Podejrzewała, że nie. Lisette była niezwykle skromna i pewnie nie przypuszczała, jakie wrażenie zrobi na ludziach z towarzystwa. Niewykluczone, że będzie jej ciężko poradzić sobie z zachwytaami i uwagą, jaką bez wątpienia przyciągnie. Octavia podjęła decyzję, że niezależnie od tego, jak ułożą się jej stosunki z Edwardem Barraclough, przyjedzie do Londynu na następny sezon. Drzwi najbardziej ekskluzywnych domów stolicy zawsze stały otworem przed lady Octavią Petrie. Przecież była spokrewniona z połową angielskiej arystokracji. Dopilnuje, by Lisette odniosła tak wielki sukces, na jaki zasługuje, i otrzymała wszelką możliwą pomoc.





## Rozdział ósmy

Przy herbacie Lisette była jeszcze bardziej małomówna niż zwykle i Octavia zapytała w końcu, czy coś się stało.

- Nie, panno Petrie! Myślałam tylko o dzisiejszym popołudniu.

- Znalazłaś dużo okazów?

- Co? Niezbyt dużo. Liście już powiędły, nie natrafiłam też na rośliny godne umieszczenia w zielniku. Może jutro trafię na coś ciekawszego.

- Zobaczymy. Mam nadzieję, że się nie rozchorujesz. Wydajesz mi się rozgorączkowana.

- Proszę, niech pani się o mnie nie martwi.

Lisette nie potrafiłaby nawet opisać swoich uczuć. Poczucie winy, zdenerwowanie, podniecenie, oczekiwanie. A wszystko za sprawą przypadkowego, dziesięciominutowego spotkania z najprzystojniejszym młodym człowiekiem, jakiego w życiu widziała. Zamierzała powiedzieć o tym pannie Petrie, ale na razie pragnęła zachować to wspomnienie dla siebie. Spojrzała w ogień i znowu pomyślała o dzisiejszym popołudniu...

Wędrowała jedną ze ścieżek prowadzących przez las. Nagle stanęła twarzą w twarz z wysokim blondynem. Była zaskoczona, ale nie zaniepokojona. Nie wyglądał niebezpiecznie, był niezwykle przystojny. Lisette natychmiast się uspokoiła.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem pani przestraszyć. Ja tylko spaceruję po lesie. Skąd pani przyszła?

To pytanie było tak śmieszne, że Lisette zachichotała.

- Mieszkam tutaj - powiedziała.

- W Wychford?

- Tak. Nazywam się Lisette Barraclough. To prywatny las, proszę pana.

- Naprawdę? No tak, oczywiście. - Młody mężczyzna robił wrażenie roztargnionego i Lisette pomyślała nagle, że może nie powinna wdawać się z nim w rozmowę.

- Muszę już wracać - zaczęła - guwernantka na mnie czeka.

- Proszę jeszcze nie odchodzić! Jeszcze nigdy nie spotkałem tak pięknej kobiety, jak pani.

Powiedział to z taką szczerością, tak bezpośrednio, nie próbując równocześnie zbliżyć się do niej, że Lisette, chociaż zażenowana, poczuła się jednocześnie rozbrojona.

- Proszę - szepnęła, przyciskając dłonie do policzków - niech pan nie mówi więcej takich rzeczy. Nie wiem, jak na to reagować. - Ciągnęła, bardzo onieśmielona. - Proszę mi raczej powiedzieć, skąd pan się tu wziął. Mieszka pan we wsi? A może w sąsiedztwie?

- Zatrzymałem się we wsi na kilka dni. Odwiedzam... przyjaciela. Nazywam się Smith. Harry Smith.

- Jak ten słynny żołnierz?

- Pani o nim słyszała?

- Tak. Wiele o nim czytałam. Był bardzo dzielny, urato-

wał młodą Hiszpankę, a potem ją poślubił. To taka romantyczna historia. O, tak, dużo wiem o Harrym, oczywiście tym drugim.

- To znakomicie. - Młody człowiek patrzył na nią z niekłamany zachwytem. - To jeden z moich bohaterów. Dlatego właśnie... - Urwał. - Nie, nie mogę pani oszukiwać. Nie potrafię. Nie nazywam się Smith, ale naprawdę mam na imię Harry. Nie wolno mi na razie podać prawdziwego nazwiska, ale liczę, że nie zniechęciłem pani do siebie.

Lisette przyglądała mu się pełna wątpliwości, ale był tak zaniepokojony, że musiała się uśmiechnąć.

- Ufam panu, ale naprawdę nie mogę dłużej zostać. Muszę już iść. Obiecałam, że zaraz będę z powrotem.

- Spotkajmy się jutro.

- Nie mogę, to nie wypada.

- Do licha z tym, co wypada! Nie, wcale tak nie myślałem.

- Potrzęsnał głową z irytacją. - Nie wiem, jak to powiedzieć. Pewnie uważa mnie pani za idiotę. Proszę zrozumieć, nigdy dotąd nie byłem w takiej sytuacji. Muszę znów panią zobaczyć choćby na parę minut. Proszę!

Pokusa był silna. Lisette nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w kontaktach z młodymi mężczyznami, a ten wydawał jej się znacznie miłszy niż wszyscy poprzedni.

- Postaram się - obiecała w końcu - ale po południu. Rano mam lekcje.

- O drugiej?

- Tutaj?

- Tutaj. Przyjdzie pani? To wspaniale!

- Lisette. - Panna Petrie patrzyła na nią z niepokojem. - Byłaś myślami bardzo daleko stąd. Obawiam się, że złapałaś

jakaś chorobę. - I dodała stanowczo: - Żadnych spacerów, dopóki nie przekonam się, że nie jesteś chora!

- Nie, nie, doskonale się czuję! - krzyknęła przerażona Lisette. - Naprawdę doskonale! - zapewniła i zaczęła intensywnie przekonywać guwernantkę, że jest zdrowa jak ryba. Udało jej się, bo nie było już mowy o pozostaniu w domu.

Następnego popołudnia Lisette poprosiła o zgodę na poszukiwanie ciekawych okazów do zielnika. Panna Petrie zgodziła się chętnie i zaproponowała, by wszystkie natychmiast wybrały się na spacer.

- Muszę być z powrotem za piętnaście trzecia - powiedziała. - Mam tu coś do zrobienia.

- Mogę iść sama, jeśli to dla pani kłopot - zapewniła skwapliwie Lisette.

- Dziękuję, ale wasz stryj na pewno nie byłby zachwycony, gdybym powierzyła ci opiekę nad Jane, aby zająć się własnymi sprawami - odparła Octavia z uśmiechem. - Nie, pójdziemy teraz. Mamy mnóstwo czasu.

Lisette nie zwykła uciekać się do podstępów. Jednak kompletnie nie miała ochoty iść na spotkanie z fascynującym nowym znajomym, prowadząc Jane za rękę. Było dopiero piętnaście po pierwszej. Przy odrobinie szczęścia, pomyślała, uda jej się wygospodarować trochę czasu dla siebie i będzie mogła wymknąć się spod kontroli.

Miała więcej szczęścia, niż mogła sobie wymarzyć. Jane chciała zostać w pobliżu domu, gdzie większość liści już opadła i została uprzątnięta. Octavia zauważyła tęskne spojrzenia, rzucane przez Lisette w stronę lasu i sama jej zaproponowała, żeby tam poszła.

- Najwyżej na dziesięć minut, pamiętaj!

Lisette pospieszyła na umówione miejsce. „Pan Smith” czekał na nią. Nagle poczuła się onieśmielona.

- Dzień dobry - powitał ją. - Niezmiernie się cieszę, że panią widzę. Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że pani przyjdzie.

- Nie powinnam. Guwernantka byłaby bardzo rozczarowana, gdyby wiedziała, że się z panem spotykam.

- Bzdura! Tawy lubi rozrywki. Nie miałyby nic przeciwko temu - zapewnił.

- Tawy? Ma pan na myśli pannę Petrie? Pan ją zna?

- No... prawdę mówiąc... tak. Właściwie to przyjechałem do Wychford po to, żeby się z nią zobaczyć. Tylko dość trudno zorganizować spotkanie.

- Jest pan przyjacielem panny Petrie? Czy chciał się pan znowu ze mną spotkać, żeby przekazać jej przeze mnie jakąś wiadomość? - Lisette była zbyt młoda, by ukryć, że jej przykro.

- Nie, na Boga, nie! - zawołał pospiesznie Harry. - Nie wolno pani sądzić...

- A co mam sądzić?

Harry patrzył na nią skonsternowany i Lisette poczuła nagle, że chce stąd odejść.

- Chyba już pójdę - oświadczyła sztywno. - Będą mnie szukać.

- Proszę nie odchodzić! To wcale nie tak, jak pani myśli. Powiem pani, ale proszę obiecać, że zachowa to pani w tajemnicy.

- O co chodzi? - zapytała Lisette, nadal dość sztywno.

- Moje prawdziwe nazwisko brzmi: Petrie. Harry Petrie. Tawy jest moją siostrą.

- Siostrą? - Na twarz Lisette wypłynął szeroki uśmiech. - Naprawdę? Jest pan tym bratem, który służy w wojsku?

- Mówiła o mnie?

- Tylko trochę. Dlaczego to ma być tajemnicą? Stryj na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żeby odwiedził ją pan u nas w domu.

- Na pewno, gdyby nie pewien drobiazg. Musi mi pani uwierzyć na słowo. Na razie trzeba zachować to w tajemnicy.

- Chyba nie ma pan kłopotów?

- Zapewniam panią, że nie! Tawy nie chce na razie, by pan Barraclough dowiedział się o moim istnieniu. Sytuacja jest dość delikatna, proszę mi wierzyć. Mogę na panią liczyć? Nie zdradzi pani naszej tajemnicy?

- Oczywiście. To nawet dość podniecające. Tak się cieszę, że mi pan powiedział. Panna Petrie to najsympatyczniejsza z moich guwernantek.

Harry roześmiał się.

- Powtórzę jej to, będzie zadowolona. Sama miała bogate doświadczenia z guwernantkami.

- Co pan powiedział?

- Jako guwernantka. Powiedziałem, że ma bogate doświadczenie jako guwernantka. Hm... kiedy znów się zobaczymy? Czy jutro będzie pani mogła się wyrwać? O tej samej porze?

- Spróbuję.

Spojrzał na nią, zawahał się, ale zdecydował się na szczerość.

- Chciałbym lepiej panią poznać, Lisette. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak pani.

- Dziękuję. Ja także nie spotkałam kogoś takiego jak pan. Może gdyby panna Petrie powiedziała stryjowi, że jest pan jej bratem, moglibyśmy otwarcie się widywać. Muszę jednak pana przestrzec. Edward jest bardzo zasadniczy. Nie chce, żebym zawierała nowe znajomości, dopóki nie zostaną wyprowadzona w świat w przyszłym roku.

- W takim razie lepiej, żeby do przyszłego roku nie wie-

dział o moim istnieniu. Wtedy przyjadę do Londynu i zostaniemy sobie oficjalnie przedstawieni.

Lisette wyraźnie miała wątpliwości.

- Będę obracać się wśród śmietanki towarzyskiej Londynu. Nie podejrzewam, żebyśmy odwiedzali te same miejsca.

Harry zaczął coś mówić, ale ugryzł się w język.

- A jednak - powiedział tylko z tajemniczym uśmiechem.  
- Na razie musimy się zadowolić tym, co mamy, prawda?

Lisette kiwnęła głową.

- Przyjdę jutro o tej samej porze - obiecała. - Do widzenia.

- Do widzenia, Lisette. Pozwoli pani, że to ja powiem Tawey, że pani już o nas wie. W pierwszej chwili może być trochę poirytowana.

Harry obserwował, jak dziewczyna biegnie przez las do jego siostry. Żałował, że zdradził tajemnicę Octavii jej uczeni-  
nicy, i czuł, że siostra może być nie tylko poirytowana, ale wręcz wściekła. Nie mógł jednak pozwolić, by Lisette sądzi-  
ła, że jest zainteresowany kim innym. Chyba się przejęła. Nie  
powie. Jaka z niej słodka dziewczyna. Dla Lisette Barraclough  
on zgodziłby się nawet ustatkować, jak chciał ojciec. Kusiło go,  
żeby powiedzieć, kim jest: synem lorda Warnham, przyjmo-  
wanym we wszystkich londyńskich domach. Zdołał się jednak  
powstrzymać i teraz był z tego zadowolony. Zdradził już wy-  
starczająco dużo sekretów Octavii. Poza tym to niezły dowcip  
- przyszedł lord przedstawił się jako brat guwernantki! Nie zro-  
biło to na Lisette najmniejszego wrażenia. Chyba go polubiła.  
Przez chwilę Harry snuł radosne wizje świetlanej przyszłości  
u boku Lisette Barraclough. A potem wrócił do rzeczywisto-  
ści. Gdy tylko zobaczy Octavię, wyzna, że powiedział jej pod-  
opiecznej, iż są rodzeństwem.

Nic jednak nie wyszło z jego uczciwych zamiarów. Octavia nie pojawiła się o trzeciej. Harry czekał na nią przez godzinę, po czym musiał przyjąć do wiadomości, że coś ją zatrzymało. Wrócił do gospody.

Kiedy Harry czekał w lesie, Octavia rozmawiała w bibliotece z pracodawcą. Edward poinformował ją, że pani Barraclough ma przyjechać do Wychford już następnego dnia. Ta wiadomość obudziła w niej złe przeczucia. Z tego, co o tej damie słyszała, wynikało, że raczej nie zaaprobuje ona zwolnienia panny Froom i zastąpienia jej kimś znacznie młodszym. Octavia była pewna, że należy spodziewać się zmian, choć nie obawiała się zastrzeżeń co do wiedzy, jaką przekazała dziewczynkom.

- Widzę, że zapomniała pani o mojej obecności, panno Petrie.

Octavia podskoczyła i upuściła zakiet Jane, który trzymała w ręku.

- Przepraszam - wyjąkała zmieszana i szybko podniosła zakiet. - Proszę mi wybaczyć. Ta wiadomość trochę mnie zaskoczyła.

- Ja sam dowiedziałem się o tym dopiero przed godziną.

- Zaczęłam się zastanawiać, jakie zmiany w moich zajęciach z pańskimi bratanicami spowoduje przyjazd pani Barraclough. Podejrzewam, że będzie chciała przejąć ode mnie część ich kształcenia.

- Kształcenia? Pani Barraclough raczej nie będzie miała ochoty czegokolwiek ich uczyć. - Jego ton był bardzo chłodny. - Jeśli tylko zdrowie jej na to pozwoli, przejmie prowadzenie domu, więc ja stanę się tu zbędny. Przypuszczalnie będę spędzał w Wychford znacznie mniej czasu niż dotychczas.



Octavia wmawiała sobie, że tak będzie lepiej. Że tak musi być lepiej dla wszystkich.

- Niespodziewany przyjazd mojej bratowej może być z wielu względów niezbyt dogodny, dla mnie jednak wypadł w wyjątkowo odpowiednim momencie. Doszedłem do wniosku, że im rzadziej będziemy się spotykać, tym lepiej, Octavio - powiedział cicho Edward.

- Oczywiście - zgodziła się. - Wiem, że nasze wzajemne stosunki mogłyby okazać się... trudne. A nie chciałabym wprawiać pana w zakłopotanie...

- Zakłopotanie! - Zerwał się i wyjrzał przez okno. - Tu nie chodzi o zakłopotanie. Proszę nie sądzić, że tak łatwo pozbyłem się uczuć, jakie żywiłem do pani. Nie chcę obrażać pani propozycją zostania moją kochanką, a nie zamierzam na razie się zenić. Postaram się unikać pani za wszelką cenę. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

Octavię ogarnął gniew. „Postaram się unikać pani za wszelką cenę”. Gdyby rzeczywiście, jak sądził, była guwernantką, uznałaby jego słowa za okrutne. Bez dyskusji, bez żalu, bez próby pocieszenia. Tylko spokojna, racjonalna decyzja, bez oglądania się na uczucia, jakie mogła żywić ta nieszczęsna istota. Żadnych względów dla guwernantki. Ten człowiek to potwór!

Przez moment kusyło ją, by cisnąć mu to jego „rozsądne rozwiązanie” w twarz, i powiedzieć, kim jest naprawdę, i że nie tylko dorównuje mu, ale wręcz przewyższa go pozycją społeczną. Mało tego, jest właścicielką domu, w którym on mieszka. Powstrzymała się z dwóch powodów. Po pierwsze, choć była naprawdę dumna ze swego pochodzenia, to nie zwykła się nim chwalić. Druga przyczyna była znacznie poważniejsza, mianowicie obawiała się, że mógłby ją źle zrozumieć. Mógł uznać jej słowa za błaganie o miłość, za nadzieję,

że jeśli zniknie przeszkoda w postaci nierówności społecznej, on natychmiast poprosi ją o rękę. To byłoby nie do zniesienia. Nie, niech poczeka, aż spotkają się w Londynie, a wówczas będzie się przed nią płaszczył.

Pomysł, że Edward Barracrough miałby się przed kimkolwiek płaszczyć, wydał jej się tak absurdalny, że mimowolnie się uśmiechnęła. Właśnie w tym momencie Edward Barracrough odwrócił się od okna i spojrzał na nią.

- To panią bawi? - zapytał.

- Nie, sir. Myślałam, że jest pan bardzo... rozważny. - Pomimo prób nie zdołała ukryć cierpkiego tonu.

- Moja droga, chciałbym...

- Nie ma potrzeby więcej o tym mówić, sir. Mogę odejść?

- zapytała i energicznie wstała z miejsca.

- Oczywiście - odparł ponuro.

Octavia była tak rozżalona, że przez resztę dnia trudno jej było zdobyć się na cierpliwość w stosunku do dziewcząt. Przy obiedzie siedziała w milczeniu i starała się robić tylko to, co na jej miejscu czyniłaby guwernantka. Twarz Edwarda przypominała chmurę gradową, Lisette również nie zachowywała się normalnie. Zwykle małomówna, teraz była wyraźnie rozkojarzona, co Octavia zauważyłaby bez trudu, gdyby nie pogrzyżyła się całkowicie we własnych myślach. Jane, której pozwolono tym razem zasiąść ze wszystkimi, także zachowywała się spokojniej niż zwykle. Perspektywa przyjazdu ciotki stłumiła jej nieokiełznaną żywotność. Po obiedzie Octavia położyła Jane do łóżka, a potem wymówiła się bólem głowy i z ulgą zamknęła się w swoim pokoju.

W parę chwil później do jej drzwi zapukała Lisette.

- Przykro mi z powodu pani bólu głowy - powiedziała ze

współczuciem. - Poprosiłam panią Dutton, żeby zaparzyła zioła. Proszę. Powinny pomóc.

Octavia siedziała w fotelu przy oknie. Wzięła tacę i postawiła ją na stoliczku.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała i przywołała na twarz wymuszony uśmiech. - Jesteś taka troskliwa, Lisette.

- Muszę z panią porozmawiać, panno Petrie. Muszę się do czegoś przyznać.

Octavia zamknęła oczy. To przypuszczalnie nic poważnego, Lisette była bardzo układna.

- O co chodzi? - Starła się, by w jej głosie zabrzmiało współczucie.

- Bardzo lubię pani brata - szepnęła Lisette. - Za bardzo!

Octavia szeroko otworzyła oczy, zapominając natychmiast o bólu głowy.

- Co?! - zawołała. - Powtórz to jeszcze raz, Lisette. Chyba musiałam się przesyłścić. Lubisz...?

- Pani brata Harry'ego. Polubiłam go, a nie powinnam.

Octavia ponownie zamknęła oczy. Tego już za dużo!

- Panno Petrie? - Głos Lisette był pełen troski.

Octavia wzięła się w garść i otworzyła oczy. Problem nie zniknie sam z siebie.

- Mojego brata Harry'ego - powtórzyła. - Spotkałaś go? Kiedy? Jak?

- Sądziłam, że pani wie. Miał pani o tym powiedzieć dziś po południu.

- Nie widziałam się z nim. Czy mam rozumieć, Lisette, że spotykałaś się z moim bratem, nic mi o tym nie mówiąc? - zapytała Octavia, którą z każdą chwilą ogarniał większy gniew. A myślała, że już nic złego jej dziś nie spotka. Nawet Harry przysporzył jej zmartwień. Była zaskoczona i rozczarowana.

Jak on śmiał zbliżyć się do Lisette? A nawet jeśli już to zrobił, to jak mógł ją przed nią zdradzić?

- Spotkałam go wczoraj, kiedy zbierałam liście w alei wjazdowej. Przypadkowo. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to pani brat, choć od początku wydawał mi się bardzo miły.

- Będę musiała porozmawiać sobie z tym moim bratem - zapowiedziała Octavia złowróźnie.

- Nie, proszę nie mieć do niego pretensji. Odnosił się do mnie uprzejmie i z szacunkiem. Choć nie sądzę, by Edward zaaprobował...

- Jestem absolutnie pewna, że Edward by tego nie zaaprobował - oświadczyła Octavia z przekonaniem. - Ani ja.

Lisette popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Myślałam, że pani będzie zadowolona. Czyżby on nie był, pani zdaniem, dość dobry? Bałam się, że Edward mógłby tak pomyśleć, ale nie pani.

- Nie o to chodzi. Nawet gdyby... gdyby Harry był... był synem lorda, to i tak nie aprobowałabym potajemnych schadzek. To nie wypada.

- No właśnie. Panno Petrie, muszę panią o coś zapytać i do czegoś się przyznać.

- A więc to nie wszystko, co miałaś mi do powiedzenia? - Octavia potarła ręką czoło. - Co jeszcze? Co się stało, Lisette?

- Czy, pani zdaniem, to bardzo źle, że polubiłam porucznika Petrie? Czy jestem występna, skoro chcę się z nim spotykać, mimo że jestem zaręczona z kim innym?

- Zaręczona z kim innym? - Octavia kompletnie zapomniała o bólu głowy. - Co masz na myśli?

- Zanim tu przyjechałam, zostałam przyrzeczona pewnemu mężczyźnie, panno Petrie. Ostatnią wolą mego ojca było, abym poślubiła tego człowieka.

- Nie rozumiem - powiedziała Octavia ostrożnie. - Wydawało mi się, że twoi rodzice chcieli, byś przyjechała do Anglii.

- Chcieli. Ja też tego nie rozumiem, ale Ricardo zapewniał mnie, że rozmawiał z papą w przeddzień jego śmierci i że papa pragnął, byśmy się pobrali. Pokazał mi nawet list. Czy, pani zdaniem, wypełnienie ostatniej woli ojca to mój święty obowiązek? Ricardo twierdzi, że tak.

- Sądzę, że twój ojciec chciał, żebyś była szczęśliwa, Lisette. Czy powiedział ci osobiście, że chce, byś wyszła za tego Ricarda?

- Nie, byłam przekonana, że pragnie mojego wyjazdu do Anglii. Tak samo uważają Edward i stryj Henry, którzy są moimi oficjalnymi opiekunami. Tylko ten list...

Octavia milczała przez chwilę.

- Chyba nie powinnaś przywiązywać zbyt wielkiej wagi do listu - orzekła. - Tylko Ricardo potwierdza, kiedy został napisany ten list i co twój ojciec rzekomo powiedział w przeddzień śmierci. Zakochany mężczyzna mógł naciągnąć nieco fakty, żeby nakłonić cię do sprzeciwienia się woli stryjów. Wiedział, że inaczej nie zdołałby cię do tego namówić. A czego ty pragniesz?

- Nie wiem! Wtedy byłam gotowa wyjść za Ricarda. Ale teraz... Nie wiem. Tu wszystko się zmieniło. Czy, pani zdaniem, jestem zaręczona?

- Nie jesteś. Do czasu ukończenia dwudziestu jeden lat znajdujesz się pod opieką stryjów i nie możesz się zaręczyć bez ich zgody.

Lisette uśmiechnęła się.

- W pani opinii nie popełniam występku, chcąc ponownie zobaczyć się z pani bratem?

- Nie, ale uważam, że nie powinnaś się z nim spotykać. - Octavia pochyliła się do przodu. - Zapytałaś mnie o zdanie, Lisette, więc ci je przedstawię. Twoi opiekunowie mają rację.

Nie chcą, żebyś zawróciła sobie głowę kimkolwiek, zanim posmakujesz wielkiego świata. Zapewniam cię, że nie chodzi o różnicę pozycji społecznej czy wcześniejsze zobowiązania. Wszyscy, którzy cię kochają, zrobiliby wszystko, co w ich mocy, by uchronić cię przed popełnieniem pomyłki.

Lisette spuściła głowę.

- Mam nie spotykać się więcej z porucznikiem Petrie.

- Nie przed wyjazdem do Londynu. Kiedy zostaniesz wprowadzona do towarzystwa, sytuacja ulegnie zmianie. Wtedy możesz się z nim spotkać. To już tylko kilka miesięcy.

- Ale to mało prawdopodobne, prawda? Nie obracamy się w tych samych kręgach.

Octavia wzięła Lisette za rękę.

- Jestem pewna, że spotkasz w Londynie mojego brata. Zaufaj mi. Na razie jednak daj mi słowo, że nie będziesz próbowała się z nim znowu spotkać. Obiecujesz?

Dopiero kiedy Lisette niechętnie kiwnęła głową na znak zgody, Octavia mówiła dalej:

- Dziękuję. Powiedziałaś mi kiedyś, Lisette, że kiedy twój stryj podejmie decyzję, rzadko zmienia zdanie. Gdyby przyłapał cię teraz z Harrym, to raz na zawsze zabroniłby ci się z nim spotykać. Chcesz tego? - Zaczekała chwilę, żeby ta groźba w pełni dotarła do dziewczyny. - Oczywiście, że nie chcesz. Natomiast kiedy już zostaniesz przedstawiona w towarzystwie, po rozpoczęciu sezonu, będzie bardziej skłonny cię wysłuchać. Cierpliwości, Lisette. To może się skończyć lepiej, niż sądzisz.

- Nie mogę się z nim nawet pożegnać?

- Wytłumaczę cię przed Harrym. To naprawdę zbyt ryzykowne, kochanie. Twoja ciocia ma przyjechać jutro, ale nie wiadomo o której godzinie, więc powinnaś przez cały dzień

być w domu, żeby ją powitać. Poza tym w okolicy kręci się wiele osób. Jutro rano wymknę się do gospody, zobaczę się z Harrym i wszystko mu wytłumaczę. Nie rób takiej miny, Li-sette. Pamiętaj, co ci obiecałam.

Następnego dnia zapanował rozgardiasz i gorączkowa krzątanina. Pani Dutton była wytracona z równowagi zapowiedzią wcześniejszego przyjazdu pani Barraclough do Wychford i przez cały poranek przyjmowała dodatkową służbę, układała menu i sprawdzała, czy najlepsza sypialnia została przygotowana na powitanie nowej pani. Kiedy Octavia wyszła na korytarz, gospodyni pokrzykiwała akurat nerwowo na dwóch mężczyzn, którzy wnosili ogromny fotel po wąskich schodach do pokoiku w wieży, znajdującego się nad sypialnią Jane.

- Ten fotel należał podobno do pani Carstairs, panno Petrie - wyjaśniła gospodyni. - Pan Barraclough twierdzi, że kiedy po raz pierwszy przyjechał z wizytą do pani Carstairs, ten mebel stał w górnym pokoju wieży. Uznał, że powinien wrócić na dawne miejsce. Spędzała tam dużo czasu, kiedy była jeszcze w dobrej formie. To okropny, stary grat, ale podobno bardzo go lubiła. Kiedy zachorowała, kazała go wstawić do swojej sypialni. Nie może tam zostać. Teraz w tym pokoju zamieszka pani Barraclough, a pan uważa, że na pewno fotel nie będzie jej się podobał. Trzeba więc ponownie wnieść fotel na górę. - Mina pani Dutton wskazywała, że wolałaby oszczędzić sobie tego typu dodatkowych zajęć.

A więc ciotka najbardziej lubiła górny pokój w wieży? Octavia nie była tym zaskoczona. Tylko raz tam zajrzała. Był to bardzo dziwny pokój, ze spadzistym sufitem i oknami w niemal wszystkich ścianach. Widok z okien był naprawdę impo-

nujący, ale zaciekawienie wzbudzały również najprzeróżniejsze przedmioty, poustawiane na stołach i półkach - książki, obrazy, miniatury, ozdoby, pamiątki. Obiecała sobie, że pewnego dnia lepiej się wszystkiemu przyjrzy, ale Edward Barraclough zamykał zwykle ten pokój na klucz.

Octavii udało się niepostrzeżenie wyjść z domu później, niż przypuszczała. Zapytała o pana Smitha. Na szczęście w gospodzie było pusto, czekała więc na brata w pustym saloniku. Harry najwyraźniej nie spodziewał się odwiedzin tak wcześnie. Zszedł, wkładając po drodze surdut i próbując równocześnie zawiązać fular.

Octavia pokiwała nad nim głową z politowaniem.

- Gdzie twój lokaj? - zapytała.

- Jestem tu przecież incognito, Tavy. Odesłałem Crockera do Ashcombe. Co tu robisz o tak wczesnej porze?

- Chodź, pomogę ci - powiedziała, widząc daremną walkę brata z oporną garderobą. - To nam nie przeszkodzi w rozmowie. Nie mogę zostać zbyt długo. Spodziewają się dzisiaj przyjazdu pani Barraclough i powinnam być na miejscu. Musiałam się jednak z tobą zobaczyć. Dlaczego wygadałeś Lisette, że jesteś moim bratem?

- Podejrzała, że jestem twoim kochankiem. Nie mogłem dopuścić, by tak myślała, Tavy. Mało brakowało, a straciłbym ją, zanim jeszcze zdążyłem ją poznać. Byłem pewien, że mnie zrozumiesz.

- W ogóle nie powinieneś z nią rozmawiać, Harry. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Są ważniejsze sprawy do omówienia. Przyjechałam, żeby cię uchronić przed poważnym błędem.

- Jeśli chcesz mnie nastawić przeciwko Lisette, to tracisz



czas. To najpiękniejsza istota, jaką w życiu widziałem i zamierzam się z nią ożenić - oznajmił Harry.

- Życzę ci powodzenia, choć możesz mieć konkurencję. Musisz jednak uzyskać zgodę jej stryja, chyba że chcesz z nią uciec do Gretna Green i wziąć ślub potajemnie?

- Oczywiście, że nie, do licha! Co za niestosowna sugestia.

- W takim razie radzę ci posłuchać. Znam Edwarda Barraclough. Jest bardzo opiekuńczy w stosunku do Lisette i nie zaakceptuje cię jako kandydata do jej ręki, jeśli dowie się o waszych potajemnych spotkaniach. Przecież ona ma dopiero szesnaście lat. Dziwię ci się. Gdzie ty masz głowę?

- Za pierwszym razem spotkaliśmy się przypadkowo. A potem. .. To był jedyny sposób, żeby ją poznać, Tavy.

- Gdyby jej stryj się o tym dowiedział, bezpowrotnie straciłbyś szansę na zdobycie jej ręki. Mówię poważnie, Harry. Nie wolno ci spotykać się z Lisette. Nie tutaj, w Wychford. Ona jest zbyt młodą i zbyt niewinna, by zdawać sobie z tego sprawę. Ale ty? Ty jesteś dość dorosły, by wiedzieć, co robisz, i że to naganne! Co pomyślałby o tobie Edward Barraclough, gdy wiedział, że namawiasz jego najdroższą bratanicę do tak niestosownego zachowania?

Harry zawstydział się. Przyznał, że nie myślał o tym w taki sposób. Octavia złągodniała.

- Wiem, że nie pomyślałeś. Przyjmij moją radę i uzbrój się w cierpliwość. Obiecałam Lisette, że dopilnuję, byście się spotkali w Londynie, ale do tego czasu nie możecie się widywać. Kiedy zostanie wprowadzona do towarzystwa, będziesz mógł poprobować u niej szczęścia. Nie wcześniej.

- Ale ona jest taka piękna! Tavy, ty nie masz pojęcia, jak się czuje człowiek zakochany. Rzuciłbym armię w jednej chwili

i usatkwowałbym się, gdybym tylko mógł mieć pewność, że z nią.

To był całkiem nowy Harry. Octavia, wbrew sobie samej, była pod wrażeniem.

- W takim razie musisz poczekać na właściwą porę i wykorzystać swoją szansę - powiedziała. - Możesz wygrać, ale nie zepsuj wszystkiego, spotykając się z nią teraz.

- A co ona pomyśli? Umówiłem się z nią dziś po południu.

- Wytłumaczę jej. Wie, że z tobą rozmawiam. Zaufaj mi, Harry.

- Chyba nie mam innego wyjścia. Przecież nie pozwolisz mi się z nią teraz spotykać.

- Kocham cię, ale nie pozwolę. Powstrzymam cię, gdybyś próbował. A teraz muszę wracać. Wyjedź stąd jak najszybciej, Harry. Spotkamy się za tydzień czy dwa w Ashcombe. A na razie trzymaj się! - Uściskała brata. - Trzy miesiące to niedługo. Pomyśl, co powie na to papa.

- Osłupieje! Kiedy ostatnio się widzieliśmy, nie chciałem nawet słuchać o pozostaniu w domu, a teraz...

Octavia roześmiała się i pocałowała go.

- Uważaj na siebie, kochany. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Przynajmniej dla ciebie. Do widzenia.

Oboje z Harrym byli tak zaprzątnięci rozmową, że nie zwrócili uwagi na imponujący ekwipaż, który zatrzymał się na chwilę przed gospodą. Woźnica zapytał o drogę i zaraz odjechał. Julia Barraclough dojeżdżała do Wychford.



## Rozdział dziewiąty

Julia Barraclough miała ostre rysy oraz wąskie dłonie i stopy, z których była niezmiernie dumna. Uważała, że znamionują dobre pochodzenie. Cedziła słowa, choć jej komentarze bywały równie ostre jak jej nos. Wszystko, co robił szwagier, budziło jej podejrzliwość, także wybór nowej guwernantki i swoboda, jaką jej zagwarantował. Wkrótce po przyjeździe przedstawiła swoje poglądy w sposób nader jasny.

- Gdzie się podziewa ta panna Petrie? - zapytała, gdy tylko Edward z dziewczynkami ją powitali. - Spodziewałam się, że będzie tutaj i złoży mi sprawozdanie z dotychczasowej pracy. Gdzie ona jest?

- Panna Petrie wyszła chyba na spacer, ciociu Julio - szepnęła trwożnie Lisette.

- Na spacer?! Jest zatrudniona na cały dzień, a wychodzi sobie na spacer? Wiedziałeś o tym, Edwardzie?

- Właściwie nie, ale uważam, że nie ma się czym przejmować, Julio. Panna Petrie jest bardzo sumienna. Rzecz w tym, że przyjechałaś wcześniej, niż oczekiwaliśmy. Myślała pewnie, że najpierw będziesz chciała odpocząć i spotkać się z rodzi-

na, zanim przejmiesz dowodzenie. Możesz z nią porozmawiać przy obiedzie.

- Przy obiedzie? Chyba nie pozwalasz służbie jadać wraz z rodziną?

- Trudno uznać pannę Petrie za służącą - odparł Edward - a dziewczęta mogą wiele skorzystać, przysłuchując się jej rozmowie przy stole.

- Po moim przyjeździe pewne obyczaje ulegną zmianie. Ja obejdę się bez towarzystwa wiejskiej prostaczki podczas posiłków.

- Dopóki ja mieszkam w Wychford, panna Petrie będzie siadała do obiadu wraz z nami - oświadczył Edward uprzejmie, ale stanowczo.

- W takim razie już niezbyt długo, prawda? Czy ja dobrze słyszałam? Powiedziałaś: „dziewczęta”? Czyżbyś miał na myśli również Jane? Mam nadzieję, że nie pozwalałaś Jane siadać wraz z wami do obiadu? Jest stanowczo zbyt młoda, by wieczorami schodzić na dół. Powinna w tym czasie przebywać wraz z guwernantką w pokoju dzieciennym. Panna Froom wiedziałaby o tym, oczywiście. Niewątpliwie znacznie lepiej nadawałaby się na to stanowisko. Wiesz przecież, że przez wiele lat była guwernantką u Ledburych. Kochana Daisy Ledbury była zdruzgotana, kiedy dowiedziała się, że pozwoliłaś panie Froom odejść.

- Widziałaś się z panną Froom?

- Oczywiście, że nie. Widziałam się natomiast z lady Ledbury w Londynie. Niestety, nie spotkałam jej męża. Bawi w wiejskiej rezydencji przyjaciół.

- Moim zdaniem, panna Froom kompletnie nie nadawała się dla moich bratanic. Wszyscy byliśmy szczęśliwi, kiedy się stąd wyniosła.

- To prawda, ciociu Julio! Panna Froom była okropna! - zawołała Jane, która nie mogła już dłużej trzymać języka za zębami. - Nie masz prawa mówić nic złego o paninie Petrie! To najlepsza guwernantka na świecie!

- Jednak najwyraźniej nie zdołała cię nauczyć, Jane, żebyś milczała, kiedy nikt się do ciebie nie zwraca.

- Panna Petrie lubi słuchać tego, co mówię.

Lisette wzięła Jane za rękę.

- Może sprawdzimy, czy nie nadchodzi panna Petrie, Edwardzie?

- Dobrze - powiedział stryj z wyraźną ulgą. - Ciocia Julia chciałaby pewnie odpocząć. Powiedz, Julio, czy jesteś już całkiem zdrowa?

Lisette i Jane uciekły.

- Będzie okropnie - orzekła Jane ponuro. - Zapomniałam już, jaka jest ciotka Julia. Nie przywiozła nawet z sobą stryja Henrygo. On nie jest nadzwyczajny, ale o niebo lepszy od niej.

- Stryj Henry zostanie jeszcze w Londynie przez parę dni - wyjaśniła Lisette. - Zamierza wynająć dla nas dom na sezon. Ciocia Julia się o nas martwiła, przyjechała więc do Wychford bez niego.

- Na miejscu stryja Henry'ego zostałam w Londynie przez kilka tygodni, a nie dni. Mam nadzieję, że tak zrobi. Edward mówił, że wyjedzie zaraz po przyjeździe brata. Nie wiem, jak tu będzie bez Edwarda.

- Ja też nie wiem. - Lisette westchnęła.

- Może panna Petrie zgodzi się zostać trochę dłużej?

- Chciałabym, ale wątpię, by ciocia Julia sobie tego życzyła. Zobaczmy, Jane. Myślę, że wkrótce wszyscy wybierzemy się do Londynu.

- Dlaczego nie może zostać tak jak dotychczas? Byłyśmy takie szczęśliwe w Wychford z Edwardem i panną Petrie. Nie chcę jechać do Londynu! Kocham ten dom!

- Ja też. Chociaż chciałabym zobaczyć Londyn... i spotkać tam niektórych ludzi. Zobacz, panna Petrie zbliża się tamtą drogą. Jane, nie wolno ci jej powtórzyć, co ciocia Julia o niej wygadywała, rozumiesz? Byłoby jej przykro.

- Nie powiem. Panno Petrie! Panno Petrie! - zawołała Jane i z żywiołą radością popędziła na spotkanie guwernantki.

Octavia uściskała Jane i spojrzała na stojącą w pewnym odaleniu Lisette. Serce jej się ścisnęło. Wszystko było tak samo jak w dniu, gdy po raz pierwszy przybyła do Wychford i niemal w tym samym miejscu spotkała Jane i Lisette. Spojrzała na Wychford. Dom wydawał się jakiś zamknięty... odległy... Zdziwiająco, jak bardzo się zmieniał w zależności od pogody.

- Co za miłe powitanie - powiedziała, ruszając z Jane uwieszoną u jej ramienia. - Muszę częściej wychodzić na spacer.

- Zadowolona pani? - Octavia nie miała wątpliwości, o co pyta Lisette; domyśliła się, że Octavia widziała się z Harrym.

- Odniosłam pełny sukces - odparła z uśmiechem. - Udało mi się całkowicie oczyścić atmosferę.

Jane spojrzała na nią ze zdumieniem, a Lisette odetchnęła z ulgą.

- Ciocia Julia przyjechała pod pani nieobecność - powiadomiła guwernantkę. - Najwyraźniej z jej nogą nie było tak źle, jak sądziliśmy.

- Wasz stryj wkrótce nas opuści - rzuciła Octavia jakby od niechcenia.

- Jeszcze nie. Stryj Henry został w Londynie, a ciocia

Julia nie poradzi sobie sama. Powinien dojechać w ciągu tygodnia i dopiero wtedy Edward będzie mógł wyruszyć do Londynu.

Octavia nie była pewna, czy powinna się martwić, czy też cieszyć tą wiadomością. Oczywiście po przyjeździe Julii Barraclough nic nie będzie już takie samo jak dawniej.

- Muszę się pośpieszyć - powiedziała. - Wasza ciocia będzie się gniewać, że nie było mnie w domu, kiedy przyjechała.

- Była wściekła - palnęła Jane. - Bardzo. - Octavia zauważyła, że Lisette zmarszczyła brwi i pokręciła głową, dając znak siostrze.

- Nie przejmuj się - pocieszyła dziewczynę. - Zasłużyłam na jej pretensje. Chodźmy. - Octavia ruszyła bardzo szybko, a podopieczne starały się dotrzymać jej kroku.

Obiad upływał w napiętej atmosferze. Pani Barraclough demonstrowała oburzenie z powodu obecności Octavii przy stole w bardzo prosty sposób, mianowicie kierowała swoje uwagi wyłącznie do starszej bratanicy i do szwagra. Lisette niewątpliwie bardziej boleśnie odczuła niegrzeczność ciotki niż sama Octavia. Dziewczyna była ogromnie zakłopotana i prawie się nie odzywała. Octavia zachowała spokój, a na kierowane do niej uwagi Edwarda Barraclough odpowiadała z pewnością siebie, choć nie starała się rozbudowywać wypowiedzi. Nawet Jane była cicha. Po zakończeniu posiłku pani Barraclough odezwała się chłodno:

- Chciałabym spotkać się z panią w bibliotece, panno Petrie. Za dziesięć minut, jeśli łaska. Muszę najpierw zamienić kilka słów z rodziną. Na osobności.

- Oczywiście, proszę pani. Za dziesięć minut. - Octavia opuściła pokój. Jeśli był to przedsmak tego, co ją czekało pód

rządami nowo przybyłej, to nie ma co żałować, że czas jej pobytu w Wychford dobiega końca. Pani Barraclough wydawała się gorsza niż w najczarniejszych przypuszczeniach - apodyktyczna snobka.

W bibliotece pani Barraclough poddała ją bezlitosnemu przesłuchaniu. Octavia musiała udzielać wyczerpujących odpowiedzi na pytania, z których część zakrawała wręcz na obelgi. Octavia reagowała na nie chłodną pogardą, bo na nic więcej, jej zdaniem, nie zasługiwały, ale nie zyskała sobie w ten sposób życzliwości chlebobawczyni. Gdy zaczynała już gratulować sobie w duchu zręcznego uniknięcia pułapek zastawianych na nią przez panią Barraclough, ta wytrąciła ją z błogiego samozadowolenia.

- Chyba widziałam panią rano w gospodzie. Kim był ten młody mężczyzna?

Octavia nie zdołała powstrzymać krwistego rumieńca.

- Widziała mnie pani? - zapytała, by zyskać na czasie.

- Widziałam, proszę więc nie próbować się wykręcać! Kto to był? Czy pan Barraclough wie, że ma pani w okolicy wielbiciela? Nie wyobrażam sobie, by wiedział. Ja nigdy nie zezwalam służbie na podobne zachowanie!

- Pan Barraclough nigdy nie pytał, co robię w wolnym czasie, pani Barraclough. Nie musi pani przejmować się tym mężczyzną. Dzisiaj wyjeżdża. Poszłam do gospody, żeby się z nim pożegnać.

- Jak długo trwał wasz romans?

- Nie było żadnego romansu - odpowiedziała Octavia, tłumiąc gniew. - Był tu zaledwie trzy dni. Zapewniam, że nie musi się pani nim zajmować.

- To ja o tym zadecyduję, panno Petrie! Nalegam, aiby podała mi pani jego nazwisko!



- Smith - odparła Octavia po chwili wahania. - To stary przyjaciel mojej rodziny.

- Doprawdy? - Ton pani Barraclough świadczył dobitnie, co o tym sądzi. - Cóż, ja, w przeciwieństwie do pana Barraclough, nie zezwalam na tajemnicze spacerory czy sekretne schadzki, panno Petrie. Dopóki będzie pani tu zatrudniona, proszę mnie informować o zamiarze opuszczenia domu.

Octavia odetchnęła głęboko.

- Czy to obejmuje również popołudniowe spacerory z dziewczętami, proszę pani?

- Oczywiście, że tak! Chyba postawiłam sprawę jasno. Na wyraźne życzenie mojego szwagra będzie pani nadal jadała obiady przy naszym stole. Przynajmniej dopóki on rezyduje w Wychford. Nie oczekuję jednak, że będzie pani brała udział w rozmowie. Pani poglądy nie mają znaczenia, przynajmniej dla mnie. Panna Froom zrozumiałaby to sama, no ale panna Froom była doskonale wyszkolona i znała swoje miejsce. To wszystko, panno Petrie. Spotkamy się ponownie jutro lub pojutrze, kiedy będę już mogła ocenić, jakie postępy zrobiły przy pani moje bratanice. Może pani odejść.

Octavia opuściła bibliotekę, trzęsąc się z tłumionego gniewu. Nigdy w życiu nikt nie potraktował jej w taki sposób. Jej matka nigdy nie odnosiła się tak do żadnej guwernantki. Ta kobieta to żmija, źle wychowana, źle urodzona żmija!

Octavia uznała, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Wbiegła po schodach na górę, złapała ciepły szal i wysliznęła się bocznymi drzwiami na taras. Zanosiło się na burzę, zerwał się porywisty wiatr. Chmury szybko przesuwały się na tle księżycy, rzucając na taras niesamowite cienie. Octavia prawie tego nie zauważała, przemierzała taras tam i z powrotem, próbując opanować wściekłość, mruzczała pod nosem przekleń-

stwa, kopnęła gałąź, którą wiatr rzucił jej pod nogi. Całkiem niepotrzebnie. Gałąź była twarda, a Octavia miała na nogach cienkie pantofle. Zakłęła, stanęła i zaczęła masować stopę.

Wyprostowała się i wreszcie zdołała na tyle odzyskać równowagę, że zaczęła śmiać się z samej siebie. Zawsze uważała, że nie ma w niej dumy rodowej i wyśmiewała się wraz z Harrym z rozpierającego Arthura poczucia własnej ważności. Tymczasem właśnie dała upust wściekłości, bo jakaś kobiecina z kolonii ośmieliła się ją obrazić. Ją - milady Octavię Petrie.

- Jeśli jeszcze przez chwilę postoi pani bez ruchu, to przeziębienie gwarantowane - zabrzmiał głos z ciemności, spowijających odległy kraniec tarasu. Zerknęła w tamtą stronę i dostrzegła ledwo widoczną sylwetkę Edwarda Barraclough. Mówił dalej: - Co za atak wściekłości. Domyślam się co, a raczej kto go spowodował. To wyjątkowo niemiła kobieta. Proszę się nią nie przejmować, Octavio.

- Jak mam się nie przejmować? Przecież jestem od niej zależna. - Zamilkła i wzięła się w garść. - Nie powinien mi pan tego mówić. Pani Barraclough to pańska bratowa.

- Historia moich potyczek z Julią jest wyjątkowo długa. Bratowa doskonale wie, co o niej myślę.

- Jest pan przynajmniej w tej szczęśliwej sytuacji, że może pan się jej odgryźć.

Edward podszedł bliżej. Dopiero teraz zauważyła, że pali cygaro.

- Co się stało? W przeszłości wielokrotnie nie zgadzała się pani z moimi słowami. Bawiły mnie nawet pani wysiłki, by powstrzymać się od repliki. Nie przypominam sobie natomiast, by kiedykolwiek wpadła pani w taką wściekłość jak teraz.

- Pan nigdy nie potraktował mnie jak służącej. A pani Barraclough tak. Nie mogę tego znieść!

- Intrygująca jest ta pani wielkopańska dystynkcja, Octavio. Gdzie się jej pani nauczyła?

- Nie wiem, o czym pan mówi, sir - powiedziała sztywno Octavia.

Wzruszył ramionami i odrzucił cygaro.

- Julia źle działa nie tylko na panią. Jest zimna i pozbawiona wyobraźni. Mam nadzieję, że zostanie pani z dziewczętami, jak długo będzie to możliwe. Potrzebują pani, potrzebują uczucia i ciepła, które im pani daje.

Znalazł się bardzo blisko Octavii. Osłonił ją od wiatru własnym ciałem. Poczwała przemożną pokusę, by się o niego oprzeć. Z wysiłkiem się pohamowała.

- Nie jestem pewna, czy zdołam. Dwa miesiące wkrótce się... - Moment słabości minął. - Nie - oświadczyła mocniejszym głosem. - Nie mogę zostać dłużej. Prawdę mówiąc, wątpię, czy zostanę do końca tego terminu. Nie sądzę, by pańska bratowa mnie zaakceptowała.

- Co za piekielne zamieszanie - rzucił z goryczą. Nieświadomie wyraził te same odczucia, co Jane. - Dlaczego wszystko musiało się zmienić? Po co te komplikacje? Było tak przyjemnie... - Ponownie zwrócił się do Octavii. - Jutro wyjeżdżam na dwa dni do Londynu. Niech pani nie pozwoli się wyrzucić. Mam nadzieję, że po powrocie jeszcze tu panią zastanę. A teraz stanowczo powinna pani wejść do domu. Chodźmy!

Julia od początku poczuła niechęć do panny Petrie. Irytowało ją wyraźne przywiązanie dziewczynek do guwernantki, jej młodość i wdzięk. A najbardziej irytowało ją poczucie, że ona, Julia Barraclough, zachowała się impertynencko wobec osoby, bądź co bądź, należącej do służby. Dopiero po kilku minutach doszła do siebie na tyle, by opuścić bibliotekę

i udać się do swojej sypialni. Krytycznym wzrokiem zmierzyła pokój. Co za okropny dom! Staroświeckie meble, ciemne pomieszczenia, zatechłe korytarze... Jak tu utrzymać czystość? Im szybciej przeniosą się do Londynu, tym lepiej.

Pokojówki były niedbałe. Niestarannie zaciągnęły zasłony w oknie wychodzącym na taras i Julia podeszła, by naprawić ich uchybienie. Jej oczy spoczęły na sylwetkach dwóch osób doskonale widocznych w świetle księżyca. Po cichu otworzyła okno, żeby lepiej widzieć. Edward i panna Petrie stali blisko siebie... zbyt blisko. No, no! To taką rozrywkę szwagier znalazł sobie w Wychford. To dlatego tak się upierał, żeby guwernantka zasiadła z nimi do obiadu. Kiedy ruszyli w stronę domu, wychyliła się z okna. Edward otoczył tę kobietę ramieniem. Usta Julii wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu.

Nagle odskoczyła do tyłu ze stłumionym okrzykiem, gdy zebrana w rynnie nad jej oknem deszczówka niespodziewanie chlusnęła prosto na jej głowę. Okropny dom! Została oblana cuchnącą wodą z gnijącymi liśćmi. Czepek przemókł i woda ściekała z włosów na ramiona. Wrzasnęła gniewnie na pokojówkę. Dziewczyna przybiegła, ale zatrzymała się w progu zdumiona stanem, w jakim znalazła swoją panią. Julia kazała jej sprowadzić więcej służby do pomocy oraz przynieść ręczniki i gorącą wodę. Po paru minutach gorączkowej krzątaniny, której towarzyszyły pełne zniecierpliwienia rozkazy, pokojówki położyły wykapaną Julię do łóżka i podały jej coś ciepłego do picia. Wreszcie wyszły, szczęśliwe, że mogą uciec, i w pokoju ponownie zapadła cisza.

Julia z westchnieniem ulgi opadła na poduszki. Szykowała się do spania przepełniona rozkosznym poczuciem własnej racji. Panna Petrie będzie musiała odejść. Schadzka w gospodzie z „panem Smithem”, w domu romans z pracodawcą...

Niby promienieje godnością, a jest tylko dziewczyną lekkiego prowadzenia. Julia wpatrywała się w przestrzeń w zamyśleniu. Niełatwo będzie pozbyć się Octavii Petrie. Edward zapewne odrzuci oskarżenia Julii, a potrafi być irytująco uparty. Gdyby powiedziała mu o schadzce w gospodzie, prawdopodobnie zażądałby dowodów. Cóż, w takim razie trzeba będzie znaleźć dowód. Postanowiła posłać pokojówkę do gospody. Zdmuchnęła świecę i ułożyła się do snu.

Następny dzień był dla Octavii bardzo nieszczęśliwy. Edward Barraclough wyjechał do Londynu z samego rana, a pani Barraclough wynajdowała kolejne przeszkody, byle tylko trzymać dziewczynki z dala od niej. Lekcje zostały zawieszono, a Octavii, żeby nie siedziała beczynnie, przesyłano do sprawdzenia spis prześcieradeł z pralni i rachunki domowe. Popołudniu chciała zabrać dziewczynki na codzienny spacer, ale pani Barraclough odparła z chłodnym uśmiechem, że przy takiej pogodzie woli zatrzymać bratanice przy sobie. Kazała rozpać ogień w kominku w salonie i tam właśnie ulokowała się z dziewczynkami, podczas gdy Octavia siedziała sama w małym saloniku. Nie było dla niej żadną pociechą to, że zza uchylonych drzwi dobiegały głośne protesty Jane. Zaraz rozległ się gniewny rozkaz pani Barraclough, odgłos szamotaniny, po czym drzwi zostały głośno zatrzaśnięte. Octavii ścisnęło się serce na myśl o podopiecznych, ale była bezradna. I bardzo zaskoczona. Zdawała sobie sprawę, że pani Barraclough jej nie lubi, ale ta kobieta traktuje ją jak zadżumioną. Co się stało?

Kolację zjadła wraz z Jane w pokoju szkolnym. Nie była zmęczona, ale przez większą część nocy leżała bezsennie, rano wstała więc niezbyt wypoczęta.

Ten dzień nie był lepszy od poprzedniego. Pani Barraclough oznajmiła przy śniadaniu, że zabiera bratanicę do Guildford.

- Dobrze - stwierdziła Jane. - Możemy wziąć z sobą pannę Petrie. Chciałabym, żeby poznała naszego nauczyciela tańca.

- Raczej nie - oznajmiła pani Barraclough. - Odwiedzimy potem przyjaciół, a nie sądzę, żeby mieli ochotę spotykać się z twoją guwernantką.

- Ale..

- Bądź cicho! - Pani Barraclough zwróciła się do Octavii. - Szkoda, że nie nauczyła pani mojej bratanicy odpowiedniego zachowania w towarzystwie, panno Petrie. Zawsze była trudnym dzieckiem, ale pod pani opieką zmieniła się na gorsze. Trzeba nad nią popracować, póki jeszcze mamy nad nią jakąkolwiek kontrolę. Doszłam do wniosku, że nie wezmę jej dzisiaj z sobą.

- Naprawdę? - Jane klasnęła z radości, a jej oczy rozbłysły.

- Będziemy miały z panną Petrie cały dzień dla siebie, a ty i Lisette spokojnie złożycie wizytę pani Allardyce. Proszę, powiedz, że mnie zostawisz!

Nie takiej odpowiedzi spodziewała się pani Barraclough.

- Wolę jednak mieć cię na oku, Jane - odparła, kiedy zdołała otrząsnąć się ze zdumienia. - Skończ śniadanie i idź się przygotować.

Octavia poszła z Jane do jej pokoju.

- Kochanie, postaraj się być dzisiaj grzeczna. Ciocia Julia jest surowa, ale na pewno kieruje się twoim dobrem. Udowodnij jej, że jednak zdołałam cię czegoś nauczyć.

- Ona pani nie lubi. Chce panią zranić.

- Jane! - Octavia usiadła na łóżku i trzymała dziewczynkę przed sobą. - Czy jeśli będę z tobą szczerą, okażesz się na tyle dojrzała, by to zrozumieć i nie powtarzać nikomu tego, co ci

powiem? - Jane kiwnęła głową. - Na pewno? Dobrze. Sądzę, że twoja ciocia rzeczywiście mnie nie akceptuje, lecz nie wiem dlaczego. Nie mogę nic na to poradzić. To nieistotne. Ważne, że zależy jej na tobie. Pragnie, abyś odniosła sukces. Pamiętaj, że po moim odjeździe zostaniesz z nią, więc dla własnego dobra postaraj się zrozumieć jej punkt widzenia. Spróbujesz? Sprawiałabyś mi ogromną radość, gdybym po waszym powrocie usłyszała, że ciocia jest z ciebie zadowolona. - Pocałowała Jane. - No, już cię nie ma. Nie daj sobie deptać po nogach podczas lekcji tańca.

Jane podbiegła do drzwi, ale wróciła do Octavii, zarzuciła jej ręce na szyję i uściskała.

- Kocham panią, panno Petrie! Spróbuję!

- Świetnie! - pochwaliła Octavią i odprowadziła wzrokiem dziewczynkę. - Wolniej, Jane! Wolniej! - zawołała za nią z uśmiechem.

Umilkły odgłosy krzątania poprzedzającej ich odjazd i Octavia została sama w domu. Nawet służba gdzieś się ukryła. Pewnie wszyscy zgromadzili się w kuchni na tyłach domu, gdzie panowało miłe ciepło, choć dzień był chłodny. Nadchodziła zima.

Snuła się po domu jak dusza potępiona, aż nogi same zanosły ją ku schodom prowadzącym do pokoju na szczycie wieży. Powoli wspinała się wąskimi schodami, wreszcie stanęła przed zamkniętymi drzwiami. Pchnęła je i weszła do środka.

W powietrzu unosił się lekki zapach - nie słodki, raczej ziołowy, wytrawny, intrygujący. Fotel, który na jej oczach wnoszono po schodach, został ustawiony przed kominkiem. W palenisku niedawno rozpalono ogień. Już prawie zgasł, ale na środku tlił się jeszcze żar. Może rozpalili go służący, którzy wnieśli tu fotel?

Jeśli tak, to płonął wyjątkowo długo. Nieważne. Była wdzięczna za ogień, niezależnie od tego kto go rozpałił.

Octavia dorzuciła parę polan ze stojącego z boku kosza. Potem podeszła do stołu zastawionego różnymi bibelotami, wśród których znalazła swój portrecik w ramce. Na honorowym miejscu znajdował się wizerunek innej dziewczynki. Przeczytała podpis: „Theophania Carstairs, urodzona 1770, zmarła 1778”. A więc to córeczka ciotki Carstairs, jej jedyne dziecko. Czy ciotka dlatego zapisała Wychford Octavii, że przypominała jej utraconą przed laty córeczkę? Lekki jak tchnienie oddechu powiew przeleciał przez pokój. Octavia rozejrzała się. Okna wydawały się szczelnie zamknięte, ale w tak wysokim pomieszczeniu przeciąg nie powinien dziwić.

Usiadła w fotelu. Pogrążyła się w smutku. Z ciężkim sercem myślała o tym, co przyjazd Julii Barraclough oznaczał dla Lisette i Jane. Jane była wyjątkowym dzieckiem, a Julia Barraclough reprezentowała najgorsze cechy: krytycyzm, apodyktyczność, brak spostrzegawczości i przesadną wiarę w dyscyplinę. Jane przeżyje wiele trudnych chwil, zanim nauczy się współżycia z ciotką. A co wtedy się stanie z jej cudowną spontanicznością? Lisette nigdy nie wzbudzi dezaprobaty ciotki, bo zawsze stara się unikać konfliktów i pragnie widzieć we wszystkich to, co najlepsze. Jednak jej świeżość, delikatny czar i subtelność znikną w kontakcie z dominującą osobowością Julii Barraclough. Lisette mogła zmienić się w nijaką istotę bez własnej osobowości, mogła nawet nagiąć się do narzuconej przez ciotkę wizji „dobrego” małżeństwa. Harry miał szansę ją uratować, ale Octavia nie była w stanie nic w tej sprawie zrobić. Właściwie w żadnej sprawie nie mogła nic zrobić.

Ze zdumieniem poczuła, że po policzku spłynęła jej łza. Niemożliwe! Octavia Petrie słynęła z tego, że nigdy nie pła-



cze. Jednak łzy płynęły jedna za drugą, coraz szybciej, wreszcie z gardła wyrwał jej się szloch, potem następny. Zmieszana i zawstydzona Octavia zaczęła szukać chusteczki. Na próżno. Chusteczka do nosa to tylko skrawek materiału, pewnie i tak nie byłoby z niej wielkiego pożytku, ale jej brak okazał się kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Octavia ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się płaczem. Nieważne, że zakurzone ręce zostawiały na jej twarzy smugi brudu. Nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć.

W końcu uspokoiła się i, o dziwo, poczuła się lepiej. Unoszący się w powietrzu ziołowy zapach przybrał na sile. Zamknęła oczy. Nagle stanęła przed nią postać ciemnowłosego mężczyzny. Uśmiechał się w ten charakterystyczny dla siebie sposób, z lekko uniesioną w górę brwią, z wesołym błyskiem w oczach, jakby zachęcał, by podzieliła jego rozbawienie. Po chwili spoważniał i powiedział, że ją kocha, że wszystko będzie dobrze. Octavia znowu poczuła się szczęśliwa... i bardzo śpiąca.

Edward wrócił z Londynu i dowiedział się od jednego ze służących, że rodzina wybrała się na cały dzień do Guildford. Był zły. Okazało się, że nie było potrzeby tak się spieszyć.

Snuł się niespokojnie po domu, właściwie bez celu. Wyczuwał w powietrzu napięcie, którego nie potrafił zrozumieć. W końcu zawędrował do pokoju szkolnego. Nie znalazł tam niczego ciekawego. Podręczniki leżały porządnie ułożone w stosy, podobnie jak papiery na biurku. Przejrzał je. Lista rzeczy z pralni? Rachunki domowe? Na wszystkich notatki sporządzone ręką Octavii. Edward upuścił je na biurko. Ależ złośliwa baba z tej Julii! Octavia czymś jej się naraziła, więc przez zemstę kazała guwernantce wykonywać robotę służącą.

Co przeżywa w tej chwili Octavia? Wizyta u Allardyce ow

stwarza niezliczone wręcz możliwości upokarzania jej, bo Lavinia Allardyce jest niemal taką samą snobką jak Julia. Edward zapatrzył się w przestrzeń. Co robić, do licha? Nie tylko Octavia mogła ucierpieć w kontaktach z Julią. Również Jane i Lisette, szczególnie po wyjeździe guwernantki. Tak wiele dla nich zrobiła. Jane znów była radosnym dzieckiem, które pamiętał z dawnych czasów, a wyraz smutku w oczach Lisette, który tak bardzo go niepokoił, zniknął niemal bez śladu. Niewątpliwie dzięki Octavii Petrie. Wreszcie zrozumiał, dlaczego wcześniej wrócił z Londynu. Nie potrafił długo wytrzymać z dala od Wychford, bo tu mieszka Octavia Petrie. I oto wrócił, by się przekonać, że wyjechała na cały dzień.

Okno zatrzęsęło się z hukiem, co wyrwało go z zamyślenia. Przecież dom jest pusty. Czyżby pojawił się intruz? Edward wyszedł z pokoju szkolnego i rozejrzał się, ale wokół panowała cisza. Wydawało mu się, że hałas dobiegał z wieży. Podeszedł do podnóża prowadzących na szczyt wąskich schodów i nasłuchiwał. Nic. A jednak... Edward wyjął z pęku kluczy ten, który otwierał pokój na górze. Po cichu wspiął się po schodach.

Okazało się, że nie potrzebuje klucza. Drzwi były lekko uchylone, a przez szparę dostrzegł ogień w kominku.



## Rozdział dziesiąty

Edward pchnął drzwi i mocno zacisnął w ręce klucz. Jeśli wdarł się tu intruz, już on sobie z nim poradzi. Wszedł cicho. Ogień buzował w kominku, ale pokój był pusty. Stał w drzwiach, wdychając mocny, ostry zapach, który przywiódł mu na myśl panią Carstairs. Kiedy po raz pierwszy ją odwiedził, siedziała w fotelu przy kominku w tym właśnie pokoju, a on niepewnie zatrzymał się w progu, tak samo jak teraz. Jej czarne oczy rozbłyły na jego widok.

- Niech pan wejdzie, proszę! - zawołała. Była szczupła, ale jeszcze niewyniszczona chorobą. I bardzo młoda duchem. - Proszę bliżej. Niech się panu przyjrzę.

Wszedł w głąb pokoju. Kiwnęła głową.

- Tak. Wiedziałam, że pan się nada. Wymyśliłam sobie kogoś takiego jak pan. Cieszę się, że znów pana widzę, panie Barraclough. Potrzebuję kogoś takiego jak pan. - Edward nie wiedział, co na to odpowiedzieć, a starsza pani ciągnęła: - Nie jest pan, oczywiście, blondynem, ale to bez znaczenia. Wolę brunetów. Czy nadal chce pan wynająć Wychford, kiedy pańska rodzina przyjedzie do Anglii?

Rozmowa z tą kobietą zawsze miała dość dziwny przebieg,

ale nigdy nie była nudna. Potem odwiedził ją jeszcze kilka razy, była z każdą wizytą coraz słabsza, aż wreszcie nie mogła przejść do pokoju w wieży nawet przy pomocy służby. Wtedy właśnie ten fotel został zniesiony na dół, do jej sypialni. Wrócił tu dopiero teraz.

Edward wszedł w głąb pokoju i dopiero wtedy zauważył, że pomieszczenie wcale nie jest puste. Octavia Petrie spała w fotelu. Była tak drobna, że od drzwi nie zdołał jej dostrzec. Dlaczego nie obudziła się, kiedy okno zatrzasnęło się z hukiem? Podszedł bliżej. Leżała w takiej samej pozycji jak tamtej nocy w pokoju Jane. Wtedy miała na sobie nocną koszulę i cienutki szlafroczek, teraz była w pełnym stroju, w prostej, niebieskiej sukience, zapinanej pod szyją. Wyglądała równie kusząco jak wówczas. Ukłękł przy niej i zauważył na jej twarzy ślady zaschniętych łez. Serce mu stopniało, dotknął dłonią jej policzka.

- Octavio! - szepnął.

Otworzyła oczy, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Wiem, że w rzeczywistości wcale tu pana nie ma - mruknęła sennie. - Jest pan w Londynie. Ale cieszę się, że pański duch dotrzymuje mi towarzystwa.

Na dworze jakiś ptak - gawron albo mewa - wydał głośny chichot, lecz oni go nie usłyszeli.

- Jestem tutaj na jawie - zapewnił Edward. - Jak najbardziej cieleśnie. Żaden duch nie mógłby odczuwać tego co ja w tej chwili. - Pochylił się i pocałował Octavię.

Nie otrząsnęła się w pełni ze snu i jej usta, po krótkim wahaniu, zmiękły i poddały się jego wargom. Objął jej twarz rękami i pocałował ją znowu, tym razem namiętniej. Zaczął pokrywać pocałunkami jej policzki, oczy, czubek nosa i brodę, rozpinając równocześnie drżącymi palcami guziki jej sukienki. Całował szyję, ramiona, cieniste zagłębienie pomiędzy

piersiami... Jeszcze mu było mało. Uniósł ją z fotela i trzymał w powietrzu. Była tak lekka, że powiew powietrza mógł ją porwać, i Edwarda ogarnął nagle niepokój, że ją skrzywdzi lub przestraszy intensywnością swoich uczuć. Z ogromną niechęcią postawił ją na podłodze, daleko od siebie.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, wyraźnie wstrząśnięta, ale uśmiechnęła się, gdy zadrżała mu w oczy. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła usta do jego warg. Żadna z wyszukanych pieszczot Louise nie zelektryzowała go tak bardzo, jeszcze nigdy nie czuł się tak męski, tak żywy, tak pobudzony. I jeszcze nigdy nie czuł, że za wszelką cenę musi zachować nad sobą kontrolę.

- Octavio - powiedział wyschniętymi ustami.

- Nic nie mów - szepnęła. - Gadanie wszystko zepsuje. Pocałuj mnie znowu, Edwardzie. Błagam, całuj mnie.

Tego już było za wiele! Ciągłe złączeni w pocałunku osunęli się na podłogę przed kominkiem, zapominając o bożym świecie. Zsunął jej suknię z ramion i całował aksamitną skórę obnażonych piersi...

Powiew wiatru z uchylonego okna przemknął przez pokój i Octavia zadrżała. Ten leciuteńki ruch sprawił, że Edward oprzytomniał.

- Nie wolno mi. Nie mam prawa. Nie wiesz, co robisz, Octavio. Nie możemy posunąć się dalej. - Edward wstał i podniósł ją, niemal gniewnie. Patrzyła na niego w oszołomieniu. W pewnej chwili zmienił się wyraz jej twarzy, jakby otrząsnęła się ze snu. W jej oczach pojawił się wyraz przerażenia, opuściła głowę, a z ust wyrwał się szloch. Odwróciła się od niego i zaczęła poprawiać suknię.

- Octavio... - zaczął.

Potrząsnęła głową.

- Octavio! - powiedział jeszcze raz.

- Nie! Proszę nic nie mówić! - zawołała. - To znowu się stało. Nie mam pojęcia, co mnie naszło, przecież nie wiem takich uczuć. Tak mi wstyd! Co pan sobie o mnie pomyśli? Jak mogłam panu pozwolić... Jak mogłam pana błagać, żeby mnie pan całował? Takie rozwiązałe zachowanie... Proszę na mnie nie patrzeć w taki sposób! Nie mogę tego znieść!

Odwróciła się i wypadła z pokoju. Zbiegała po schodach, jakby ścigało ją stado demonów. Usłyszała trzaśnięcie drzwi jej pokoju.

Minęło sporo czasu, zanim Edward uznał, że jest zdolny do opuszczenia pokoju pani Carstairs, a nawet wtedy nie był jeszcze w stanie myśleć racjonalnie o tym, co się wydarzyło. Zanim wygasił ogień i zamknął pokój, obejrzał jeszcze uważnie wszystkie okna, szukając obluźwanych klamek i szpar w ramach. Nie znalazł niczego. Trzaskające okno musiało znajdować się w innym pomieszczeniu. Ale... skąd wziął się ten powiew powietrza, któremu zawdzięczali otrzeźwienie? Nieważne, skąd się wziął, i tak oboje winni mu byli wdzięczność.

Nic dziwnego, że panna Petrie wymówiła się bólem głowy i pozostała przez resztę dnia w swoim pokoju. Oczywiście Julia pogratulowała sobie zwycięstwa w batalii o jej obecność przy obiedzie.

- Ci ludzie są wszyscy jednakowi, Edwardzie - perorowała. - Jeśli dasz im odrobinę swobody, od razu będą próbowali cię wykorzystać. Natychmiast ustępują, jeśli okażesz stanowczość. Panna Petrie miała cały dzień na przemyślenia i doszła do wniosku, że nie wygra. Ośmielał się wysunąć przypuszczenie, że już więcej nie pojawi się przy obiedzie. Pani Allardyce miała podobne doświadczenia. Guwernantki z reguły są skłonne uważać się

za coś lepszego od reszty służby. Czy wiesz, że Lavinia Allardyce jest daleką krewną Ledburych? - Zawahała się i zerknęła niepewnie na bratanice. - Lisette, ponieważ panna Petrie twierdzi, że ból głowy uniemożliwia jej pełnienie obowiązków, chciałabym, abyś zaprowadziła Jane na górę i położyła do łóżka. Jest zmęczona po całym dniu, a ja chcę jeszcze porozmawiać z waszym stryjem. Nie musisz już później do nas wracać.

Edward wstał.

- Nie musisz, chyba że miałabyś na to ochotę, Lisette. Chętnie posłucham o twoich lekcjach tańca.

- Może jutro, Edwardzie? - szepnęła Lisette głosem istoty pokonanej i ujarzmionej. - Chyba powinnam zostać z Jane, dopóki nie zaśnie. Ciocia Julia ma rację, mała jest bardzo zmęczona.

Siostry wyszły z jadalni i weszły po schodach na górę.

- Czy mogłabym zajrzeć do panny Petrie, Lisette? - zapytała Jane szeptem. - Nie pytałam cioci o pozwolenie, bo na pewno by odmówiła. A chciałabym jej powiedzieć, jak grzecznie się zachowywałam.

- Sprawdź, jak się czuje - odparła Lisette z uśmiechem. - Byłam dziś z ciebie dumna, Jane, i wydaje mi się, że ta wiadomość poprawiłaby samopoczucie panny Petrie. Pozwól, że najpierw ją zapytam.

Wbrew ich przypuszczeniom panna Petrie nie leżała w łóżku. Siedziała w fotelu przy oknie i wpatrywała się w ciemność. Kiedy Lisette zajrzała do pokoju, odwróciła się i uśmiechnęła na jej widok.

- Wejdz - zaprosiła dziewczynę. - Gdzie Jane?

- Jestem tutaj!

Lisette stanowczo odsunęła siostrę do tyłu.

- Bardzo nam przykro, że znowu boli panią głowa - powiedziała. - Czy będziemy pani przeszkadzać?

- W żadnym wypadku! - zawołała panna Petrie. - Wejdźcie!

- Ciocia Julia uważa, że nie jest pani wcale chora - stwierdziła Jane, przyglądając się bladej twarzy i podkrążonym oczom guwernantki. - Moim zdaniem, wygląda pani na bardzo chorą, panno Petrie. Chyba powinna pani poprosić Edwarda, żeby posłał po doktora.

- Ja nie... nie sądzę, żeby to było konieczne, Jane. To tylko ból głowy. Powiedz, jak minął dzień.

- Doskonale! - zawołała Jane. - Przez cały dzień byłam bardzo grzeczna!

- Ciocia była z ciebie zadowolona?

- Nie powiedziała tego, lecz na pewno była. A u Allardyce ow było okropnie nudno.

- Biedna Jane - mruknęła Lisette z uśmiechem. - Tak się starała. Byłam z niej naprawdę dumna.

- Cieszę się. Myślę, że zasłużyłaś na uściski, kochanie.

Jane nie potrzebowała drugiego zaproszenia. Natychmiast wdrapała się na kolana guwernantki i mocno ją uściskała. Panna Petrie zamknęła oczy, więc Lisette powiedziała:

- Już wystarczy, Jane. Zasiedziałyśmy się. Opowiedziałaś pannie Petrie o dzisiejszym dniu, a teraz musimy iść i dać jej odpocząć. Chodź. - Jane niechętnie zesza z kolan guwernantki i pozwoliła się zaprowadzić do drzwi. W progu Lisette zatrzymała się. - Może coś pani przynieść?

- Nie, dziękuję. Wcześniej położę się spać, a rano będę jak nowo narodzona i chętnie wysłucham szczegółowej relacji z wydarzeń dzisiejszego dnia. Dobranoc, kochane.

Jane była bardzo cicha w drodze do swojej sypialni. Lisette dotrzymywała siostrze towarzystwa, podczas gdy służąca ją



rozbierała, myła i kładła do łóżka. Po odejściu pokojówki Lisette podeszła, żeby pocałować Jane na dobranoc.

- Lisette - szepnęła zmartwiona Jane. - Panna Petrie płakała.

- Nie sądzę, Jane.

- Tak, płakała! Pod oknem było ciemno, więc nie widziałaś, ale miała mokre policzki. Płakała.

- To pewnie przez ten ból głowy - uznała Lisette po chwili wania. - Pamiętasz, jak cię bolała głowa podczas ostatniej choroby? Miejmy nadzieję, że rano poczuje się lepiej. Dobranoc.

Lisette wyszła po cichu. Nie chciała martwić siostry, ale obawiała się poważnie, że stracą pannę Petrie szybciej, niż się spodziewały.

W tym samym czasie Julia rozpoczęła kampanię.

- Lavinia Allardyce mówi, że Daisy Ledbury nie jest szczęśliwa w małżeństwie. Podobno Ledbury rzadko bywa w domu, obraca się w bardzo podejrzanym towarzystwie. Kobięcym towarzystwie!

- No cóż, doszły mnie słuchy na ten temat - przyznał Edward powściągliwie. Nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać plotek rozpuszczanych przez panią Allardyce. Julia uwielbiała moralizować, a tego by dzisiaj nie zniósł.

- Oczywiście, moralność w Anglii znajduje się w stanie upadku - kontynuowała. - Nawet wśród osób, które powinny świecić przykładem. Szczególnie wobec młodzieży.

- Doprawdy? - mruknął Edward najbardziej zniechęcającym tonem.

Julia zbyt się tym nie przejęła.

- Zawsze uważałam, że guwernantki i tym podobne osoby powinny obowiązywać szczególnie ostre kryteria w dziedzinie

moralności - ciągnęła z uporem. - Najwyraźniej jest inaczej. Weźmy, na przykład, pannę Petrie.

Edward zachnął się. Przecież Julia nie mogła wiedzieć o scenie, jaka rozegrała się tego dnia w pokoju w wieży. Niemożliwe! Nikogo ze służby nie było nawet w pobliżu, a Julia z dziewczętami wybrały się do Guildford.

- Jeśli zamierzasz być nieuprzejma względem panny Petrie, Julio, to oszczędź sobie fatygi, na darmo strzepisz język - oświadczył chłodno. - Zauważyłem, że jej nie lubisz, Bóg jeden wie dlaczego. Ja zawsze byłem z niej zadowolony.

- Oczywiście, że byłeś - powiedziała znacząco. - Czy wiesz, że ona ma kochanka?

- Kochanka? Co za bzdury?

- Żadne bzdury, mój drogi. Przeprowadziłam dokładne dochodzenie. Kochanek panny Petrie mieszkał w wiejskiej gospodarce. Wyjechał w chwili mojego przyjazdu, zaledwie dwa dni temu.

Edward wstał.

- Uważaj na to, co mówisz, Julio. Nie dopuszczę, żebyś swoim robaczywym językiem zatruwała osobę, którą darzę najwyższym szacunkiem!

- No tak, ciebie też złapała w swoje sidła.

Edward z najwyższym trudem nad sobą panował. Nie wrócił do równowagi po tym, co wydarzyło się po południu. Wysłuchiwanie, jak Julia, kobieta, którą zawsze gardził i której nie lubił, szarga dobre imię Octavii, przekraczało jego siły.

- Nie chcę nic więcej słyszeć. Zostawiam cię, możesz sama nurzać się we własnych brudach, Julio, ja nie mam na to ochoty.

- Mogę to udowodnić! - Słowa bratowej dosięgły go już przy drzwiach.

Odwrócił się powoli i wycedził:

- Jeśli to jedna z twoich fantazji, to, przysięgam na Boga, zrujnuję ciebie i twojego męża. To nie będzie wcale trudne. Wasz majątek nie jest wcale tak bezpieczny, jak sądzicie.

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy! To okrutne! Gdybym nie miała absolutnej pewności, to chyba zaczęłabym się bać. - Z zainteresowaniem zmierzyła wzrokiem szwagra. - Wygląda na to, że masz dla panny Petrie więcej sympatii, niż przypuszczałam. W takim razie tym bardziej powinieneś poznać prawdę o niej. Ta kobieta prowadzi podwójną grę, Edwardzie. W dniu mojego przyjazdu nie poszła wcale na niewinny spacer. Była w gospodzie i romansowała z niejakim panem Smithem. Smithem! Nie sądzisz, że powinna wymyślić dla niego lepsze nazwisko?

- Mów dalej! - warknął Edward ponuro.

- Byłam świadkiem tego spotkania, widziałam ich na własne oczy, więc nawet nie próbowała zaprzeczać. Kiedy przyjechałam, byli w gospodzie sami i prowadzili bardzo intymną rozmowę. To nie wszystko. Przeprowadziłam dochodzenie i znalazłam świadków, którzy widzieli, jak się obejmowali i całowali! Niektórzy twierdzą nawet, że pomagała mu się ubierać! - Julia spojrzała triumfalnie na szwagra. - Sam ją zapytaj, kim jest ten pan Smith. Zobaczymy, co ci odpowie.

Edward patrzył na Julie, oszołomiony. Wreszcie wybuchnął:

- Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie. Musi istnieć! Nie wierzę, że Octavia... że Octavia to zrobiła. Muszę wyjść. Tutaj nie potrafię zebrać myśli. - Wypadł z jadalni, biegiem przemierzył hol i znalazł się na dworze.

Julia wyszła za Edwardem i odprowadziła go wzrokiem. Uśmiechnęła się z głęboką satysfakcją. Zawsze taki pewny sie-

bie, skory do krytykowania innych. Teraz role się odwróciły. To musi być dla niego trudne do zniesienia.

Z uśmiechem na ustach zawróciła do domu, ale niespodziewany podmuch wiatru zatrzaskał jej drzwi przed nosem. Spojrzała na dębowe drzwi z niedowierzaniem. Skąd, na litość boską, powiał ten wiatr? Z wnętrza domu? Niemożliwe. Z okrzykiem zniecierpliwienia złapała za sznur dzwonka i mocno szarpnęła. Nikt nie otwierał! Gdzie się podziała służba? Na pewno wygrzewali się wszyscy w kuchni, nie zwracając uwagi na wezwanie. Na dworze było zimno. Szarpnęła sznur ponownie, jeszcze bardziej energicznie. Uchwyt został jej w dłoni. Odrzuciła go od siebie i, dygocząc z zimna na przejmującym wietrze, który nagle się zerwał, zaczęła obchodzić dom w poszukiwaniu kuchennego wejścia. Ktoś za to zapłaci, już ona tego dopilnuje! A jeśli chodzi o ten obrzydliwy dom... Można by pomyśleć, że próbuje się jej pozbyć. Jeśli tak, to zrozumiała przesłanie. Opuszczą wszyscy tę ruinę najszybciej, jak się da, i znajdą sobie lokum w Londynie. Rozprawi się tylko z tą Petrie, i to zaraz. Gdzie te drzwi?

Edward krążył przez chwilę wokół domu, stanowczo odrzucając jakąkolwiek myśl o dwulicowości Octavii. Uczciwość, duma, słodycz, rozum - wszystkie przymioty, które tak wysoko w niej cenił - stanowiły argument za odrzuceniem oskarżeń Julii. Nie mógł się tak pomylić w ocenie Octavii, po prostu nie mógł! Kiedy jednak się uspokoił, rozum zaczął brać górę na uczuciami. Zrozumiał, że Julia nie odważyłaby się rzucać takich oskarżeń bez bardzo mocnych podstaw. Była zła, ale nie głupia. Musiało więc dojść do pomyłki. Powinien osobiście udać się do gospody i ostatecznie zamknąć tę historię.

Ruszył do wioski w przekonaniu, że bez trudu znajdzie wyjaśnienie, a potem rozprawi się z bratową tak, jak na to zasługuje.

Pomimo późnej pory gospoda była jeszcze otwarta, a szynkarz okazał pełną gotowość do rozmowy. Owszem, gościł przez kilka dni młodego dżentelmena nazwiskiem Smith. Wyjątkowo miłego i przystojnego dżentelmena. Mógłby przysiąc, że to wojskowy, miał w sobie coś takiego. Nie, nie mógł nic powiedzieć o jego gościach, on osobiście nikogo nie widział. Natomiast Maggie, jedna z pokojówek, zauważyła z nim młodą kobietę. Bardzo się kochali. Mówiła chyba, że to guwernanta ze dworu, ale oczywiście mógł się mylić. Może pan Barracrough wolałby osobiście wypytać pokojówkę?

Edward nie tracił nadziei, że zaszło nieporozumienie. Octavia przyznała się przecież do spotkania z panem Smithem w gospodzie, więc może pokojówka popełniła błąd w ocenie tego, co zobaczyła? Kiedy karczmarz przedstawił mu dziewczynę, wprost ją o to zapytał.

- O nie, sir! - zawołała pokojówka i uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach. - Obejmowali się i całowali, ale nie spędzili z sobą nocy. Chociaż wystarczyło na nich spojrzeć, by wiedzieć, że znają się dobrze, tak, naprawdę dobrze. Rozumie pan, co mam na myśli? Rzeczywiście nie był kompletnie ubrany, kiedy ich razem zobaczyłam. Jestem pewna, że bardzo się kochają. Aż miło było na nich popatrzeć. On taki przystojny i ona śliczna.

Edward wrócił do Wychford kompletnie otumaniony. Poszedł do biblioteki i nalał sobie szklaneczkę brandy, a zaraz potem następną. Nie mógł tego zrozumieć. Instynkt podpowiadał mu, że coś tu się nie zgadza. Octavia Petrie była uczciwa. Mógłby przysiąc! Ale dowody... Czy odpowiadałaby tak

namiętnie na jego pocałunki, gdyby miała romans z innym mężczyzną? Czy wpałaby w tak autentyczną rozpacz, kiedy uświadomiła sobie, jak się zachowała?

A może to on okazał się wyjątkowo naiwny? Czyżby już zapomniał, że niektóre ze znanych mu kurtyzan roztaczały wokół siebie aurę niewinności, która zniknęła natychmiast, gdy tylko przekroczyły próg sypialni? Ale nie Octavia! Nie Octavia! Ukrył twarz w dłoniach, próbując wyrzucić z pamięci, jak się do niego tuliła i błagała o pocałunki. Czy tak się zachowuje niewinna dziewczyna? Jeszcze wczoraj powiedziałyby, że to reakcja niewinnej dziewczyny, która nie uświadamiała sobie dotychczas własnej namiętnej natury i po raz pierwszy w życiu doświadczyła pokusy. Przecież wstyd, urażona skromność nie mogły być udawane? A jeśli? Jeśli zrobiła z niego kompletnego idiotę?

Rosły jego wątpliwości. Czas jej zatrudnienia jako guwernantki w Wychford dobiegał końca, może więc podjęła próbę uwiedzenia pracodawcy, żeby go zmusić do oświadczeń? Czy naprawdę sądziła, że mogłaby go do tego skłonić? Prawdę mówiąc, była bardzo bliska celu. Bardzo bliska.

Przez całą noc Edward siedział pogrążony w ponurych myślach. Jeśli miłość oznacza ogłupienie i utratę zdrowego rozsądku, to jej nie chce. Octavia musi stąd odejść, i to natychmiast.

Rano poprosi ją do biblioteki.

Octavia również spędziła bezsenność. Dręczyły ją wspomnienia poprzedniego dnia. Zachowała się skandalicznie, jakby zmieniła się w całkiem inną osobę, pozbawioną wstydu, skromności, szacunku do samej siebie. Jak mogła? Edward Barraclough zawsze bardzo jasno przedstawiał swoje stanowisko. Nie zamierzał się żenić ani z nią, ani z żadną inną kobietą.

Wiedziała o tym. Wiedziała, że nie miał w planach małżeństwa, a jednak pozwoliła mu na takie zachowanie. Nie tylko pozwoliła, ale wręcz prosiła go o to, błagała. Pewnie pamiętał - podobnie jak ona - że już raz zachowała się bezwstydnie, kiedy pomagał jej zejść z drzewa. Nie było sensu wmawiać Edwardowi czy nawet sobie, że nie należy do tego typu osób. Należy, kiedy w grę wchodzi Edward Barraclough.

Istnieje tylko jedno rozwiązanie. Musi uciec przed pokusą, opuścić Wychford, Lisette i Jane i wrócić do Ashcombe.

Kiedy Edward Barraclough wezwał ją do biblioteki na rozmowę, miała ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie. Bała się stanąć z nim twarzą w twarz. Jednak zeszła na dół z ponurą determinacją, by mieć to już za sobą. Zasłużyła sobie na marną opinię w jego oczach, na potępienie. Zasłużyła sobie nawet na obelżwą propozycję zostania jego kochanką. I niezależnie o tego, co on powie, ona wyjedzie z Wychford już jutro, jak tylko zdoła zorganizować sobie transport do Ashcombe. Co do jednego była zdecydowana. Nie przyzna mu się do swej prawdziwej pozycji społecznej. Jej rodzina nie zasłużyła na potępienie, jakie ściągęłoby na nią jej zachowanie.

Edward siedział przy biurku.

- Proszę usiąść, panno Petrie - powiedział, nie patrząc na Octavię.

Usiadła i wbiła wzrok w złożone na kolanach dłonie. Zapadła cisza. Kiedy zaczął mówić, w pierwszej chwili nie rozumiała, o co chodzi. Zarzuty pani Barraclough? I to wszystko?

Mówił dalej i zaczęło jej się robić zimno.

- Pani Barraclough zawiadomiła mnie, że miała pani przyjaciela, który zatrzymał się w gospodzie. To prawda? - Octa-

via kiwnęła głową, więc kontynuował: - Nie przyszło pani do głowy, żeby mnie o tym powiadomić? Albo przyprowadzić go do domu i przedstawić?

- On... ja... nie spodziewałam się go w Wychford. Miał tu nie przyjeżdżać. Jak tylko się zjawił, kazałam mu wyjechać.

- Ale nie wyjechał od razu, prawda? Najpierw odegrał pewną małą scenkę miłosną.

Octavia podniosła głowę. Czyżby Edward dowiedział się o spotkaniu Harryego z Lisette? Dlatego jest taki zły? W duchu odetchnęła z ulgą. A wtedy usłyszała:

- W gospodzie. Byliście bardzo... przyjacielscy względem siebie.

Co za ironia losu! To nie Lisette go rozgniewała, lecz jej własne, całkiem niewinne spotkanie z bratem.

- Bo my... jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi - powiedziała niepewnie.

Podskoczyła, kiedy Edward uderzył pięścią w blat biurka.

- Dość tych sztuczek! Pokojówka z gospody uważa, że jesteście kochankami!

Octavia osłupiała.

- To bzdura! - zawołała z gniewem. - Jak pan mógł tak pomyśleć? Ta dziewczyna kłamie!

- Zaprzecza pani, że była w gospodzie?

- Nie.

- Zaprzecza pani, że się z nim tam spotkała?

- Nie

- Zaprzecza pani, że był w niekompletnym stroju, kiedy się spotkaliście? Że się obejmowaliście?

- Nie, ale to dlatego, że... - Octavia urwała. Jej własne nadzieje na szczęście legły w gruzach, ale Harry nadal miał szansę. Straci ją jednak, jeśli Edward Barraclough dowie się o jego



istnieniu teraz, gdy jest w takim nastroju. Dokończyła: - To dlatego, że wstał z łóżka dopiero, kiedy przyszedłam. Chcieliśmy się pożegnać.

- Jakie to wzruszające. Zapewne bardzo pani za nim wczoraj tęskniła i dlatego tak entuzjastycznie przyjęła pani moje atencje. A może doszła pani do wniosku, że ja stwarzam lepsze perspektywy? Może nawet miała pani nadzieję na małżeństwo? Pewnie przeżyła pani bolesne rozczarowanie, kiedy udało mi się uniknąć uwiedzenia pani.

Te brutalne słowa wstrząsnęły Octavią. Wczoraj ten sam człowiek obejmował ją z czułością i szeptał słowa pełne uczucia. Serce jej się ścisnęło. Spodziewała się właściwie tego typu oskarżeń, ale wcale nie było jej przez to lżej.

- Rozumiem pańskie podejrzenia - zdołała wreszcie powiedzieć. - Są błędne, ale nie spodziewam się, by mi pan teraz uwierzył. Pragnę jednak dać panu słowo honoru, że Harry Smith nie jest i nigdy nie był moim kochankiem. A jeśli chodzi o wczoraj... - Kaszlnęła i dokończyła. - Jeśli chodzi o wczoraj, to wstydzę się swojego zachowania bardziej, niż mogłabym wyrazić. Myli się pan w ocenie moich intencji, ale nie dziwię się, że nabrał pan o mnie złego mniemania. Zapewniam pana, że ja o sobie myślę na pewno gorzej.

Edward przyglądał jej się w milczeniu.

- Rozumie pani, że po tym wszystkim nie mogę dopuścić, by pani tu nadal pracowała?

- Jeżeli szuka pan pretekstu, żeby się mnie pozbyć, to oszczędzę panu kłopotu. Nie mogłabym sobie pozwolić na pozostanie tu po tydzień, co między nami zaszło, panie Barraclough. Ja... ja miałam nadzieję, że zostanę z pańskimi bratanicami do końca, obawiam się jednak, że będzie pan musiał jakoś im

wytłumaczyć mój pośpieszny wyjazd. Proszę tylko nie zniszczyć ich iluzji co do mnie. - Głos jej się załamał. - Bardzo się do nich przywiązałam.

Edward wstał i podszedł do okna. Potem odwrócił się i gwałtownie rzekł:

- Do licha, dlaczego to się musiało stać, Octavio? Pierwszy raz w życiu... - Urwał. - Nieważne! Co się stało, to się nie odstanie. Może pani pojechać gigiem. Jem panią odwiezie. Za godzinę?

Kiwnęła głową i ruszyła do drzwi.

- Wytłumaczę to dziewczynkom najlepiej, jak potrafię. Będzie im pani brakowało.

Octavia nie zdołała wykrztusić ani słowa. Wyszła.

Kiedy Octavia wyjeżdżała, w oknach Wychford pojawiło się wiele twarzy. Julia uśmiechnęła się, kiedy gig wjechał w aleję. Uchybiłaby swoim powinnościom wobec bratanię męża, gdyby pozwoliła tej nierządniczy pozostać!

Lisette patrzyła z troską. Była wystarczająco dorosła, by zastanowić się nad przyczyną tak niespodziewanego wyjazdu panny Petrie. Niewątpliwie nie chodzi wyłącznie o niechęć ciotki.

Jane stała w oknie swojego pokoiku w wieży, ale nic nie widziała przez łyzy. Nienawidziła ciotki! Po co być dobrą, kiedy traci się jedną z najmilszych osób na świecie?

W żadnym z okien nie pojawiła się twarz Edwarda. Pochylał się nad papierami w bibliotece, zdecydowany nie myśleć o miodowozłotych włosach, oczach rozświetlonych radością lub pociemniałych z namiętności, o dotyku smukłego kobiecego ciała. Z przekleństwem rzucił pióro i utkwiał wzrok w blacie biurka. Upora się z tym. Zanim spotkał Octavię Petrie, był

całkowicie zadowolony ze swego życia i znowu tak będzie. To piekielne poczucie straty w ogóle nie powinno się pojawić.

Wieczorem usiedli do obiadu tylko w trójkę. Jane została na górze. Pod koniec posiłku Lisette spojrzała na stryja i powiedziała cicho:

- Dlaczego pozwoliłeś panie Petrie wyjechać, Edwardzie?

- Już ci mówiłem - odparł szorstko. - Wezwały ją do domu pilne sprawy.

Lisette drgnęła, słysząc ostry ton stryja, ale dzielnie brnęła dalej.

- Wydaje mi się, że to tylko wymówka. Obie z Jane uważamy, że nie zostawiłaby nas tak nagle, bez słowa wyjaśnienia.

- Daj spokój, Lisette! - zażądał stryj.

- Uważam, że Lisette jest dość dorosła, by poznać prawdę - wtrąciła Julia. - Powinieneś jej powiedzieć. To uwolniłoby dziewczynki od podziwu dla osoby, która na to nie zasługuje. - Edward zachował milczenie, więc Julia zwróciła się do Lisette. - Doszliśmy do wniosku, że panna Petrie nie jest odpowiednią osobą do opieki nad wami.

Na policzkach Lisette wykwitł rumieniec.

- Nie wierzę - oświadczyła. - Myślę, że musiała odejść, bo ty jej nie lubisz, ciociu Julio.

Edward spojrzał ze zdumieniem na doskonale wychowaną bratanicę. Lisette nigdy nikogo nie krytykowała, nigdy z nikim się nie kłóciła.

Na twarzy Julii również pojawił się rumieniec, ale nie wyglądała z nim tak ładnie jak Lisette.

- No! - warknęła. - Ładne rzeczy, żebym z ust własnej bratanicy usłyszała takie słowa! Nie potrafię nawet wyrazić, jaka jestem zaszokowana twoim grubiaństwem, Lisette. Wiem, kogo za to winić. To kolejny dowód fatalnego wpływu panny

Petrie... choć nie potrzebowałam już żadnego dowodu. Panna Petrie wyjechała stąd z własnej woli, ale gdyby tego nie zrobiła, zostałaby wyrzucona, przyznaję. Dlatego nie miała dość czelności, by prosić o referencje, bo nie mogłabym ich napisać.

-Julio, nie sądzę...

- Nie, Edwardzie, słyszałeś, co powiedziała Lisette. Moja własna bratanica, dziewczynka, która kocham jak własną córkę, oskarżyła mnie o złośliwość. Powinna więc poznać prawdę.  
- Julia zwróciła się prosto do Lisette. - Twoja najdroższa panna Petrie miała występny romans z młodym mężczyzną, Lisette, a tego żaden odpowiedzialny opiekun nie może tolerować u guwernantki. Widziano nawet, jak się z nim całowała!

Rumieniec zniknął z policzków dziewczyny, Lisette pobladła.

- Kim był ten młody mężczyzna? - zapytała. - Jak się nazywał?

Edward spojrzał uważnie na bratanicę. Co znaczy to dziwne pytanie?

- Nie musisz wiedzieć... - zaczęła Julia.

- Smith - powiedział Edward. - Harry Smith.

Lisette zerwała się na równe nogi.

-I z tego powodu odesłałeś pannę Petrie! - krzyknęła. - Jak mogłeś! Jak mogłeś!

- O co chodzi, Lisette?

- Edwardzie, Harry Smith to brat panny Petrie! Rodzony brat! Wyrzuciłeś najlepszą, najmiłą osobę, jaką obie z Jane spotkałyśmy, którą prawdziwie pokochałyśmy, tylko dlatego, że pocałowała brata!



## Rozdział jedenasty

Lisette wybuchnęła płaczem i rzuciła się do drzwi, ale Edward zdążył ją zatrzymać.

- Chwileczkę, moja panno! - zawołał surowo. - Nie możesz teraz wyjść. Skąd wiesz, że Harry Smith to brat panny Petrie? Powiedziała ci?

- Nie - wyszlochała Lisette. - On mi powiedział. Nazywa się Harry Petrie, a nie Smith.

- Sam ci to powiedział? Kiedy się z nim spotkałaś, Lisette? Julia chciała coś wtrącić, ale Edward jej przerwał.

- Ja to załatwię - rzucił szorstko. - To już nie jest kwestia zachowania panny Petrie. Przez blisko dwa miesiące Lisette znajdowała się pod moją opieką i chcę wiedzieć, co się z nią w tym czasie działo. - Przeniósł wzrok na bratanicę i zauważył jej zdenerwowanie, postarał się więc mówić łagodniej. - Usiądź i uspokój się. Chcesz się napić wody?

Lisette potrząsnęła głową. Próbowwała się opanować.

- Powiedz, gdzie spotkałaś Harryego Petrie? - Zamilkł. - W gospodzie? Czy kiedykolwiek spotkałaś się z nim w gospodzie? - Lisette energicznie pokręciła głową. - Więc gdzie?

- Spotkaliśmy się w lesie. Tu, w Wychford.

- Panna Petrie was sobie przedstawiła? - zapytała Julia.

- Nie! Spotkaliśmy się z Harrym przypadkowo.

- Z Harrym! Nazywasz go Harry! Czy tak zwracałaś się do niego w lesie? Ładne rzeczy!

- Przestań się wtrącać, Julio, i pozwól mi to wyjaśnić. Jestem pewien, że Lisette powie prawdę. Spotkałaś Harry'ego Petrie w lesie przez przypadek.

- Tak. Panna Petrie o tym nie wiedziała. Zbierałam okazy do zielnika. To było po chorobie Jane. Wyszliśmy z domu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Jane poczuła się zmęczona i panna Petrie postanowiła ją zabrać do domu, ale wiedziała, że chciałam poszukać liści i gałązek do rysowania. Dała mi więc kwadrans, żebym się rozejrzała w okolicach alei wjazdowej. - Zerknęła na ciotkę. - To był tylko kwadrans.

- Mów dalej.

- On stał w lesie przy drodze. Przestraszyłam się, ale zachowywał się jak dżentelmen i po chwili... polubiłam go.

- Jak zareagowała panna Petrie, kiedy powiedziałaś jej o spotkaniu z jej bratem?

- Nie wiedziałam jeszcze, że to brat panny Patrie. Przedstawił się jako Smith. Jak ten bohater.

- Ona naturalnie wiedziała! Sama to zaaranżowała! - prychnęła Julia.

- Wcale nie. Początkowo w ogóle jej o tym nie powiedziałam. Przykro mi, Edwardzie, naprawdę. Wiedziałam, że nie byłbyś z tego zadowolony, ale nie chciałam zrobić nic złego. Był uprzedząco grzeczny i pełen szacunku.

- Kiedy więc powiedziałaś o tym pannie Petrie?

- Po drugim spotkaniu. Stwierdził, że nie chce mnie oszukiwać. Że nie nazywa się Smith, tylko Petrie. I że jest bratem panny Petrie.

- Ha!

- Julio! - ostrzegł Edward i ponownie zwrócił się do Lisette.

- Jak panna Petrie zareagowała?

- Okropnie się rozgniewała. Na nas oboje. Mówiła, że nie powinnam spotykać się w tajemnicy z jej bratem i że była-  
byś bardzo zły, gdybyś się o tym dowiedział. I że ona musi-  
ałaby przyznać ci rację. - Po chwili Lisette dodała smutno:.

- Oświadczyła, że nie wolno mi się z nim więcej widzieć, nie  
pozwoliła mi nawet się z nim pożegnać.

Edward zastanawiał się przez chwilę.

- A ty? Spotkałaś się z nim znowu?

- Nie! - zawołała dziewczyna. - Oczywiście, że nie. Prze-  
cież panna Petrie mi zabroniła.

- Cóż, wygląda na to, że rzeczywiście nic złego się nie sta-  
ło. Dziwię się tylko, że nie wspomniałaś o tym mnie czy swo-  
jej ciotce.

- Bałam się, że nie uznasz go za dość dobrego dla mnie

- wyjaśniła otwarcie Lisette.

- I słusznie! Brat guwernantki! Co za wspaniały kandydat na  
męża! - rzuciła Julia zjadliwie. - Oczywiście dla niego byłby to  
świetny mariaż. Trudno winić pannę Petrie, że starała się pro-  
mować taki niespodziewany uśmiech losu dla swojego brata.

- Panna Petrie nie miała z tym nic wspólnego! Dlaczego je-  
steś dla niej taka niemiła, ciociu Julio? Nigdy nie uwierzę, że  
to zaplanowała.

- Przyznasz, moja droga, że ja żyję na tym świecie nie-  
co dłużej niż ty. Jestem starsza i mądrzejsza. Motywy panny  
Petrie są w pełni zrozumiałe. Byłaby złą siostrą, gdyby nie do-  
strzegła szansy brata na poślubienie posażnej panny.

Lisette zerwała się z rumieńcem na policzkach.

- Edwardzie, już ci wszystko powiedziałam. Przykro mi,

że cię zawiodłam. Tym bardziej przykro, że swoim postępowaniem doprowadziłam do tego, iż zachowałeś się bardzo niesprawiedliwie wobec panny Petrie. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym wrócić do swojego pokoju - oznajmiła gniewnie.

Edward spojrzął na Julię z rozdrażnieniem, ale do Lisette odezwał się spokojnym tonem.

- Oczywiście, możesz już odejść, Lisette. Dziękuję, że byłaś z nami szczerą. - Zawahał się, po czym dodał: - Nie wini siebie za wyjazd panny Petrie. Ona naprawdę zamierzała już odejść. Nie tylko na skutek twojego zachowania.

- Zapomnij o pannie Petrie i zastanów się nad ewentualnymi konsekwencjami swojego zachowania, Lisette - dorzuciła Julia. - Nie życzymy sobie więcej kontaktów z nieodpowiednimi mężczyznami. Sądziłam, że ta afera z Arandezem czegoś cię nauczyła.

- Ciociu Julio, to nie ma nic wspólnego z tym, co się stało przed moim przyjazdem tutaj! Jeśli chcesz wiedzieć, to o tym również rozmawiałam z panną Petrie i ona pomogła mi bardziej niż ty czy ktokolwiek inny. Ty jedynie zabraniałaś mi spotykać się z Ricardem, a nawet rozmawiać o nim, przez co musiałam żyć w poczuciu, że popełniam zdradę wobec zmarłego ojca. Panna Petrie pomogła mi zrozumieć, czego naprawdę chciał dla mnie papa.

- Małżeństwa z jej bratem, jak sądzę - stwierdziła Julia złośliwie.

- Nie! Och, nie mogę z tobą rozmawiać!

- Powiedz, Lisette - poprosił spokojnie Edward - Co usłyszałaś od panny Petrie?

- Że mam nie przejmować się tym, co mówił Ricardo. Papa chciał, żebym była szczęśliwa, żebym poznała świat, zanim



podejmę najważniejszą decyzję. Nadal nie jestem pewna własnych uczuć do Ricarda, Edwardzie, ale już nie uważam, że jesteśmy zaręczeni. Przynajmniej tyle dla mnie zrobiła. A ty ją wyrzuciłeś! - Lisette wybiegła z pokoju, głośno zatrząskując za sobą drzwi.

- Czy to naprawdę było konieczne, Julio? - zapytał gniewnie. - To dziecko było już wystarczająco zgnębione i bez wypominania jej Ricarda Arandeza.

- Wiem, o co ci chodzi, Edwardzie! - zachnęła się Julia. - Nadal jesteś do tego stopnia omotany przez tę Petrie, że byłbyś gotów zezwolić na małżeństwo Lisette z bratem guwernantki. Ale już ja dopilnuję, żeby do tego nie doszło. I zaraz jej to powiem! - Julia wybiegła z pokoju tak prędko, że Edward dogonił ją dopiero na półpiętrze.

- Julio! - krzyknął.

Zatrzymała się i odwróciła do niego z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Nie powstrzymasz mnie! Ta Petrie zwróciła Lisette przeciwko nam wszystkim! Nie dopuszczę, żeby jej to uszło na sucho!

Nagle wrzasnęła przeraźliwie, bo jeden ze stopni załamał się pod nią z głośnym trzaskiem i omal nie wpadła w dziurę. Krzyczała bez przerwy, kiedy Edward wbiegał po schodach i pomagał jej się podnieść. Sprawdził, czy nie doznała poważniejszych obrażeń, i zaniósł ją do jej pokoju. Przez cały czas kopała i krzyczała, że nie zostanie w tym domu ani chwili dłużej.

Przybiegła pokojówka, ale i ona nie była w stanie uspokoić swojej pani, więc w końcu Edward wymierzył bratowej policzek. Niezbyt delikatnie.

Przestała wrzeszczeć, ale spojrzała na niego z odrazą.

- Opuszczam jutro ten dom, Edwardzie! Tu nie jest bez-

piecznie. Już trzykrotnie próbował mnie zabić i nie zamierzam czekać na czwarty raz!

- Przeżyłaś wstrząs, Julio, i mówisz od rzeczy - stwierdził ostro.

- Wcale nie! Odmawiam mieszkania tutaj! Chcę jutro wyjechać do Londynu! Oszaleję, jeśli tu zostanę.

- Skoro tak, to rzeczywiście lepiej stąd wyjechać. Ty z dziewczynkami możesz jechać już jutro, a ja dopilnuję, żeby zostawić tu wszystko w porządku i dojadę do was za dwa, trzy dni. A teraz odpocznij. Zostawiam cię pod opieką pokojówki. Muszę sprawdzić schody. Tę dziurę trzeba natychmiast załatać.

Wyszedł z pokoju i stanął u szczytu schodów. Jeden ze służących oglądał zniszczenia.

- Nie rozumiem - powiedział, kręcąc głową. - Nigdy dotychczas nic takiego się nie zdarzyło, panie Barraclough. Starsza pani Carstairs bardzo dbała, żeby wszystko było w odpowiednim czasie konserwowane i naprawiane.

Kiedy Jane usłyszała o wyjeździe, ubłagała Edwarda, żeby pozwolił jej zostać z sobą.

- Będę grzeczna, Edwardzie. Nie chcę jechać do Londynu. Szczególnie z cicią Julią.

- Niestety, wkrótce i tak będziesz musiała pojechać do Londynu. Wszyscy opuszczamy Wychford. Zobaczymy, czy uda się przekonać twoją ciotkę, żeby pozwoliła ci podróżować ze mną. Pamiętaj, że to tylko dzień czy dwa opóźnienia.

Julia, kompletnie zgnębiona ostatnimi wydarzeniami, wzruszyła ramionami i wyraziła zgodę.

- Moje nerwy już więcej nie zniosą. Szczerze mówiąc, przerażała mnie perspektywa tłoczenia się w jednym powozie z Jane

przez całą drogę do Londynu. Chętnie się zgadzam, żeby została z tobą, ale Lisette pojedzie ze mną.

- Oczywiście. Postaraj się zaprzyjaźnić z Lisette, Julio. Ona teraz fatalnie się czuje. Nie chcę, żeby znowu wpadła w tak melancholijny nastrój, jak w zeszłym roku. Trzeba będzie pomyśleć o strojach dla niej na nadchodzący sezon. To powinno poprawić jej humor.

- Zobaczymy, czy madame Rosa będzie mogła uszyć jej parę sukien. Daisy Ledbury wyraziła co do tego poważne wątpliwości. Zdaje się, że madame przebiera w zamówieniach i wybiera sobie klientelę. Może uda mi się namówić lady Ledbury, żeby szepnęła jej słówko w naszej sprawie.

Edward z ulgą wyprawił je w drogę. Lisette była milcząca, ale zdawała się żałować wczorajszego wybuchu. Dziewczyna miała, oczywiście, rację. Nie był pewien, skąd się wzięła niechęć bratowej. Nie był też pewien własnych uczuć w stosunku do Octavii. Oczywiście nie potrafił bezstronnie przeanalizować opowieści o jej spotkaniach z domniemanym kochankiem. Szalał z zazdrości, nie był zdolny do racjonalnego myślenia. Nie przywykł do tak gwałtownych uczuć, był nimi wstrząśnięty do tego stopnia, że przyjął jej wyjazd z ulgą. Octavia sprawiała zbyt wiele problemów, a Edward już dawno postanowił unikać problemów. Żył bez troski - bez żony, bez przypominania o obowiązkach, bez odpowiedzialności. A przede wszystkim bez kogoś, kto budziłby w nim tak niecywilizowane uczucia, jakich zaznał poprzedniego dnia.

A jednak... Zaczął podejrzewać, że wraz z problemami pozbawił się równocześnie czegoś niezwykle ważnego. Mógł tego kiedyś żałować.

Przez następne dwa dni Edward nie miał czasu, by zastanawiać się nad sobą. Pozostało do zrobienia tysiące rzeczy, a przede wszystkich dopilnowanie naprawy schodów. Dlaczego ten stopień się załamał? Służący nie potrafił tego wyjaśnić. Zapewniał, że schody były w idealnym stanie, bez śladu korników czy próchna. Jaka jeszcze mogła być przyczyna? Wyjaśnienie, że dom próbował pozbyć się Julii, było pozbawione sensu.

Wychford to wielki dom i choć pozostały jeszcze cztery z sześciu miesięcy dzierżawy, Edward wątpił, czy ktoś z nich jeszcze tu wróci. Chciał jednak pozostawić dom w idealnym stanie. Jane nie odstępowała go na krok. Usta jej się nie zamykały. Ciągłe powracała do panny Petrie i różnych cudownych rzeczy, które robiły razem.

- Obiecała, że spotkamy się w Londynie. Chyba dotrzyma słowa. Jak sądzisz, Edwardzie? Mam nadzieję, że tak. Ciekawe, co ona teraz porobią? Nie wydaje mi się, żeby została guwernantką u kogoś innego. Właściwie to nie wierzę, że panna Petrie jest prawdziwą guwernantką. Kiedy ją spotkałyśmy po raz pierwszy, nie szukała posady.

Edward zatrzymał się w pół kroku.

- Co powiedziałaś?

- Była zaskoczona, gdy nas zobaczyła. Gdyby przyjechała starać się o posadę naszej guwernantki, to przecież wiedziałyby, że nas tu zastanie, prawda? Ale znała nasze nazwisko. Chciałabym, żeby wróciła!

Wieczorem, kiedy Jane położyła się spać, Edward obszedł dom, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Wrócił później do pokoju Jane, żeby zobaczyć, czy dziewczynka śpi, a wychodząc z jej sypialni, zerknął na schody prowadzące na górę. Nie był w pokoju na szczycie wieży od pamiętnego dnia. Nie mógł

już dłużej go unikać. Tamten pokój również trzeba sprawdzić. Wszedł po schodach i otworzył zamknięte na klucz drzwi.

W mdłym świetle trzymanej przez niego lampy pokój robił upiorne wrażenie. Na palenisku leżał jeszcze popiół z ognia rozpalonego przez Octavię. Edward podszedł do fotela. Odwrócił się, a światło lampki wydobyło z mroku ramkę stojącego na stole obrazka. Podszedł i wziął do ręki portrecik. Theophania, córeczka Czarownicy z Wychford. W chwili śmierci była młodsza od Jane, a innych dzieci pani Carstairs nie miała.

Na stole stało mnóstwo obrazków - miniatur, akwarelek, rysunków. Przypuszczalnie przedstawiały jej krewnych i znajomych. Wzrok Edwarda przyciągnął portrecik młodej kobiety. Wydała mu się znajoma. Wziął rysunek do ręki i przysunął do lampy. Tak, nie mylił się - miał przed oczami wizerunek Octavii Petrie.

Edward wpatrywał się w rysunek i zachodził w głowę, co ten szkic robił na stole pani Carstairs, obok podobizny jej ukochanej córki. Przez kilka minut stał bez ruchu. W pokoju panował przenikliwy ziąb, ale nie czuł chłodu. W uszach rozbrzmiewały mu słowa Jane.

„Kiedy ją spotkałyśmy po raz pierwszy, wcale nie szukała posady. Wydawała się zaskoczona naszym widokiem. Gdyby zamierzała starać się o posadę naszej guwernantki, to przecież wiedziałaby, że nas tu zastanie, prawda? Ale znała nasze nazwisko”.

Czy to dlatego Octavia Petrie tak wymijająco odpowiadała na pytania o swoje pochodzenie? Nie wiedziałyby kompletnie nic o jej rodzinie, gdyby nie podsłuchał jej rozmowy z Jane. Analityczny umysł Edwarda, który zapewniał jego rodzinie sukcesy w świecie finansów, przystąpił do pracy. Czy to możliwe, że Octavia Petrie była tą tajemniczą siostrzenicą pani Carstairs? Jeśli Jane ma rację, to Octavia mogła przyjechać do

\Wychford, żeby się tu rozejrzeć, a ich wcześniejszy przyjazd ją zaskoczył. Ale dlaczego po prostu nie wyjaśniła nieporozumienia? Próbował przypomnieć sobie szczegóły ich pierwszego spotkania. Nagle stało się dla niego jasne, że wcale nie przyjechała tu z myślą o podjęciu pracy. Na Boga, ona nie była guwernantką! Zresztą wcale nie twierdziła, że nią jest. To on popełnił pomyłkę. Ale dlaczego jej nie sprostowała?

Nie miał pojęcia. Jedno tylko było oczywiste nawet dla takiego idioty jak on. Niezwykle skutecznie zamydliła mu oczy. Octavia Petrie zrobiła z Edwarda Barraclough kompletnego głupka i pewnie świetnie się przy tym bawiła. Jakiż to doskonały żart - dać się zatrudnić własnemu lokatorowi. Nic dziwnego, że widywał niekiedy w jej oczach ironiczny błysk i wyczuwał w jej zachowaniu wyzwanie. Ale musiała się śmiać!

Może nawet celowo przedstawiła Lisette swojego brata. Z gniewem odstawił portrecik na stół, kopniakiem rozrzucił popiół i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz. Skończył już z byłą guwernantką. Panna Octavia Petrie od tej chwili była dla niego równie martwa jak ten popiół w kominie. Został uratowany przed popełnieniem jednej z największych pomyłek w życiu.

Następnego dnia opuścił Wychford wraz z Jane. Na zakręcie Jane zmusiła go, żeby zatrzymał powóz, bo chciała spojrzeć ostatni raz na dwór.

- Czemu się tak przyglądasz, Jane? Wychford jest pusty.
- Ale nie martwy, Edwardzie. Wygląda tak, jakby czekał.
- Jedźmy! - powiedział szorstko. - Nie wiem, na co miałby czekać. Mało prawdopodobne, żebyśmy tu jeszcze kiedyś wrócili.
- Spójrz!

- O co znów chodzi? - zapytał z lekkim zniecierpliwieniem.  
- Nie zauważyłeś? Dom znowu się uśmiechnął.  
- Jane, jeśli będziesz wygadywała takie rzeczy, ludzie uznają cię za wariatkę. A twoja ciotka będzie miała do mnie pretensje. Po prostu przez chmury przedarło się kilka promieni słonecznych, a jeden z nich odbił się w oknach. Ani słowa więcej o tym domu - przed nami Londyn, młoda damo.

Edward uznał, że ma do spełnienia jeszcze jedną powinność, zanim będzie mógł na zawsze usunąć z pamięci Octavię Petrie i jej brata. Lisette zdradzała wyraźne zainteresowanie Harrym Petrie, uznał więc za swój obowiązek zebranie dokładniejszych informacji o tym człowieku na wypadek, gdyby miał znowu pojawić się na scenie. Jeśli był łowcą posagów, jak podejrzewała Julia, to niewątpliwie będzie próbował spotkać się z Lisette w Londynie. Karczmarz twierdził, że młody człowiek wyglądał na wojskowego. Edward wybrał się z wizytą do jednego z największych plotkarzy w Gwardii Konnej, któremu parę razy wyświadczył przysługę. Sir Charles zapewniał, że z przyjemnością pomoże.

- Petrie? Petrie... Pomyślmy...  
- Jego brat, Stephen, zginął pod Waterloo.  
- Masz pojęcie, ilu ludzi poległo pod Waterloo? Zaraz...  
Możliwe, że Petrie jest spokrewniony z rodem Warnham. Daj mi dzień czy dwa, stary druhu.

Kiedy Edward przyszedł ponownie, sir Charles powitał go z triumfalną miną.

- Miałem rację! Porucznik Harry Petrie. Przypuszczalnie to o niego ci chodzi. Wszystko pasuje. Rzeczywiście miał brata, który poległ pod Waterloo.

- I jest spokrewniony z Warnhamami, jak przypuszczałeś?

- Spokrewniony? - Sir Charles ryknął śmiechem. - Można tak powiedzieć! Młody Harry odziedziczy pewnego dnia tytuł rodowy, chyba że jego brat Arthur zdoła spłodzić syna, co wydaje się nader mało prawdopodobne.

- Chcesz powiedzieć, że... Harry Petrie jest synem lorda?

- Jak najbardziej! Pochodzi z bardzo licznej rodziny.

- Z ośmiorgiem dzieci - mruknął Edward.

- Siedmiorgiem, stary. Zapomniałeś, że jeden zginął pod Waterloo. Żyje tylko dwóch synów, reszta to córki.

- To szacowna rodzina?

- Jeszcze jak! Są spokrewnieni z połową angielskiej arystokracji. Ich matka była z domu Cavendish, babka ze strony ojca z domu Ponsonby, a spośród pięciu córek jedna wyszła za księcia Monteith, druga za markiza Rochford, a trzecia za jakiegoś francuskiego hrabiego, o ile się nie mylę. Nie pamiętam, za kogo wyszła kolejna, ale to także jakiś świetny mariaż. Tylko najmłodsza córka Warnhama jest jeszcze niezamężna. Była dwa lata temu gwiazdą sezonu, ale żaden z nas jej się nie spodobał. Szkoda. Bogata, ładna, ze świetnymi koligacjami. Tylko wybredna. Trudno jej dogodzić.

- Doprawdy? - zainteresował się Edward.

- O, tak! Lady Octavia nie idzie za głosem serca, kieruje się rozsądkiem. Jej matka umarła tuż przed końcem sezonu, dziewczyna wyjechała i już do Londynu nie wróciła. Na pewno bym wiedział, gdyby wyszła za męża. Teraz jest jeszcze bardziej łakomym kąskiem. Słyszałem, że odziedziczyła po matce chrzestnej ładny mająteczek.

Edward uznał, że ma już dość informacji o Octavii.

- A czy dowiedziałeś się czegoś o samym Harrym Petrie?

- zapytał. - Jest brutalny? Uprawia hazard? Pije?



- Nie bardziej niż wszyscy żołnierze. Powiedziałbym nawet, że mniej niż większość z nich. Dlaczego tak się interesujesz młodym Harrym? Gdybyś miał córkę, podejrzewałbym, że próbujesz zagiąć na niego parol.

- Jedna z moich krewnych spotkała go przypadkowo. Chciałem tylko sprawdzić.

- Słyszałem, że Petrie podaje się do dymisji. Jeśli wejdzie na rynek małżeński, to radzę matce tej dziewczyny, żeby szybko się koło niego zakręciła. Będzie najbardziej pożądanym kawalerem w czasie nadchodzącego sezonu.

- Wystarczy - rzekł Edward. - Jestem ci bardzo zobowiązany, Stainforth. Daj mi znać, jeśli będę mógł ci się odwdziżyć.

Wrócił na North Audley Street z poczuciem ulgi, że jego bratanica nie wpadła przynajmniej w łapy zwyczajnego awanturnika. Związek z młodym Harrym Petrie mógł zadowolić nawet najbardziej wymagających opiekunów. Jednak żywił nadzieję, że Lisette wybierze kogo innego. Im mniej będzie miał wspólnego z lady Octavią Petrie i jej rodziną, tym lepiej. Okazało się, że to nie tylko dziedziczka Wychford, ale córka lorda, spokrewniona z połową pierwszych rodów królestwa. Jaką niechęć musiał w niej wzbudzać sposób, w jaki była traktowana przez Julię i jego samego, a jednak nie zdradziła się ani słowem. Dlaczego to zrobiła, do diabła? Dla przygody? A może chodziło o zakład?

Wszystko jedno. Tak czy owak, oszukała go, zrobiła z niego głupka. Tymczasem on ciągle o niej myślał; doskonale pamiętał, jak trzymał ją w ramionach, jak bardzo jej pragnął. Do diabła z bogatą, piękną, ustosunkowaną lady Octavią Petrie! Dlaczego nie potrafi o niej zapomnieć?

Octavia również musiała odłożyć na później rozważania o tym, co wydarzyło się w Wychford. Na wszelki wypadek poprosiła Jema, żeby wysadził ją przed bramą wjazdową do Ashcombe, i zaczęła, aż odjedzie, zanim zwróciła się do stróża, aby zawiózł ją przed główny budynek. Powitała ją zaskoczona lady Dorney i natychmiast zaprowadziła do swojego pokoju, żeby się przebrała.

- Skąd wyciągnęłaś taką paskudną sukieneczkę, Octavio? I co ty z sobą zrobiłaś? Nieszczególnie wyglądasz.

- Ostatnie dni były dla mnie bardzo trudne. Przyjechała pani Barraclough i nie miałam już powodu, żeby zostać.

- I co planujesz?

- Zobaczymy. Powiedz, co się tutaj działo. Wiem, że Harry wrócił, bo znalazł mnie w Wychford.

- Zaraz po jego przyjeździe doszło do dramatycznej sceny. Harry wypadł z domu, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera. Powiedz, czy Arthur zawsze był taki apodyktyczny?

- Tak - odparła stanowczo Octavia. - Oboje z Harrym wprost go nie znosiliśmy. Pewnie papa prawie się nie odzywał.

- Rzeczywiście, choć generalnie zgadzał się z Arthurem. Biedny Rupert! Był okropnie wytracony z równowagi, szczególnie gdy Harry wybiegł tak zdenerwowany. Przez cały następny dzień musiałam go uspokajać.

Octavia uśmiechnęła się.

- Jakie to szczęście, że przy nim byłaś. Jesteś dla niego taka dobra.

- Cieszę się, że to powiedziałaś, Octavio. Prawdę mówiąc, twój ojciec i ja...

Octavia spojrzała na minę kuzynki.

- Nie mów! - zawołała. - Sama zgadnę. Postanowiliście się pobrać?

- Nie masz nic przeciwko temu?
- Absolutnie nic, tego właśnie chciałam. - Octavia serdecznie uściskała lady Dorney. - Tak się cieszę.
- Uznaliśmy, że skoro tak dobrze czujemy się w swoim towarzystwie, to mogłabym tu zostać na stałe. Trudno to nazwać wielką miłością, Octavio, ale jestem już w takim wieku, że nie zależy mi na romantycznych uczuciach.
- Moim zdaniem, to bardzo romantyczne. Papa ma szczęście.
- Tylko nie myśl, że to cokolwiek zmieni. Mam nadzieję, że nadal będziesz traktowała ten dom jako własny, kochanie.
- Dziękuję. Zobaczymy, jak to będzie.

Po odejściu lady Dorney Octavia usiadła przy oknie i zapatrzyła się w przestrzeń. Z całego serca ucieszyła się z tej wiadomości, ale wbrew temu, co powiedziała kuzynka, w domu zajądą jednak zmiany. Nowa milady zajmie miejsce pasierbicy jako pani na zamku i Octavia będzie mogła wreszcie robić to, na co ma ochotę. Dwa miesiące temu skakałaby pod sufit z radości, a teraz... Posiedziała jeszcze przez chwilę, po czym zeszła na dół, żeby złożyć gratulacje ojcu. Należało załatwić jeszcze sporo pilnych spraw, zanim będzie mogła spokojnie usiąść i zastanowić się nad własną przyszłością.

Zgodnie z planem następnego dnia Octavia wybrała się do swojej siostry Gussie. Augusta, księżna Monteith, dobiegała czterdziestki, ale zachowała urok i urodę, dzięki którym przed dwudziestu laty zdobyła szturmem Londyn i usidliła najbardziej pożądanego kawalera ówczesnego sezonu, księcia Monteith. Choć książę był leniwym mężczyzną bez żadnych ambicji intelektualnych, a Gussie kobietą energiczną i pełną życia, to małżeństwo okazało się całkiem udane. Obdarzyła swe-

go małżonka czwórką zdrowych dzieci, z których najmłodsze miało wkrótce rozpocząć naukę w Eton. Obecnie każde z małżonków żyło własnym życiem, dając drugiemu pełną swobodę. Octavia podejrzewała, że oboje nie dochowali wierności małżeńskiej, ale romansowali bardzo dyskretnie. Nigdy nie słyszała o nich skandalicznych pogłosek. Nie o takim jednak małżeństwie marzyła.

Książe był cały dzień na polowaniu i księżna nudziła się w domu. Ucieszyła się z odwiedzin siostry. Gawędziły przez chwilę z zadowoleniem o przyszłym związku ojca z lady Dorney, zgodziły się, że Arthur zachowuje się okropnie, wymieniły też najnowsze ploteczki o innych członkach rodziny. W końcu jednak Gussie wyprostowała się w fotelu i stwierdziła:

- Jestem zaszczycona twoją wizytą, Tavy, mam jednak wrażenie, że coś się za nią kryje.

- Nigdy nie potrafiłam nic przed tobą ukryć - odparła z uśmiechem zarumieniona Octavia. - Powiedz, czy wybieracie się z Monteithem do Londynu na sezon?

- Chyba musimy. Nie mów, że masz ochotę pojechać do Londynu. A może zmieniłaś plany życiowe pod wpływem matrymonialnych zamiarów papy?

- Ja... to nie całkiem tak. Chcę jeszcze raz uczestniczyć w atrakcjach sezonu, a wołałabym nie mieszkać u Arthura.

- To całkiem zrozumiałe. Zatrzymasz się, oczywiście, u nas. Będę szczęśliwa, mając cię przy sobie, Tavy. Monteith prześiaduje w klubach i prawie go nie widuję. Wspaniała wiadomość! - Gussie patrzyła na Octavię rozpromieniona. - A więc ustalone!

- Ale to nie wszystko. Chcę cię poprosić, żebyś zarekomendowała komuś guwernantkę. - Gussie była tak zaskoczona, że siostra ddała szybko: - Bardzo lubię pewną dziewczyn-

kę. Opiekunowie będą szukali dla niej nowej guwernantki i chciałbym, żeby dostała kogoś odpowiedniego, nie tylko z wysokimi kwalifikacjami, ale i dobrym sercu. Jane to wyjątkowa dziewczynka. Twoje najmłodsze dziecko kończy już naukę domową i pomyślałam o pannie Cherrifield. Znalazła już inne miejsce?

- Jeszcze nie. Trzymałam ją tak długo, jak można. Możesz polecić Cherry twoim przyjaciołom. Będzie idealna.

- To niemożliwe. Nie wolno mi się ujawnić. Widzisz, kobieta, która będzie wybierała guwernantkę dla Jane, nie lubi mnie. Natomiast rekomendacja księżnej zrobi na niej odpowiednie wrażenie.

Gussie przyjrzała jej się surowo.

- To nie jest żadna z twoich sztuczek, prawda? Bardzo lubimy Cherry. Chcę jej znaleźć dobre miejsce. Nie dopuszczę, żeby stała się pionkiem w jakiejś rozgrywce.

- Kiedy poznasz Jane, zrozumiesz, dlaczego chcę jej pomóc. Natomiast gdy spotkasz żonę jej opiekuna prawnego, od razu pojmiesz, dlaczego nie mogę tego zrobić osobiście. Gussie, proszę. To dla mnie ważne.

Księżna popatrzyła na najmłodszą siostrę.

- Podejrzewam, że coś się za tym kryje, siostrzyczko. Kim jest Jane? I co cię z nią łączy?

- Ja... obiecaj, że nie powiesz tego papie, ale przez ostatnie dwa miesiące to ja byłam guwernantką Jane. Mieszkaliśmy wszyscy w Wychford.

Gussie była zawsze odporna na wstrząsy. Wyprostowała się więc tylko w fotelu i spojrzała na siostrę z rozbawieniem.

- A więc to tym zajmowałeś się przez cały ten czas. Ciekawe. Ale... jak, na miłość boską, zostałeś guwernantką? I kim jest Jane?

- Jane Barraclough. Były dwie panny Barraclough, Jane i jej siostra, Lisette.

- Są spokrewnione z bankierem, Edwardem Barraclough?

- To jego bratanice.

- Octavio Petrie, zaczynam podejrzewać najgorsze - oświadczyła Gussie. - Wy tłumacz się, proszę.

- Co masz na myśli?

- Edward Barraclough to jeden z najbardziej pożądanых kawalerów w Londynie. I jeden z najbardziej zatwardziałych. Czy chcesz mi wmówić, że przez ostatnie dwa miesiące mieszkałaś z nim pod jednym dachem, uczyłaś jego bratanice i nic więcej?! Niemożliwe!

- Ale to prawda.

- Że zatrudnił lady Octavię Petrie w charakterze guwernantki?

- No, niezupełnie. Nie wiedział, kim jestem. Uważał mnie za córkę proboszcza.

- I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą byłam znudzona! - zawołała Gussie. - Dalej, Tavy, nie spocznię, dopóki nie dowiem się wszystkiego.



## Rozdział dwunasty

Octavia poddała się i opowiedziała siostrze prawie wszystko, co wydarzyło się w Wychford. Kiedy skończyła, Gussie spojrzała na nią zdumiona.

- Zadziwiająca! Nie do wiary! - Przechyliła głowę na bok i dodała: - Sądzę, że to jeszcze nie wszystko, prawda? Nie uwierzę, że spędziłaś tyle czasu z Edwardem Barraclough i nie zainteresowałaś się nim.

- Masz rację. Zrobiłam to, co podobno robią wszystkie guwernantki. Zakochałam się w pracodawcy.

- Dlatego chcesz jechać do Londynu na sezon? Będziesz usiłowała go zdobyć? Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Tavy. Nie będziesz pierwszą, która tego próbuje, ale gdyby udało ci się do niego zbliżyć, to niewątpliwie byłabyś pierwszą.

- Nawet nie będę próbować. Z przyczyn, o których wolałabym nie mówić, pan Barraclough mną gardzi.

- Całował się z tobą, a ty mu na to pozwoliłaś - stwierdziła Gussie, przechodząc od razu do sedna.

Octavia kiwnęła głową.

- Kiedy się dowie, kim naprawdę jestem, do listy moich przestępstw doda oszustwo. Nie, nie sądzą, żeby Edward Bar-

raclough mógł ulec moim wdziękom. Nie z tego powodu pragnę uczestniczyć w sezonie.

- W takim razie dlaczego?

- Pokochałam te dziewczynki, Gussie. - Octavia pochyliła się. - Ty też je pokochasz. Opowiedziałam ci o Jane, ale jest jeszcze Lisette. Na wiosnę wejdzie w świat i jej również chciałabym pomóc. Julia Barraclough nie może zrobić dla tych dziewcząt tyle co ja. Lisette nie ma jeszcze siedemnastu lat i jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałam. W dodatku jest równie słodka jak śliczna.

- Prawdziwy skarb! - Gussie mrugnęła.

- Harry też tak sądzi.

- Wietrzę intrygę. Czyżby biedny Harry miał zostać usidlony, żeby zgodził się ustatkować i założyć rodzinę? Nie spodziewałabym się, że będziesz współdziałała z Arthurem.

- Zapewniam cię, że to dla niego idealna żona, ale nie próbuję go do niczego zmuszać. Lisette potrzebuje czasu. W Indiach Zachodnich został pewien młody człowiek... Dziewczyna nie jest pewna swoich uczuć.

Gussie zmierzyła wzrokiem siostrę.

- Nie jestem pewna, czy pomagając ci w tej sprawie, nie popełniam błędu. Zanadto się do nich przywiązałaś, Tavy. Powinnaś przestać o nich myśleć. O wszystkich.

- Proszę, Gussie. Bardzo chcę pomóc Lisette zapomnieć o jej problemach i zapewnić jej wspaniały sezon. Pomóż mi, proszę.

- No dobrze, pomogę. Upprzedzam jednak, siostrzyczko, że w Londynie będę miała cię na oku.

Nie wspomniały już więcej o Edwardzie Barraclough, do końca wizyty omawiały praktyczne szczegóły. Octavia wyjeżdżała od siostry przekonana, że przygotowania zmierzają we właściwym kierunku.



Jej następnym posunięciem była wizyta na Burton Street w Londynie. Madame Rosa była zaskoczona, ale bardzo łaskawa. Ubierała córki lorda Warnham - wszystkie pięć - od wielu lat, a Octavia była jej ulubienicą.

- Lady Octavia! To prawdziwa przyjemność - oświadczyła. Wystarczyło jedno jej spojrzenie, żeby pozbawić Octavię jakichkolwiek złudzeń co do stroju, który miała na sobie. - Wi-dzę, że pani potrzebuje pomocy, i to natychmiast. Planuje pani uczestniczyć w sezonie?

- Tak myślałam, madame.

- Będzie pani potrzebowała nowej garderoby. Ile to lat mi-nęło, odkąd była pani w Londynie?

- Aż za dużo - odparła Octavia z uśmiechem.

Przez chwilę rozmawiały o tendencjach, stylach i materia-łach. Było jeszcze za wcześnie, żeby podejmować ostateczne decyzje co do fasonów czy terminów przymiarek, ale madame prosiła, by Octavia nie zwlekała z tym zbyt długo.

- Jesteśmy takie zajęte, milady! Nawet nie ma pani pojęcia! Cały świat chce, żeby jego córki ubierała madame Rosa. Teraz przyjmuję bardzo mało klientów.

- A mogłaby pani zrobić wyjątek? - zapytała Octavia. - Mam młodziutką przyjaciółkę, która, zapewniam panią, wywoła w na-stępnym sezonie sensację. Jest niezwykle piękna, warto ją stroić. Panna Lisette Barraclough.

- Nie będzie łatwo. Mam dużą i ważną klientelę.

- Proszę mi zrobić tę grzeczność - powiedziała Octavia z naciskiem.

- Dla pani, oczywiście. Jeśli przyprowadzi ją pani do mnie...

- Niestety, nie mogę. Nawet byłabym wdzięczna, gdyby pani nie wspominała o mnie, szczególnie wobec osoby, która naj-

prawdopodobniej z nią przyjdzie, jej ciotki, żony Henry'ego Barraclough.

- *Alors*, czy mam robić stroje dla tej pani Barraclough też?

- zapytała madame Rosa.

Octavia znowu się uśmiechnęła.

- Jeśli jest pani taka zajęta, to nie - powiedziała słodziutko.

- Tylko dla Lisette.

Zadowolona, że zrobiła wszystko co w jej mocy, Octavia wróciła do Ashcombe. Wreszcie miała czas, żeby zastanowić się nad własną przyszłością.

Wydarzenia w Wychford należały do przeszłości, Octavia była gotowa otrząsnąć się i odbudować szacunek dla samej siebie. Choć nic nie mogło usprawiedliwić jej zachowania, dostrzegła teraz, jakie były jego przyczyny. Pierwszy raz w życiu poczuła silną namiętność; była gotowa poddać się obezwładniającej sile męskich pieśczoł.

To prawdziwa ironia losu, że Edward Barraclough, który miał o niej tak marne mniemanie, był zarazem jedynym mężczyzną, na którego opinii jej zależało, jedynym, którego mogła pokochać. Mało prawdopodobne, by mogła za niego wyjść, ale całkiem nieprawdopodobne, żeby wyszła za kogoś innego. Edward Barraclough był dla niej stracony.

Jednak pokochała jego bratanice, a Harry był na najlepszej drodze, by pokochać Lisette. Octavia znała ich oboje i była święcie przekonana, że mogą się uszczęśliwić. Poczyniła już pewne kroki, żeby ułatwić dziewczętom drogę w Londynie. Teraz pozostało tylko postarać się, zgodnie z obietnicą, by Harry i Lisette spotkali się w Londynie. Początek sezonu już za kilka miesięcy.

W grudniu odbył się ślub sir Ruperta z lady Dorney. Ceremonia była skromna, ale radosna, zakończona jedynie pompacyjnym przemówieniem gratulacyjnym Arthura. Nadeszło i minęło Boże Narodzenie, zaraz potem skończył się styczeń i zaczęły się przygotowania do wyjazdu do Londynu. Pod koniec lutego Octavia zadomowiła się w rezydencji Monteithów przy St James Square i obie siostry były bardzo zajęte spotkaniami z krawcową, modystką i dostawcami modnych drobiazgów.

Krażyły po Londynie, odświeżały dawne znajomości, podziwiały widoki i kompletowały garderobę. Octavia odetchnęła z ulgą na wieść, że rodzina Barraclough bawi u przyjaciół w Gloucestershire i spodziewan jest dopiero w połowie marca. Przymiarki w salonie madame Rosy dobiegały końca, było więc mało prawdopodobne, by natknęła się na kogoś z rodziny Barraclough. Wiedziała, że prędzej czy później znów się spotkają, wolała jednak sama wybrać czas i miejsce. Nie chciała zdawać się na przypadek.

W kolumnie towarzyskiej „Gazette” pojawiła się informacja, że państwo Henry i Julia Barraclough wraz z dwiema bratanicami zjechali do Londynu i zamieszkali w rezydencji przy South Audley Street. Panna Lisette Barraclough zostanie wprowadzona w świat podczas nadchodzącego sezonu.

Octavia nie znalazła żadnej wzmianki o Edwardzie Barraclough, uznała więc, że nie wrócił jeszcze do stolicy. Doszła do wniosku, że to najlepszy moment, by ujawnić swą tożsamość reszcie rodziny Barraclough. Nie lubiła Julii, ale nie chciała jej nieprzyjemnie zaskakiwać w miejscu publicznym. Gdyby jednak przesłała Julii liścik z prośbą o spotkanie podpisany własnym nazwiskiem, niewątpliwie spotkałaby się

z odmową. Dwa dni później wysłała na South Audley Street bilecik z zapytaniem, czy pani Barraclough zgodzi się ją przyjąć, i podpisała: „siostrzenica pani Carstairs”. Julia powinna być na tyle zaintrygowana, by wyrazić zgodę.

Udało się. Pani Barraclough wyraziła radość, że będzie mogła poznać siostrzenicę pani Carstairs, ale kiedy Octavia weszła do pokoju, Julia zerwała się i drżącym z gniewu głosem zawołała:

- Octavia Petrie! Co pani tu robi? Kto panią wpuścił? Jak pani śmie pokazywać się w moim domu! - Podeszła do dzwonka, żeby wezwać służbę, ale Octavia odezwała się szybko:

- Pani Barraclough, proszę tego nie robić. Naprawdę jestem siostrzenicą pani Carstairs. Niestety, nie byłam wobec pani szczerą i przyszłam prosić o wybaczenie. Chciałabym to naprawić.

Julia patrzyła na nią podejrzliwie.

- Pani! Siostrzenica pani Carstairs? Właścicielka Wychford? Co to za bzdury?

- Zaraz wyjaśnię, ale najpierw powinnam się odpowiednio przedstawić. Naprawdę nazywam się Octavia Petrie. Jestem najmłodszą córką lorda Warnham.

Julia gwałtownie opadła na krzesło

- Ale to niemożliwe! Była pani guwernantką!

- To skutek pomyłki pani bratanic i pani szwagra. Oczywiście powinnam wyprowadzić ich z błędu. Zapewniam panią, że naprawdę jestem córką lorda Warnham.

- Lorda Warnham?

Octavia jeszcze raz kiwnęła głową i powiedziała:

- Przyszłam, bo na pewno spotkamy się w najbliższym czasie w towarzystwie i uznałam, że trzeba najpierw wszystko pani wyjaśnić na osobności.

Julia siedziała przez chwilę w milczeniu, wreszcie wykrztusiła:

- A więc pani brat, Harry Smith, to w rzeczywistości syn lorda Warnham?

- Tak - przyznała Octavia chłodno, widząc, jak błyskawicznie Julia wyciągnęła wnioski z jej wyznania.

Po chwili Julia odezwała się znacznie cieplejszym tonem:

- Gdzie ja mam głowę? Proszę usiąść, lady Octavio.

- Dziękuję, ale raczej...

- Jane z pewnością nie wybaczyłaby mi, gdybym pozwoliła pani odejść, nie dając jej szansy przywitania się z panią. Lisette także jest w domu. - Julia pociągnęła wreszcie za sznur dzwonka i kazała lokajowi przyprowadzić dziewczynki.

Octavia poddała się i usiadła.

- Jak się czują?

- Obie są w znakomitym stanie ducha. Jane ma nową guwernantkę. - Julia zaczerwieniła się i po krótkim wahaniu podjęła dość opornie. - Niestety, panna Froom była już zajęta, ale panna Cherrifield przedstawiła doskonałe referencje. Przez ostatnie dziesięć lat pracowała u księstwa Monteith.

- Czy Jane ją lubi?

To najwyraźniej kompletnie nie interesowało ciotki dziewczynki.

- Chyba tak. Monteithowie wyrażali się entuzjastycznie o pracy panny Cherrifield. Mieliliśmy prawdziwe szczęście, że do nas trafiła.

- Co za zbieg okoliczności - oświadczyła Octavia z miną niewiniątka. - Księżna to moja starsza siostra. Właśnie u niej mieszkam w Londynie.

- Naprawdę?

Julia nie zdążyła dodać nic więcej, bo do pokoju weszła

nawet dość spokojnym krokiem - Jane, a za nią w drzwiach stanęła Lisette. Na widok Octavii Jane wydała przenikliwy pisk i rzuciła się na byłą guwernantkę. Ignorując protesty oburzonej Julii, Octavia chwyciła dziewczynkę w objęcia i uściskała. Lisette podbiegła do nich. Uśmiechała się, ale Octavia z niepokojem zauważyła w jej oczach dawny smutek.

- Panna Petrie! - Lisette ujęła dłoń Octavii i rzuciła ciotce pytające spojrzenie. - Nie spodziewaliśmy się zobaczyć pani tutaj. To znaczy: tak szybko pani zobaczyć.

- Lisette, byliśmy... no... w błędzie. Okazuje się, że panna Petrie wcale nie jest guwernantką.

- Wiedziałam! Powiedziałam to Edwardowi!

- To lady Octavia Petrie - ciągnęła Julia, ignorując okrzyk Jane. - Jest córką lorda Warnham i właścicielką Wychford.

- Julia z uśmiechem zwróciła się do Octavii. - Jaki to uroczy dom.

- Dawniej inaczej mówiłaś! - wykrzyknęła Jane. - Nie lubiłaś go. Mówiłaś, że chciał cię zabić. Dlatego musieliśmy stamtąd wyjechać. Ale ja go bardzo lubiłam. Naprawdę Wychford należy do pani, panno Petrie? Czy mogę tam z panią zamieszkać?

- Proszę nie słuchać tego dziecka! - zawołała nerwowo Julia. - Jane, zachowuj się przyzwoicie i przestań przerywać! Lady Octavia jest zbyt zajęta, żeby się zajmować taką dziewczynką jak ty.

- Przez pewien czas zostanę w Londynie, Jane. Może wkrótce złożysz mi w Wychford wizytę. Na razie chciałabym zapytać, pani Barraclough, czy zgodziłaby się pani, abym któregoś popołudnia zabrała dziewczynki na spacer?

- Oczywiście! - zawołała Julia natychmiast. - Kiedy tylko pani zechce.

- Jutro?

- Naturalnie! Bardzo pani uprzejma.

- Ale, ciociu Julio, mówiłaś, że jutro mamy z tobą jechać do pani Allardryce...

- Nie umówiliśmy się na sto procent - stwierdziła Julia stanowczo. - Jestem pewna, że pani Allardryce zrozumie. Czy pani brat przebywa w mieście, lady Octavio?

Lisette zaczerwieniła się i wstała, ale odpowiedź Octavii ją uspokoiła.

- Jeszcze nie. Jest teraz we Francji i załatwia wystąpienie z armii. Na pewno przyjedzie do Londynu przed rozpoczęciem sezonu.

- Będzie nam bardzo miło spotkać się z nim - oznajmiła Julia.

- Z kim nam będzie tak miło się spotkać? - rozległ się od progu niski głos. Edward Barracrough wszedł do pokoju.

Octavia podziękowała w duchu losowi, że trzyma Jane na kolanach i może ukryć twarz za głową dziewczynki. Do tego spotkania doszło wcześniej, niż się spodziewała; myślała, że Edward nie wrócił jeszcze do Londynu. Poblądła, ale po chwili rumieńce wróciły jej na policzki.

Wielokrotnie zastanawiała się, jak przebiegnie ich pierwsze spotkanie w Londynie i jak powinna się zachować. Uporała się już z poczuciem upokorzenia i poniżenia, z jakim opuściła Wychford, postanowiła znów być sobą - zrównoważoną lady Octavią Petrie, która nie pozwoli nikomu robić z siebie idiotki, a szczególnie Edwardowi Barracrough.

Kiedy więc pan Barracrough podszedł na tyle blisko, by rozpoznać twarz gościa, Octavia była już całkowicie opanowana - przynajmniej na pozór.

- Edwardzie, pozwól sobie przedstawić lady Octavię Petrie -

powiedziała Julia. - Znalazłeś dziewczynkom zupełnie wyjątkową guwernantkę. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zaszokowany.

- To dla mnie żaden wstrząs - oświadczył beznamyślnie. - Odkryłem prawdziwą tożsamość lady Octavii wkrótce po tym, jak nas opuściła. - Skłonił się. - Mam nadzieję, że zastaję panią w dobrym zdrowiu.

Octavia zdjęła Jane z kolan, wstała i wykonała przepisowy dyg.

- Dziękuję, sir. Mógł pan sobie oszczędzić trudu zbierania o mnie informacji. Jak pan widzi, przyjechałam przeprosić, że państwa oszukiwałam.

- To nie była dla mnie wielka fatyga. Raczej przypadkowe odkrycie. Poznałem pani sekret, zbierając informacje o pani bracie. - Powiedział to chłodnym, oficjalnym tonem, jakim zwykł prowadzić rozmowy o interesach.

- Doprawdy? - zapytała sztywno Octavia. - A czy mogłabym zapytać, czemu w ogóle zbierał pan informacje o którymkolwiek z nas?

Edward uśmiechnął się z ironiczną skruchą.

- Musi mi pani wybaczyć. Chciałem sprawdzić, czy moja podopieczna nie wpadnie w łapy następnego awanturnika. „Harry Smith” budził wówczas poważne wątpliwości.

- Edwardzie! - krzyknęła Julia. - Pan Petrie jest synem lorda Warnham!

- To właśnie odkryłem, wraz z prawdą o obecnej tu lady Octavii. Czy powiedziała wam, że jest właścicielką Wychford? Tak czy owak, syn lorda nie musi być automatycznie człowiekiem godnym szacunku - stwierdził Edward sucho, po czym zwrócił się do Octavii: - Pewnie poczuje pani ulgę; nie dowiedziałem się o pani bracie niczego, co mogłoby go zdyskredytować.



- Ulgę? - powtórzyła chłodno Octavia. - Nie rozumiem, sir. Znam swojego brata i pańskie słowa nie mogłyby w najmniejszym stopniu wpłynąć na moją opinię o nim.

- Edwardzie, czy to oznacza, że mogę spotykać się z panem Petrie za twoją aprobatą?

- Kiedy zostaniesz wprowadzona na salony, nie będę już mógł protestować - odparł stryj z nutką zniecierpliwienia w głosie. - Jest jednak wielu równie odpowiednich młodych ludzi, którzy będą zachwyceni, mogąc cię poznać, Lisette. Nie decyduj się pośpiesznie na kogoś konkretnego.

- Oczywiście - szepnęła Lisette potulnie.

Julia postanowiła interweniować.

- Lady Octavia zaoferowała się zabrać jutro Lisette i Jane na spacer, Edwardzie. Bardzo to miłe z jej strony, nie sądzisz? I wiesz co? Jest siostrą poprzedniej pracodawczyni panny Cherrifield, księżnej Monteith!

Edward obrzucił Octavię przenikliwym spojrzeniem, ale ona spokojnie wytrzymała jego wzrok.

- Co za dziwny zbieg okoliczności. Wiedziałam, że siostra zrezygnowała już z usług panny Cherrifield, ale nie miałam pojęcia, że została opiekunką Jane. O ile się nie mylę, to znakomita guwernantka.

- Niewątpliwie - odparł sucho. A po krótkiej przerwie zapylał: - O której przyjedzie pani jutro po moje bratanice? Mogłbym wam towarzyszyć.

- Edwardzie! Byłoby cudownie! Jak podczas naszych spacerów w Wychford! - zawołała Jane.

Octavia nie była pewna, dlaczego Edward zaprzagnął wybrać się z nimi jutro na spacer, podobnie jak nie była pewna, czy ma ochotę na jego towarzystwo. W obliczu entuzjazmu Jane nie mogła jednak odmówić.

- Byłoby wspaniale, sir - odparła drewnianym głosem.
- Choć jestem zdumiona, że nie szkoda panu na to czasu.
  - Moim zdaniem to nie będzie stracony czas - powiedział gładko.

Następnego dnia Gussie z rozbawieniem obserwowała Octavię, przymierzającą kolejne suknie spacerowe.

- Coś mi się zdaje, że wyjątkowo trudno zadowolić te dwie dziewczynki - zauważyła.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała Octavia, okręcając się, żeby zobaczyć, jak układa się tył sukni.

- Widziałam, jak odrzuciłaś trzy arcydzieła sztuki krawieckiej madame Rosy, wszystkie wręcz stworzone dla ciebie. Szczególnie ta ze zwiewnego jedwabiu.

- Ta błękitna? Uważasz, że jest najbardziej twarzowa? W takim razie ją włożę - zdecydowała Octavia i wskazała głową pokojówce, żeby ją naszykowała.

- Tawy, dlaczego mi nie powiesz, co się dzieje? Nie uwierzę, że tak gorąco pragniesz zrobić wrażenie na pannach Barraclough. Czy aby na pewno Edward Barraclough nie wybierze się z wami na spacer? A może planujesz spotkanie z innym młodym człowiekiem?

- Oczywiście, że nie! - zawołała, oburzona Octavia. - Stryj dziewczynek rzeczywiście postanowił nam towarzyszyć. Zapewniam cię jednak, że nie zamierzam robić wrażenia na Edwardzie Barraclough. Mówiłam ci przecież, że jest mi całkiem obojętny. Skąd twoje podejrzenia?

- Stać, że zachowujesz się inaczej niż zwykle. Martha wyprasowała ten kołnierz idealnie, siostrzyczko, i przestań go miętosić. Chcę z tobą poważnie porozmawiać.

- Nie mogę. Nie mam czasu. Dziękuję za radę, chyba rze-

czywiście nieźle wyglądam w tej niebieskiej. Do widzenia, Gussie. - Octavia uciekła przed dalszymi pytaniami siostry.

Gussie patrzyła za nią w zamyśleniu, po czym posłała po sekretarza męża, który zajmował się aranżowaniem jej życia towarzyskiego.

- Chodzi o mój bankiet, Jamesie. Chciałabym rozszerzyć listę gości.

Kiedy Octavia podjechała pod dom Barraclough, przed frontowym wejściem czekał już inny powóz. Stojąca przy nim Jane zauważyła Octavię.

- Panno Petrie! Pojedziemy powozem Edwarda. On twierdzi, że tak będzie lepiej. Obiecał, że pozwoli mi usiąść na koźle koło stangreta.

- Jaki miły - mruknęła Octavia.

- Chyba nie ma pani nic przeciwko temu? Będzie wam trojgu, pani, Edwardowi i Lisette wygodniej z tyłu.

Jane byłaby bardzo rozczarowana, gdyby w taki piękny, słoneczny dzień nie mogła skorzystać z propozycji stryja. Octavia ustąpiła jej więc i wstała, żeby wysiąść z powozu. Edward Barraclough odsunął lokaja i sam pomógł jej zejść na ziemię. Dłoń Octavii drgnęła, kiedy ją ujął, ale dziewczyna szybko się opanowała i pozwoliła, by zaprowadził ją do powozu i pomógł jej wsiąść.

- Dokąd miałyście się wybrać? - zapytał.

- Chciałam pojechać do Hyde Parku, a potem przejść się Serpentyną - wyjaśniła Octavia. - To nie umywa się nawet do Wychfórd, ale może dziewczynki miałyby ochotę obejrzeć ptactwo wodne, a przy brzegu zawsze czeka kilka łódek. Jeśli jednak ma pan inne plany, to nie musi się pan czuć zobligowany moimi.

Edward bez słowa uniósł Jane i posadził ją na koźle, a potem wsiadł do powozu i usiadł naprzeciwko Octavii i Lisette. Przyglądał im się uważnie.

- Co za piękny widok. Mam na myśli Hyde Park, oczywiście. Kiedy powóz ruszył, Octavia zwróciła się do Lisette.

- Nie widziałam cię w Wychford na koniu, ale chyba umiesz jeździć?

- Tak, uwielbiam konną jazdę.

- W takim razie spodoba ci się przejażdżka po Rotten Row. Mogłybyśmy wybrać się tam jutro lub pojutrze.

- Rotten Row. Jaka śmieszna nazwa! Rotten, czyli zgniłek! Co tam gnije? - Jane odwróciła się w ich stronę, żeby wziąć udział w rozmowie.

- Nic tam nie gnije, Jane. W dawnych czasach była znana jako *route du roi* - droga królewska, łącząca pałace Kensington i St James.

- Jak zawsze wygłasza pani wykład - powiedział Edward, przeciągając słowa. - Najwyraźniej trudno pozbyć się dawnych przyzwyczajęń.

- Niektórych trudno, innych łatwiej - odparła chłodno Octavia i znów zwróciła się do Lisette. - W sezonie do dobrego tonu należy pokazywanie się na Rotten Row konno lub w powozie pomiędzy czwartą a szóstą po południu. Można tam spotkać niemal cały elegancki świat. Jeśli chcesz się rozkoszować jazdą konną, to lepiej wybrać się wcześniej, o jedenastej czy dwunastej.

Podjechali do bram Hyde Parku i spojrzeli w głąb Rotten Row. Chociaż sezon dopiero się zaczynał, aleja była już zatłoczona.

- Trudno to nazwać jazdą konną - orzekł Edward. - Nie ma mowy o porządnym galopie.

- Nie tylko nie ma mowy, ale to wręcz zabronione. Nie wolno ci tego robić, Lisette, jeżeli chcesz zostać zaakceptowana przez panie z towarzystwa.

- Możemy jechać dalej? A może wolicie iść? - zapytał Edward Barraclough.

- Chodźmy, Edwardzie! - zawołała Jane, której trudno było przez dłuższy czas usiedzieć na miejscu.

- Lady Octavio? Czy to przystoi przyszłym eleganckim damom?

- Naturalnie - odparła Octavia, ignorując jego ironiczny ton. - Przejdziemy się Serpentyną?

Podczas spaceru Octavia czuła wyraźnie, że pod uprzejmyimi powitaniem wielu znajomych kryło się nie najlepiej maskowane zaciekawienie. Rozdawała ukłony i grzeczne uśmiechy, kiedy trzeba przedstawiała Barraclough, ale przez cały czas pilnowała, żeby dziewczynki oddzielały ją od Edwarda. Jane wkrótce znudził się spokojny spacer.

- Chodź, Lisette! - zawołała. - Obejrzymy kaczki!

Protesty Octavii uciszył pan Barraclough.

- Niech idą, przez cały czas będziemy je mieli na oku. Czyba nie boisz się zostać sam na sam ze mną w parku w biały dzień, Octavio?

- Nie, panie Barraclough. Nie przypominam sobie, żebym upoważniła pana do zwracania się do mnie po imieniu.

- Daj spokój. Marny już za sobą ten etap. Jesteśmy sarni, bez świadków.

Octavia zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz. Mówiła tak spokojnie, w tak wyważony sposób, że postronny obserwator nie domyśliłby się szalejącej w niej burzy uczuć.

- Panie Barraclough, nie jestem już zatrudnioną przez pana guwernantką. Wiem, co pan o mnie sądzi, ale to, cóż wyda-

rzyło się w Wychford, należy do przeszłości. Pochodzę z szacownej rodziny i w oczach świata jestem damą o nienagannej reputacji. Mam prawo oczekiwać, że będę traktowana z szacunkiem przez człowieka, który jest zaledwie dalekim znajomym.

- Dalekim znajomym? - Kpina w jego głosie była oczywista.  
- Tak to nazywasz? Wybacz, Octavio. Moja pamięć nie jest najwyraźniej tak elastyczna, jak twoja.

Octavia ruszyła przed siebie, próbując opanować gniew. Tego się nie spodziewała. Z niewiadomych względów była przekonana, że Edward zapomni o wszystkim, co wydarzyło się w Wychford. Spojrzała na Jane i Lisette, które śmiały się bez troski, obserwując baraszkuje w wodzie ptaki. Tyle chciała zrobić dla tych dziewcząt, ale ich stryj mógł to uniemożliwić. Kiedy się w końcu odezwała, jej głos brzmiał spokojnie.

- Jeżeli nie zdoła pan poskromić własnej pamięci, będę zmuszona opuścić Londyn. Czy o to panu chodzi?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby pani wyjechać?

- Bo straciłabym powód, by tu zostać. Nie lubię wielkomiejskiego życia. Przyjechałam do Londynu wyłącznie z sympatii dla pańskich bratanic. Chciałam wykorzystać dla ich dobra swoje wpływy w wielkim świecie.

- Jakie to wzruszające!

Octavia zignorowała jego słowa i mówiła dalej.

- Wierzę, że niejedno mogłabym dla nich zrobić, ale pod warunkiem, że przestanie mi pan przypominać o epizodach, które pragnę wyrzucić z pamięci. Jeżeli plotkarze usłyszą, że zwraca się pan do minie po imieniu, natychmiast nabiorą podejrzeń. Wystarczy kilka odpowiednio dobranych słów, żeby zniszczyć moją reputację. A wtedy już nic dla nikogo nie będę w stanie zrobić. - Zatrzymała się i spojrzała na niego, dumnie

unosząc głowę. - Jak będzie, panie Barraclough? Zdoła pan zapomnieć o guwernantce i jej skandalicznym zachowaniu, czy też mam opuścić Londyn i wracać do Ashcombe?

Edward Barraclough wpatrywał się w nią z takim podziwem w oczach, że poczuła się zakłopotana.

- Dlaczego jest pani taka pewna, że wie, co o niej myślę?

- Nie zapomniałam pańskich słów wypowiedzianych podczas naszego ostatniego spotkania.

- Byłem wściekły - wyjaśnił Edward po chwili milczenia. - Tak wściekły, jak jeszcze nigdy w życiu. Przyznaję, że popełniłem błąd. Dlaczego nie powiedziała pani, że „Harry Smith” to pani brat? Dlaczego pozwoliła mi pani wierzyć w najgorsze?

- Nie słuchałby pan wyjaśnień. Uznał pan, że wie, do jakiego rodzaju kobiet należę, czemu zresztą wcale się nie dziwię, biorąc pod uwagę moje zachowanie tamtego dnia. - Machnęła ręką w geście zniecierpliwienia. - Im szybciej o tym zapomnimy, tym lepiej. Ważne, czy będę mogła pomóc Lisette i Jane. Mam zacząć się pakować? A może jednak zostać i zrobić dla nich co w mojej mocy? Decyzja należy do pana.

Zapadło milczenie.

- Lady Octavio - powiedział w końcu. - Uznaję się za pokonanego. Postaram się traktować panią z całym szacunkiem, na jaki zasługuje szlachetnie urodzona dama. Nie jestem tylko pewien, w jaki sposób mam się do pani odnosić. Jak dobrze się znamy?

- Proszę mnie traktować jak przyjaciółkę pańskich bratanic.

- Doskonale, ale najpierw chciałbym panią o coś zapytać.

- Tak?

- Co pani myśli o mnie?

Tego Octavia się nie spodziewała. Przez chwilę kusiło ją, żeby powiedzieć: „Nie wiem, czy jest pan dobry, czy zły,

uprzejmy czy niegrzeczny. Wiem tylko, że pana kocham". Jaką broń dałaby mu do ręki. Współczułby jej, a może byłby zakłopotany? Zacząłby się śmiać? Albo próbowałby ją namówić, by zapomniała o godności i nawiązała z nim romans, rywalizując z jego metresą?

Octavia głęboko wciągnęła powietrze.

- Podziwiam pana oddanie dla Jane i Lisette. Jednak poza pańskimi bratanicami niewiele mamy z sobą wspólnego. Z całą pewnością nie chcę zacieśniać naszej znajomości. Dołączymy do dziewczynek? Wydaje mi się, że Jane jest gotowa iść dalej.





## Rozdział trzynasty

Przez cały następny tydzień Octavia odwiedzała Jane i Lisette wtedy, kiedy ich stryja nie było w domu. Sporo czasu zajmowały jej przygotowania do wydawanego przez siostrę bankietu. Zdenerwowała się jednak na widok listy gości.

- Co tu robi nazwisko: Edward Barraclough? Zaproszenie miało obejmować państwa Henryego i Julię Barraclough wraz z Lisette. Myślałam, że nie życysz sobie, bym miała cokolwiek wspólnego z drugim panem Barraclough.

- Nie mogłam zaprosić jednego brata, pomijając drugiego, Tavy! - zauważyła Gussie. - Poza tym Edward ma znacznie lepszą pozycję towarzyską i jest bez porównania zabawniejszy niż Henry i jego okropna żona. Zresztą po tym, co od ciebie usłyszałam, chciałabym go poznać osobiście. Dlaczego tak się gniewasz, że go zaprosiłam?

- Nie gniewam się. Kto mówi, że się gniewam? Byłam tylko zaskoczona. Nie widzę potrzeby, żeby go zapraszać.

- A ja widzę, moja droga Tavy. Nie patrz na mnie z taką złością. Dla ciebie mamy kogo innego, a zawdzięczamy to staraniom Monteitha. To dla nas obd niespodzianka.

Octavia mimowolnie się roześmiała. Gussie nader rzadko miała dobre słowo dla swego leniwego małżonka.

- Jak do tego doszło? - zainteresowała się.

- Nie przejmuj się! Monteith nie musiał się zanadto wysilać. Ten młody człowiek, jakiś pociotek któregoś z licznych szkockich Monteithów, przedstawił się wczoraj mojemu mężowi u Boodle'a. Monteith polubił go do tego stopnia, że zaraz mu wręczył zaproszenie na bankiet. Jestem zachwycona. Okazuje się, że mój najdroższy małżonek przynajmniej zdaje sobie sprawę, iż wydajemy bankiet.

- Biedny młody człowiek. Nie będzie tu nikogo znał.

- Zaproszę go na obiad przed bankietem. Będzie też Harry i na pewno weźmie pana Aransaya pod opiekuńcze skrzydła. Są chyba w tym samym wieku, a Harry łatwo nawiązuje przyjaźnie. A teraz powiedz, kiedy mam poznać tych twoich Barraclough? Może wybiorę się do nich jutro razem z tobą? Chcę na własne oczy zobaczyć tą śliczną Lisette. I oczywiście Jane. Cherry twierdzi, że naprawdę jest tak bystra i urocza, jak mówiłaś.

Octavia bardzo się myliła co do Edwarda Barraclough. Co prawda, sam nie miał pewności, jakimi uczuciami ją darzy, były one jednak dalekie od pogardy. Irytowało go, że został przez nią oszukany, ale chętnie cofnąłby wszystkie oskarżenia. Nadal był pod jej urokiem.

Bardzo szybko odkrył, że słowna szermierka z Octavią sprawia mu ogromną przyjemność, i nie mógł się oprzeć pokusie prowokowania jej. Nigdy nie należała do potulnych, ale teraz, kiedy mogła rozmawiać z nim jak równa z równym, demonstrowała otwartość i gotowość podejmowania wyzwań, co go intrygowało i pociągało. Panna Petrie, guwernantka,

była jedyna w swoim rodzaju, ale lady Octavia, najmłodsza córka lorda Warnham, również była niezwykła.

Powtarzał sobie, że go oszukała, przypuszczalnie śmiała się z niego, doprowadziła go niemal do szału, a jednak dalej pragnął poznać ją bliżej. Domyślił się, że go unika, ale czekał, aż nadejdzie jego czas. Przecież nie mogła go zignorować na specjalnym balu.

Później zgadzano się powszechnie, że bal wydany przez rodzinę Barraclough należał do największych sukcesów sezonu. Julia doskonale się spisała i pomimo wcześniejszych uprzedzeń z wdzięcznością przyjęła zaoferowaną jej przez Octavię pomoc. W rezultacie na balu zjawiła się prawie cała śmietanka towarzyska Londynu, w tym jeden książę krwi, książę i księżna Monteith, a nawet - na chwilę - książę Wellington.

Genialna madame Rosa uszyła dla Lisette na debiut kreację odznaczającą się prawdziwie mistrzowską prostotą. Jediną ozdobą zwiewnej jedwabnej sukni był delikatny, srebrny haft na rękawach i przy dekolcie. Lisette wyglądała jak królewna czarodziejek. Piękno jej ciemnych włosów, fiołkowych oczu i delikatnej cery podkreślał srebrzystobiały strój i trzymany przez nią w ręku bukiet białych róż przewiązanych liliową wstążeczką. Wzbudziła sensację. Natychmiast otoczył ją krąg wielbicieli, a wyrafinowani koneserzy z wyższych sfer podkreślali z zachwytem urodę dziewczyny, jej skromność i wdzięk. Niektórzy byli pod takim wrażeniem jej zalet, że zapominali wspomnieć o jej godnej uwagi fortunie.

Edward był dumny z bratanicy, ale na otaczający ją tłumek wielbicieli spoglądał z cynizmem. Nieczęsto okazał się majątek

szedł w parze z taką urodą. Nic dziwnego, że ona i Julia były wręcz oblegane. Wśród adoratorów zauważył kilku powszechnie znanych łowców posagów oraz paru zubożałych arystokratów. Lisette będzie potrzebowała pomocy, by oddzielić ziarno od plew. Nie po to wyrwał ją ze szponów Ricarda Arandeza, żeby wpadła w sidła jego angielskiego odpowiednika.

Po chwili odprężył się i rozejrzał. Lisette była chwilowo bezpieczna. Przesuwał wzrokiem po zgromadzonych, szukając drobnej figurki. Wreszcie dostrzegł Octavię i przedarł się ku niej przez tłum. Stała w towarzystwie siostry.

- Lady Octavio - Edward pochylił się w dwornym ukłonie.

Księżna spojrzała na siostrę, która dość chłodno odpowiedziała na powitanie.

- Panie Barraclough - dygnęła. - Chyba już pan poznał moją siostrę, księżną Monteith.

- Tylko raz czy dwa miałem zaszczyt panią spotkać, natomiast dość często widuję pani małżonka - powiedział Edward, ponownie chyląc głowę w ukłonie.

- Muszę panu pogratulować bratanicy - stwierdziła Gussie.

- Od lat nie widziałam tak pięknej istoty.

Edward przyglądał się księżnej z uznaniem. Doskonale znał i rozumiał ten typ wielkich dam. Dostrzegał łączące je rodzinne podobieństwo, ale ta światowa kobieta była, w przeciwieństwie do Octavii, w pełni świadoma swojego uroku i potrafiła go wykorzystywać, o czym młodsza siostra nie miała pojęcia. W innych okolicznościach mógłby pozwolić sobie na miły, przelotny flirt z księżną Monteith. Ale nie tego wieczoru.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem. - Wszyscy jesteśmy z niej bardzo dumni.

- Z pewnością została wyszkolona przez eksperta.

Edward rzucił Octavii pytające spojrzenie.

- Widzę, że siostra zwierzyła się pani. Mam rację?
- Tavy i ja jesteśmy przyjaciółkami, nie tylko siostrami. Opowiedziała mi o Wychford.

Octavia dodała:

- Powiedziałam siostrze wszystko o Jane i... o Lisette.
- Rozumiem. Tak. O Jane i o Lisette. Księżno, Barraclough wiele zawdzięczają lady Octavii, nie tylko dzisiejszy triumf. - Rozejrzał się po sali. - Olśniewające towarzystwo. Wątpię, by naszej rodzinie udało się zgromadzić tu tak znakomitych gości. Moja bratowa upaja się sukcesem - Zwrócił się do Octavii.
- Szkoda, że nie było tu pani wcześniej. Przeżyliśmy naprawdę ciężkie chwile, kiedy Jane dowiedziała się, że nie może wziąć udziału w balu wydanym dla Lisette. Musiałem obiecać, że zabiorę ją jutro do Richmond i pokażę jej jelenie i pierwiosnki. Prawdę mówiąc, zależało jej, żeby pani wybrała się razem z nami, i obiecałem, że panią poproszę. Pojedzie pani, żeby sprawić Jane przyjemność?

- Ja... eeee... ja....

- Oczywiście, że pojedziesz, Tavy. Wyprawa do Richmond to coś w sam raz dla ciebie. Nie możesz sprawić rozczarowania... - Gussie zawiesiła głos na ułamek sekundy i dokończyła
- ... bratanicy pana Barraclough.

Octavia spojrzała na siostrę ze zdumieniem, ale odpowiedziała spokojnie.

- Dziękuję, sir. O której?

Uśmiechnął się.

- Możemy ustalić godzinę podczas następnego tańca. Pani wybaczy, księżno?

- Naturalnie. - Skłonił się i zanim Octavia zdążyła zaprotestować, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

Gussie odprowadziła ich wzrokiem. Edward Barraclough patrzył na nią z uznaniem, ale była zbyt doświadczoną kobietą, by nie zauważyć, że naprawdę interesuje go kto inny. Widziała też, że Octavia pociąga go bardziej, niż chciałaby przyznać. A jeśli tak, to na pewno ma uczciwe zamiary, postanowiła więc ze wszystkich sił pomagać rozwinąć się tej nader obiecującej sytuacji. Chciałaby wreszcie zobaczyć usidlonego Edwarda Barraclough, szczególnie przez jej młodszą siostrę. Uśmiechnęła się. Wyprawa do Richmond, żeby sprawić przyjemność Jane, rzeczywiście!

- Obiecał pan traktować mnie z szacunkiem - szepnęła Octavia w drodze na parkiet.

- A co, na litość boską, mogłaby mi pani teraz zarzucić? - zapytał ze zdumieniem. - Chyba mogę zaprosić do tańca jedną z najlepszych przyjaciółek moich bratanic. Nie ma w tym nic niestosownego.

- Chodzi o to, w jaki sposób pan to zrobił. Pan mnie wcale nie zaprosił do tańca, pan mnie właściwie odciągnął od mojej siostry, która została sama.

- Moje drogie dziecko, połowa mężczyzn na tej sali czekała tylko na sposobność, by zaprosić pani siostrę do tańca. Nie będzie sama zbyt długo. To fascynująca kobieta, Oct... lady Octavio.

- Zawsze uchodziła w rodzinie za piękność.

Figury taneczne rozdzieliły ich na chwilę. Kiedy ponownie się spotkali, Edward powiedział:

- Słyszałem, że to pani była gwiazdą sezonu, kiedy przyjechała pani poprzednio do Londynu. Wcale mnie to nie dziwi. W tej jasnozielonej sukni wygląda pani jak wiosna.

- Nie powinien pan słuchać plotek, panie Barraclough, ani mi schlebiać. To tylko luźna znajomość, pamięta pan? Właś-

ciwie nie jestem przekonana, czy powinnam jutro z wamijechać. To prawie na pewno wywoła niepotrzebne uwagi.

- Nie może pani teraz zmienić zdania. Zastanawiałem się nad tą luźną znajomością. To nie przejdzie. Prędzej czy później Londyn dowie się o pani „wizycie” w Wychford i zacznie pytać, dlaczego udawaliśmy, że się nie znamy. Powiedzmy raczej, że łączy nas odległe powinowactwo. To brzmi bardzo przyzwoicie, prawda?

- Powinowactwo?

- Przez panią Carstairs! Pani ciotka była serdeczną przyjaciółką mojej rodziny. Nadal przecież dzierżawię dom, który pani zapisała.

Octavia oswajała się powoli z jego pomysłem.

- Może i ma pan rację - przyznała niepewnie. - Do Londynu rzeczywiście prędzej czy później dotrą pogłoski... No dobrze. Mielimy ustalić godzinę jutrzejszego spotkania.

- Do Richmond jest dość daleko, przyjadę po panią o jedenastej. A może to dla pani za wcześnie?

- Nie, będę gotowa.

Muzyka dobiegła końca i Octavia zamierzała odejść.

- Nie tak szybko - zawołał Edward i złapał ją za rękę. - Chciałbym, żeby zamieniła pani parę słów z Lisette.

-Ale moja siostra...

- Pani siostra czaruje właśnie Charliego Stainfortha. Proszę na nią spojrzeć. Nie byłaby zadowolona z pani powrotu. Chodźmy.

Zaprowadził ją do Lisette, którą otaczał ciasny krąg młodych mężczyzn. Zostawiła ich jednak natychmiast, gdy dostrzegła Octavię i Edwarda.

- Znalazłeś ją! - zawołała. - Lady Octavio, tak się cieszę, że wreszcie mogę z panią porozmawiać! Na początku balu byłam

tak zdenerwowana, że nie rozpoznawałam znajomych. Tyle osób przyszło mnie poznać. Chcę pani za to podziękować. - Dotknęła ręką włosów, spiętych u góry delikatną, srebrną klamrą.

Edward obserwował, z jaką radością Octavia uśmiechnęła się do Lisette. Nie zauważył dotychczas słodczy jej uśmiechu. Zielona jedwabna suknia stanowiła wymarzoną oprawę dla urody Octavii. Głęboko wycięta, w przeciwieństwie do strojów, które nosiła w Wychford, odsłaniała piękną linię szyi i piersi... Edward nie słuchał właściwie, o czym rozmawiają, obserwował tylko te dwie tak różne od siebie dziewczyny, jedną ciemnowłosą, a drugą blondynkę. Miał rację w kwestii „włosów panny Petrie”. Dziś uczesała je w luźny kok na czubku głowy, ale jej twarz okalały loki, kunsztownie ufryzowane przez doświadczoną pokojówkę, która wpięła również w miodowozłote włosy migoczące brylanciki. No, tak... włosy Octavii nie opadały już do połowy pleców w ociekających deszczem strąkach, nie były potargane i nie odbijały migotliwego światła ognia płonącego na kominku... Gwałtownie wciągnął powietrze, bo jego ciało nieoczekiwanie zareagowało na te wspomnienia. Były równie żywe i ekscytujące jak kilka tygodni temu, a on sądził, że udało mu się z nimi uporać.

Lisette musiała poświęcić chwilę innym gościom.

- Teraz możemy wrócić do mojej siostry - oświadczyła Octavia zdecydowanie.

- Błąd, lady Octavio. Nawet najbardziej rygorystyczni znawcy etykiety pozwalają młodej kobiecie przetańczyć dwa tańce z tym samym partnerem. Proszę więc o drugi.

- Ale obiecałam sir Richardowi...

- Biedak będzie musiał jeszcze poczekać. - Edward wykorzystał dobre wychowanie Octavii, które nie pozwalało jej zrobić sceny, wziął ją zdecydowanie za rękę i poprowadził po-



nownie na parkiet. Tym razem grano walca. Jedną ręką ujął jej dłoń, a drugą otoczył ją w talii. Zaczęli tańczyć.

- Zauważyła pani, lady Octavio, że na sali balowej panuje przenikliwy chłód? - zapytał po chwili.

- Nie - odparła z marssem na czole.

- To dziwne, bo przysiągłbym, że po krzyżu przeszedł mi lodowaty dreszcz. Widocznie to dreszcz lęku przed pani gniewem. - Mimowolnie parsknęła śmiechem. - Tak lepiej. Już myślałem, że odmrozę sobie palce.

- A czego pan oczekiwał? Prosiłam, by mnie pan traktował jak daleką znajomą.

- Daleką krewną.

- Daleką krewną. A pan mnie wyraźnie wyróżnia. Przestał pan zwracać się do mnie po imieniu, ale nadal traktuje mnie pan bezceremonialnie i wkrótce możemy się dostać na ludzkie języki.

- To nonsens, chora wyobraźnia, Oct... lady Octavio. Co w tym podejrzanego, że stryj Lisette stara się być uprzejmy dla przyjaciółki bratanicy, która tak wiele dla niej zrobiła? Tak wiele zrobiła dla obu jego bratanic. O wiele łatwiej byłoby uporać się z Jane, gdyby przyszła pani wcześniej. Julia nie ma pojęcia, jak z nią postępować. Ma pani jeszcze jakieś pretensje czy możemy zacząć cieszyć się walcem?

Przez chwilę tańczyli w milczeniu i pomimo sprzeczki ich kroki były idealnie zgrane, ciała natychmiast odnalazły wspólny rytm, instynktownie poruszając się w harmonii. Edward niemal niedostrzegalnie przyciągnął Octavie. Podniosła oczy i uśmiechnęła się. A on zapomniał na moment o muzyce, o innych tancerzach, o wszystkim poza tym, że trzyma ją w ramionach.

Octavia znalazła się pod działaniem tej samej magii. Słłu-

miła jednak niechciane uczucia, zepchnęła je w zakamarek serca i postanowiła poruszyć problem skrywanych trosk Lisette. Ten temat powinien go zająć.

- Panie Barraclough - powiedziała - myślałam o Lisette...

Edward był zawiedziony. Wydawało mu się, że jej uśmiech oznacza taką samą radość, jaką on odczuwał. Najwyraźniej nie.

- O co chodzi? - zapytał ze stłumionym westchnieniem.

- Chciałam z panem o niej porozmawiać przed wyjazdem z Wychford, ale zabrakło czasu. Nie wiem, czy mówiła panu, że kiedy spotkała mojego brata, odbyłam z nią długą rozmowę.

Tym razem rozczarowanie było jeszcze silniejsze. Czyżby jednak mylił się co do niej? Angielska arystokracja połowę życia poświęcała na poszukiwanie odpowiednich partii dla swoich dzieci. Odpowiednich, czyli bogatych. Dla swoich dzieci, albo - jak w tym wypadku - dla braci. Dlaczego sądził, że Octavia różni się od pozostałych przedstawicieli swojej sfery?

- Pewnie powinienem się tego spodziewać - stwierdził z rezygnacją. - Czy ma pani pojęcie, ilu młodych ludzi pragnęłoby wżenić się w majątek rodziny Barraclough, lady Octavio? Można powiedzieć, że pani brat wystartował do wyścigu wcześniej od innych, ale to nie oznacza, że będę patrzył na niego łaskawszym okiem. Chcę, żeby Lisette była szczęśliwa, a wątpię, by miała na to szanse, jeśli uwikła się w małżeństwo z przystojnym wojakiem, który zaczął od namówienia jej na sekretną schadzke.

- Ja nie... - zachnęła się Octavia.

- Rozczarowała mnie pani. Co prawda, wygląda dziś pani wyjątkowo pięknie, ale chyba nie przypuszczała pani, że jej urok skłoni mnie do zmiany zdania w tak istotnej sprawie.

Octavia zarumieniła się z gniewu i odepchnęła go od siebie.

- Wątpię, bym mogła swoim urokiem skłonić pana do czegokolwiek - stwierdziła i zesłała z parkietu. Ścigał ją aż do miejsca, w którym zostawili jej siostrę. Gussie już tam nie zastali. Octavia odezwała się ściszym głosem: - Pragnę poinformować, że chciałam z panem porozmawiać o czym innym. Zależy mi na szczęściu Lisette nie mniej niż panu, niezależnie od tego, kogo wybierze. Jeśli wyjdzie za mojego brata, to nie będzie „uwikłanie”!

- W przeciwieństwie do całej reszty świata ja nie sądzę, że tytuł automatycznie gwarantuje, iż jego właściciel jest wzorem wszelkich cnót - odparł chłodno Edward, zirytowany obrotami, jaki przybrała ich rozmowa. - Proszę mnie nie epatować perspektywą odziedziczenia przez niego tytułu.

- Nie zamierzałam. Jest pan niemożliwy. - Octavia stała przed nim z oczyma płonącymi gniewem i rumieńcami na policzkach.

Edward poczuł nagle, że jego gniew gdzieś wyparował.

- Octavio... - zaczął ze smutkiem.

- Proszę nie zwracać się do mnie po imieniu!

- Tu jesteście. - Oboje obejrzel się. Gussie wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, wreszcie uniosła brwi pytająco. - Uzgodniliście już porę wyjazdu? O ile pamiętam, do Richmond jest dobra godzina drogi. Będziesz musiała wcześniej wstać, Octavio.

Edward zdawał sobie sprawę, że w obecnym stanie ducha Octavia gotowa wykorzystać każdy pretekst, żeby wycofać się z wyjazdu.

- Dziękuję za taniec, lady Octavio - powiedział pospiesznie. - Przyjadę po panią o jedenastej. Księżno, czy jakimś cudem ma pani wolny następny taniec? Mogę prosić?

Poprowadził siostrę Octavii na parkiet, a potem do koń-

ca wieczoru starał się trzymać jak najdalej od członków rodziny Petrie.

Rano Edward zabrał Jane i pojechał na St James Square. Chociaż poprzedniego wieczoru rozgniewał Octavię, był pewien, że pojedzie z nimi do Richmond. Mimo to poczuł ulgę, gdy zobaczył, że już czeka na nich w stroju spacerowym. Pragnął z nią porozmawiać- wczorajsza kłótnia pozostawiła pewne sprawy niedokończone i należało je wyjaśnić.

Jane powitała Octavię z właściwym sobie entuzjazmem, a potem usadowiła się pomiędzy nią a Edwardem i z zaciekawieniem obserwowała okolicę.

W Richmond zostawili powóz pod opieką stangreta i dalej poszli piechotą. Jane była zachwycona.

- Panno Petrie! Tam! Widzi pani jelenia?

- Lady Octavia pogniewa się na ciebie, Jane, jeżeli nie będziesz się do niej zwracała w należyty sposób - skarcił ją Edward.

- Nie będę się gniewać, Jane. Udając zwyczajną pannę Petrie, postąpiłam bardzo niewłaściwie. Wolałabym, żeby świat nie dowiedział się o tym zbyt szybko.

Jane natychmiast wystąpiła z gorącą obroną Octavii.

- Wcale nie postąpiła pani niewłaściwie! To była moja wina. To ja powiedziałam Edwardowi, że przyjechała pani, aby zostać naszą guwernantką, i od tego wszystko się zaczęło. Teraz powinnam nazywać panią lady Octavią, ale „panna Petrie” brzmi jakoś bardziej przyjaźnie.

- Nadal jestem twoją przyjaciółką, Jane. I zawsze będę.

- Masz szczęście, Jane - stwierdził Edward. - Szkoda, że nie słyszałaś, jak ja zostałem obrugany przez lady Octavię, kiedy

zapomniałem, jak należy się do niej zwracać. No, idź przyrzec się lepiej temu jeleniowi. Zachowaj spokój, pamiętaj, że ucieknie, jeśli go spłoszysz.

- Pójdę z nią - stwierdziła Octavia.

- Niech pani zaczeka. Już cię nie ma, Jane. Muszę się pogodzić z lady Octavią, i to raczej w cztery oczy, jeśli pozwolisz. Nie chcę stracić autorytetu.

Powiedział to tak lekkim tonem, że Jane roześmiała się i radośnie odbiegła, żeby podkraść się do jelenia. Edward spojrzał na Octavię.

- Cieszę się, że pani przyjechała - rzekł cicho.

- Przyjechałam tu tylko ze względu na Jane - odparła chłodno.

- Domyślam się. Przepraszam za wczorajszy wieczór. Nie powinienem wyciągać pochopnych wniosków... - Edward urwał i odetchnął głęboko. - Wielkie nieba, nic tylko przepraszam! Co w pani jest takiego? Zwykle jestem człowiekiem opanowanym i zrównoważonym, pani wyzwała we mnie najgorsze instynkty.

- Nietrudno to wytłumaczyć. W głębi duszy pan mną gardzi.

- Co?! - zawołał zdumiony Edward. - Gardzę panią?! Z jakiego powodu? Co za idiotyczny pomysł!

- Dla mnie to całkiem oczywiste. Musi pan mną gardzić. Z powodu mojego skandalicznego zachowania tamtego popołudnia i z powodu moich kłamstw.

Edward osłupiał.

- Octavio... Tak, podczas tej rozmowy będę się zwracał do ciebie po imieniu, nie patrz więc na mnie wzrokiem bazyliśka. - Ujął jej ręce i powiedział z naciskiem: - Octavio, przysięgam, że nigdy, ani przez thwilę, nie czułem do ciebie pogardy.

pogarda to chyba jedyne uczucie, którego nigdy we mnie nie obudziłaś! Wszystkie pozostałe dotkliwie odczułem. Podejrzliwość, irytację, wściekłość, zachwyty. Dezaprobatę, podziw, szacunek i... tak, i pożądanie. No i oczywiście zazdrość.

- Zazdrość? Jaki miał pan powód do zazdrości?

- Skręcałem się z zazdrości podczas naszej ostatniej rozmowy w Wychford. Stąd się wzięły te gorzkie oskarżenia.

Octavia próbowała uwolnić dłonie, ale nie puścił.

- Nie, pozwól mi dokończyć. Myślisz, że pogardzam tobą z powodu tego, co między nami zaszło? Nie mogłabyś bardziej się mylić. Powstrzymały mnie tylko twoja bezbronność i niewinność. Namietność, jaką w tobie obudziłem, uderzyła mi do głowy jak wino. Nawet nie wiesz, jak trudno było oprzeć się pokusie. Wiedziałem jednak, że muszę...

Tym razem Octavia zdołała wyrwać mu swoje ręce i szybko zakryła nimi uszy.

- Ani słowa więcej! Nie chcę tego słuchać! Gdyby pan wiedział, jak się wstydzę, ilekroć o tym pomyślę... Nie mogę oczekiwać, że mi pan uwierzy, ale nigdy wcześniej nie dałam się ponieść takim występny emocjom. Nigdy ich nie doświadczyłam. Byłam pewna, że musi pan mną z ich powodu pogardzać.

- To ja musiałbym się wstydzić, gdybym wówczas cię zdradził, Octavio. Oboje znaleźliśmy się we władaniu potężnej mocy. Jak mógłbym cię potępiać?

- Ale następnego dnia...

- Następnego dnia po wysłuchaniu oskarżeń Julii, po rozmowie z pokojówką z gospody... - Potrząsnął głową, jakby chciał odpedzić od siebie tamte wspomnienia i kontynuował:

- Myśl, że miałaś kochanka, że nie byłaś taką niewinną istotą, za jaką cię uważałem, doprowadzała mnie dół szału. Byłem

nieprzytomny z zazdrości. A tego uczucia nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Zamilkł na chwilę, ale Octavia się nie odezwała.

- Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć, że zostawimy to za sobą i zaczniemy od nowa, jakbym poznał cię jako siostrzenicę pani Carstairs i właścicielkę domu, który dzierżawię. Niezależnie od tego, czy to się uda, musisz mi uwierzyć, że nigdy, ani przez chwilę, tobą nie gardziłem.

Octavia popatrzyła na niego niepewnie.

- Zacząć od nowa, zapomnieć o przeszłości? - powiedziała.  
- Gdybym mogła... Czy nie lepiej zapomnieć o tym, że kiedykolwiek się znaliśmy, i iść własną drogą?

Wykluczone, pomyślał, ale odezwał się spokojnym głosem.

- Czy rzeczywiście tego pragniesz?

Wahała się, a on z napięciem śledził jej twarz, na której malowały się sprzeczne emocje.

- Myślę, że byłoby to skrajnie trudne, jeśli nie niemożliwe - wyznała. - Jak zareagowałyby Jane i Lisette?

Edward odetchnął z ulgą.

- Właśnie. Myślę, że to nie jest żadne rozwiązanie. Zaczniemy od nowa. Tym razem jako przyjaciele. A przynajmniej coś więcej niż tylko dalecy znajomi.

- Spróbuję, ale pod warunkiem, że nie zaczniesz pan znowu wyciągać fałszywych wniosków na mój temat.

- Nie zawsze potrafię jasno myśleć, kiedy jesteś w pobliżu, Octavio, nie chcę więc składać pochopnych obietnic. Na pewno będę się starał tego nie robić. Powiedz mi, o czym chciałaś ze mną rozmawiać wczoraj wieczorem. Wyglądałaś na zdenerwowaną.

- Bałam się usłyszeć, że to nie moja sprawa. Rozmawiałam z Lisette o mężczyźnie, którego poznała w Indiach.

- O Ricardzie Arandezie! Wspominała o tym. Rozumiem, że chciałaś jej pomóc.

- Problem w tym, że byłam zmuszona poruszać się na ślepo. Mówiłaś kiedyś, że ojciec Lisette dowiedział się o tym Arandezie czegoś, co mu się nie spodobało. Dlatego wycofał swoją zgodę. To było coś poważnego?

Twarz Edwarda spochmurniała.

- Bardzo.

-Zatem mało prawdopodobne, by twój brat ponownie zmienił zdanie?

- Bardziej niż nieprawdopodobne! Niemożliwe!

- A nie sądzisz, że Lisette powinna wiedzieć, jakie jej ojciec miał zastrzeżenia?

- Na pewno nie. Była jeszcze dzieckiem.

- Ale teraz nie jest już dzieckiem i choć przestała wierzyć, że jest zaręczona z Arandezem, to ma jednak pewne wątpliwości, czy małżeństwo z nim nie było jednak ostatnią wolą jej ojca.

- Sądziłem, że zamknęliśmy już ten temat.

- Twoja bratowa powiedziała Lisette, że nie wolno jej już nigdy wspominać jego imienia. To wszystko. Nie podała powodów.

-Moim zdaniem nie ma sensu zawracać Lisette głowy szczegółami. Nie jest zakochana w Arandezie, a w tej chwili interesują ją całkiem inne sprawy. Jeśli nawet jeszcze o nim nie zapomniała, to wkrótce zapomni. Poza tym wbrew obawom Julii Arandez nie dał do tej pory znaku życia. Nie, nic nie powiem Lisette. Nie widzę potrzeby.

- Wydaje mi się, że popełniasz błąd.

- Przykro mi, ale nie zmienię zdania.

- A mnie powiesz?



- Na pewno nie!

- Jak mam jej pomóc, skoro nie wiem, dlaczego jej ojciec nie życzył sobie, by poślubiła Arandezę? Musisz mi powiedzieć.

- Dość rozmowy na ten temat. Lisette jest pod opieką rodziny. Jeśli Arandez osmieli się pojawić w pobliżu, to już ja będę wiedział, co z nim zrobić.

Zabrzmiało to tak stanowczo, że Octavia postanowiła nie tracić czasu na dalsze dyskusje. Postanowiła poruszyć inną kwestię.

- A może należałoby pozwolić Lisette na spotkanie z nim? Może powinna stanąć z nim twarzą w twarz i przekonać się, co właściwie do niego czuje? W przeciwnym razie nigdy nie będzie szczęśliwa.

- Octavio - rzekł z naciskiem Edward. - Nie wiesz, o czym mówisz. Nie pozwolę temu mężczyźnie zbliżyć się do mojej bratanicy. - Diabeł podkusił go, żeby dodać: - Proszę, uwierz mi, to znacznie poważniejsza sprawa niż pozbycie się tych stad angielskich arystokratów, którzy ciągną do pieniędzy Lisette.

Octavia, poirytowana jego brakiem zaufania, rozgniewała się.

- Mojego brata również włączyłeś do tych stad, jak sądzę?

- Tak, jeśli już musisz wiedzieć.

Octavia odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Dość tego! Kiedy wreszcie pojmiesz, że rodzina Petriene nie potrzebuje cudzego majątku? Chyba pójdę poszukać Jane. Wolę jej szczerą prostolinijność od twojego paskudnego cynizmu.

Edward patrzył ponuro, jak idzie przez trawnik do Jane. Znowu to zrobił! Dlaczego musi ciągle wszystko psuć? Nie

mógł jej zdradzić, jaką zbrodnię popełnił Arandez, ale powinien odmówić w bardziej delikatny sposób. A jeśli chodzi o jej brata... Problem polegał na tym, że Edward Barraclough pierwszy raz w życiu zetknął się z kimś takim jak Octavia Petrie, i nie miał pojęcia, jak się wobec niej zachować. Będąc damą z wyższych sfer, miała w sobie uczciwość i prostolinijność Jane, delikatność i wrażliwość Lisette, odwagę i poczucie humoru, a także namiętność, która rozpałała w nim takie pożądanie, o jakim Louise mogła tylko pomarzyć. Co ma zrobić?

Ożenić się, podpowiedział wewnętrzny głos. To jedyne wyjście. Ożenić się, zanim ktoś cię ubiegnie.

Edward ruszył, żeby przyłączyć się do Jane i Octavii, ale nagle stanął jak wryty. Ożenić się? Zrezygnować z kawalerskiego życia? Dołączyć do gromady żalonych żonkosiów, z których zawsze się wyśmiewał? Wystarczy spojrzeć, do jakiego stanu go doprowadziła, chociaż nie byli jeszcze nawet zaręczeni. O, nie! Małżeństwo to pułapka, w którą on nigdy nie wpadnie. Co za idiotyczny pomysł.



## Rozdział czternasty

W powrotnej drodze z Richmond rozmawiali tylko ze względu na Jane. Gdyby nie ona, Octavia nie odezwałaby się do Edwarda ani słowem. Była zła i zawiedziona. W jednej chwili podniósł ją na duchu, zaklinając się - niewątpliwie szczerze - że wcale nią nie gardził, a w następnej okazał jej brak zaufania i obraził ją insynuacją, że popierała roszczenia brata do majątku Lisette. Co to za człowiek?! Wydawać by się mogło, że celowo wszczynął kłótnie, gdy tylko zaczęli się do siebie zbliżać. Nie wiedziała, czy robi to instynktownie, czy świadomie, ale jedno było dla niej pewne - demonstrował w ten sposób niechęć wobec związków. Kiedy zajęchali na St James Square, serdecznie ucałowała Jane, natomiast pana Barraclough pożegnała chłodno.

W zaciszu swojego pokoju stanowczo odepchnęła od siebie wszelkie myśli o Edwardzie Barraclough i skoncentrowała się wyłącznie na Lisette. Ostatni rok był dla dziewczyny tak tragiczny, że trudno się dziwić jej smutkowi. Czas uleczy rany spowodowane śmiercią rodziców, niewątpliwie jednak Lisette nigdy nie będzie szczęśliwa, jeśli nie dojdzie do ładu z włas-

nymi uczuciami do Ricarda Arandeza. Edward Barraclough twierdził stanowczo, że nigdy nie była w tym chłopaku zakochana, i Octavia musiała przyznać mu rację. Lisette miała słabość do mężczyzny, którego znała od dziecka i obdarzała zaufaniem. Dlatego właśnie bez oporów uwierzyła w tę historię z listem. Jednak przez ostatnie pół roku znacznie wydorosła. Zainteresowanie Harrym świadczyło o tym, że nie była zakochana w Arandezie.

Dopóki choć trochę wierzyła w to, co usłyszała od Arandeza, nie mogła w pełni zaangażować się w inny związek. Octavia bardzo żałowała, że nie wie, dlaczego John Barraclough wycofał zgodę na małżeństwo. Czy Lisette znała ten powód? Ojciec musiał podać córce przyczynę tak nagłego zerwania ich związku.

Kiedy więc wpadła do Julii, żeby pogratulować jej udanego balu, skorzystała z okazji i zaprosiła Lisette na przejażdżkę po parku. Panna Cherrifield zabrała Jane w odwiedziny do swej dawnej uczennicy, mogły więc szczerze porozmawiać.

- Myślałam o Ricardo Arandezie, Lisette - zaczęła Octavia, kiedy jechały konno. - Co to za człowiek?

- Już sama nie wiem. W dzieciństwie bardzo go lubiłam, choć był znacznie ode mnie starszy. Powtarzał, że się ze mną ożeni, a mnie podobał się ten pomysł, bo zostałamby blisko domu. Jego rodzina mieszka na sąsiedniej plantacji. Rodzice chyba również byli zadowoleni, więc bardzo się zdziwiłam, kiedy zmienili zdanie.

- Wiesz dlaczego?

- Właściwie nie. Chyba chodziło o miedzę. Edward uważa, że Arandezowie zagarnęli część terenów należących do naszej

plantacji. Papa nic o tym nie mówił, ale nie potrafię wymyślić żadnego innego powodu.

- Byłaś nieszczęśliwa? Bardzo ci zależało na małżeństwie z Ricardem?

- Z początku tak, ale potem mi przeszło.

- Dlaczego?

- Kiedy przyszedł do mnie po śmierci rodziców i powiedział, że papa chciał, byśmy się natychmiast pobrali, powiedziałam, że potrzebuję więcej czasu.

- Biedne dziecko, to jasne, że potrzebowałaś czasu. Wypadek rodziców musiał być dla ciebie szokiem. Chyba to rozumiał?

- Nie. Mówił, że spełnienie ostatniej woli ojca, to mój „święty obowiązek”. Rozzłościł się, kiedy obstawałam przy swoim, i nazwał mnie głupim bachorem. Wtedy Edward i stryj Henry zauważyli go i wyprosili. Zabronili mi się z nim spotykać, a ja poczułam ulgę. Po wyjeździe Edwarda do Anglii Ricardo wrócił i chciał, żebym z nim uciekła. Zachowywał się tak jak dawniej. Przepraszał, że mnie przestraszył. Tłumaczył, że zrobił to z miłości do mnie i że obiecał mojemu ojcu, że będzie się mną opiekował.

- Przecież stryjowie zostali ustanowieni twoimi opiekunami prawnymi.

- To właśnie mu powiedziałam. Byłam pewna, że papa nie życzył sobie, żebym z kimkolwiek uciekła. Wtedy Ricardo pokazał mi list. Już wyjeżdżaliśmy, kiedy stryj Henry nas zauważył i wezwał swoich ludzi. Nie mogę tego zaipomnieć. Kiedy go odciągali, krzyczał, że mam na niego czekać, że mnie kocha i przyjedzie po mnie. Myślę, że prędzej czy później to zrobi.

Octavia milczała dłuższą chwilę.

- A co wtedy powiesz? - zapytała wreszcie.

- Nie wiem. Kiedyś myślałam, że go kocham. Teraz nie jestem pewna, czy mówił prawdę o papie. No i spotkałam pani brata i przekonałam się, że lubię go bardziej niż kiedykolwiek lubiałam Ricarda. O wiele bardziej!

- Sądzę, że wszystko sprowadza się do jednego, Lisette. Jeżeli dojdiesz do wniosku, że nadal kochasz Ricarda, musisz go przekonać, by postąpił jak człowiek honoru i zaczekał na formalną zgodę twoich opiekunów. Żadnych ucieczek! Przecież spór dotyczący granic majątku na pewno uda się rozwiązać, jeśli opiekunowie przekonają się, że serio myślisz o małżeństwie z Arandezem. Jeżeli jednak nie kochasz Arandeza, powinnaś mu to otwarcie powiedzieć.

Lisette westchnęła.

- W pani ustach to brzmi prosto. Dziękuję za tę rozmowę.

Octavia była zaskoczona zachowaniem Edwarda Baraclough. Spór o granicę plantacji musiał być wyjątkowo ostry, skoro był przyczyną aż takiego zamieszania w rodzinie. Po zastanowieniu doszła jednak do wniosku, że spowodowana przez ten spór zwłoka była korzystna dla Lisette. W przeciwnym razie byłyby już pewnie żoną Arandeza i odkryłaby poniewczasie, że czuła sympatię do przyjaciela z dzieciństwa, a nie miłość do mężczyzny. Teraz miała szansę przekonać się, czego naprawdę chce od życia.

W dniu bankietu Gussie jej mąż zjawił się późno. Towarzyszył mu wysoki, bardzo przystojny młody człowiek o blond włosach i czystych, niebieskich oczach. Prezentacja - ze zrozumiałych względów - została dokonana pośpiesznie, książę uśmiechnął się wesoło do żony i tubalnym głosem przedstawił swego podopiecznego jako „Richarda Aransaya, ciotecznego wnuka Billiego Farquhara”.

- Serdecznie witamy, sir - powiedziała Gussie. - Musi nam pan wybaczyć, ale dom został już przygotowany do wieczornego bankietu i do obiadu usiądziemy w pokoju śniadaniowym. Może poprowadzi pan do stołu moją siostrę, lady Octavię Petrie? A to mój brat, porucznik Petrie. Sądzę, że znajdą panowie wiele wspólnych tematów. Możemy iść?

Octavia uznała pana Aransaya za miłego towarzysza przy stole. Dowiedziała się, że spędził kilka tygodni u swego ciotecznego dziadka. Z rozbawieniem opowiadał o wyczynach ekscentrycznego para. Przypominał jej Toma Payne'a. Na chwilę zapomniała o dręczącym ją niepokoju o Lisette, o poczuciu krzywdy z powodu braku zaufania ze strony Edwarda Barraclough i zaśmiewała się z opowieści pana Aransaya, uzupełnianych dykteryjkami księcia o lordzie Farquharze. Czas mijał tak szybko, że zdziwiła się, kiedy Gussie wstała od stołu i powiedziała, że wkrótce zaczną się schodzić goście. Należało się przygotować do ich przyjęcia.

Pokoje recepcyjne w Monteith House robiły imponujące wrażenie, szczególnie teraz, kiedy zostały wspaniale udekorowane na przyjęcie gości. Patery z zakąskami zostały ustawione wokół ogromnej wazy ponczu na nakrytym wspaniałym obrusem stole, a lokaje w liberii roznosili po sali tace z kieliszkami szampana i wina. Nie było tańców, ale grupa muzyków tworzyła miły nastrój. Światło kilkuset świec płonących w ogromnych żyrandolach odbijało się w rozwieszonych na wszystkich ścianach lustrach. Wkrótce salon napełnił się gwarem rozmów, przerywanych od czasu do czasu śmiechem - wieczór okazał się sukcesem towarzyskim.

Po obiedzie książę zabrał pana Aransaya do siebie, żeby

jeszcze trochę powspominać, więc Harry, któremu Octavia szepnęła, że należy się spodziewać Lisette, krążył po pokojach, witał niezliczonych przyjaciół i członków rodziny, ale nieustannie spoglądał na zegar. Nie mógł się doczekać przyjazdu rodziny Barraclough. Podobnie jak Octavia. Tym razem nie będzie to przypadkowe lub ukradkowe spotkanie jak w Wychford. Tego wieczoru Harry zostanie oficjalnie, zgodnie z wszelkimi zasadami, przedstawiony rodzinie Lisette jako Harry Petrie, syn lorda Warnham, i nie miała wątpliwości, że, poza jednym wyjątkiem, mógł się spodziewać życzliwego przyjęcia.

Henry i Julia Barraclough przyjechali z Lisette, która wyglądała zjawiskowo w żółtej jak żonkile sukni. Kiedy Octavia przedstawiła brata, Julia rozplątywała się w uśmiechach.

- Oczywiście, słyszeliśmy już o panu, poruczniku Petrie. Siostra mówiła, że wystąpił pan z armii. Z gwardii, o ile się nie mylę?

Harry oderwał wzrok od Lisette i zwrócił się do Julii z najbardziej czarującym ze swych uśmiechów.

- Tak, pani Barraclough. Ojciec chce mnie częściej widywać. Słyszałem, że przyjechali państwo z pięknej wyspy...

Octavia została przy nich, dopóki nie przekonała się, że Harry jest na najlepszej drodze do oczarowania opiekunów Lisette. Dopiero wtedy odeszła. Snuła się po pokojach i w końcu uświadomiła sobie, że czeka na przyjazd Edwarda Barraclough, choć właściwie nie ma mu nic do powiedzenia.

- Piękna! Naprawdę przepiękna! - Octavia odwróciła się. Za nią stał Richard Aransay i nie odrywał wzroku od Lisette.

- Rzeczywiście. Odniosła naprawdę wielki sukces w czasie sezonu.



- Widzę przy niej pani brata.

- Lisette ma wielu wielbicieli, sir. Czy mam jej pana przedstawić?

Richard Aransay uśmiechnął się tak dziwnie, że Octavia poczuła się nieswojo.

- To nie będzie konieczne, lady Octavio. Doskonale znam Lisette.

- Doprawdy, panie Aransay?

- Proszę wybaczyć, ale nazywam się Arandez. Ricardo Arandez.

Octavia wpatrywała się w niego z przerażeniem.

- Pan Ricardo Arandez?

- Widzę, że już pani o mnie słyszała. Lisette pani opowiadała? Podobno bardzo panią ceni.

- Proszę wybaczyć, panie Arandez, ale nie powinno pana tu być. Barraclough...

- Z sobie tylko znanych powodów próbują chronić przede mną Lisette. Czy to chciała pani powiedzieć? Zostałem tutaj zaproszony, lady Octavio. Od kiedy to Barraclough decydują o tym, kto ma być zapraszany do Monteith House? Mój cioteczny dziadek był bliskim przyjacielem ojca obecnego księcia.

- Czy wiedział pan, że Lisette tu dzisiaj będzie? - zapytała Octavia, patrząc mu prosto w oczy.

- Powiedzmy, że miałem nadzieję. Muszę z nią porozmawiać. - Spojrzał na Lisette, która stała pomiędzy Harrym a ciotką Julią. Henry Barraclough również był w pobliżu. - Czy mógłbym zamienić z panią kilka słów na osobności?

Octavia bez słowa poprowadziła go przez tłum do ogrodu zimowego, do którego wchodziło się z ostatniego pokoju w amfiladzie.

- Tutaj możemy spokojnie porozmawiać. Uprzedzam, że nie jestem do pana zbyt przychylnie nastawiona.

- To oczywiste. Barraclough z pewnością mnie oczerniali. Słyszałem, że jest pani z nimi zaprzyjaźniona. Czy ma pani pewność, że postępuje pani sprawiedliwie, lady Octavio? Kocham Lisette. Od wielu lat obserwowałem, jak dojrzewa i, zachęcany przez jej ojca, czekałem, aż dorośnie i zostanie moją żoną. Śmierć jej rodziców była dla mnie taką samą tragedią, jak dla tych nieszczęsnych dzieci. Straciłem nie tylko bliskich przyjaciół, ale również nadzieję na szczęście z ukończoną dziewczyną.

Octavia, wbrew sobie, była pod wrażeniem.

- Dlaczego stryjowie Lisette tak pana nie lubią?

- Uważają, że stanowią zagrożenie dla fortuny Barraclough.

- Myślę, że kryje się za tym coś więcej.

Arandez zeszytniał i zmarszczył brwi.

- Przepraszam. Nie rozumiem - powiedział ostrożnie.

- Nie było kłótni? Sporów o granice?

Rozchmurzył się. Wzruszył ramionami i na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- A, tak. Granica. Przysporzyła nam wielu problemów. Ojciec Lisette zrozumiał w końcu, że nie warto o to kruszyć kopii. Czy teraz, kiedy mnie pani poznała, lady Octavio, nadal uważa mnie pani za taldego łajdaka, jak twierdzą Barraclough? Kochamy się z Lisette. Ona nigdy nie będzie szczęśliwa beze mnie, a ja niczego bardziej nie pragnę, niż otoczyć ją opieką, jak obiecałem jej ojcu. Gdybym tylko mógł z nią porozmawiać!

Octavia była w rozterce. Współczuła Arandezowi. Wydawał się szczery. Znow uderzyło ją jego podobień-

stwo do Toma Payne'a, a Tom był przejrzysty jak krystalicznie czysta woda. Jednak Edward Barraclough dał jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych kontaktów Lisette z Arandezem. Co robić? Ricardo Arandez to niewątpliwie godny szacunku młody człowiek, wprowadzony do towarzystwa przez jej szwagra. Będzie przyjmowany we wszystkich domach i prędzej czy później uda mu się zobaczyć z Lisette. Chyba lepiej, żeby spotkali się dzisiaj, pod jej nadzorem. Narazi się na gniew Edwarda Barraclough, ale zdążyła już do tego przywyknąć.

- Dobrze - powiedziała - zaprowadzę pana do Lisette. Przypominam jednak, że jest ona dzisiaj gościem mojej siostry. Nie wolno panu jej denerwować ani wywierać na nią presji. W oczach londyńskiej socjety ta dziewczyna jest wolna od jakichkolwiek zobowiązań, nie licząc oczywiście opiekunów. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Obiecuję zachować dyskrecję. Zapewniam panią, że Lisette będzie zachwycona. Nie ma mowy o presji, lady Octavio, uciechy się na mój widok.

Octavia ruszyła przodem, pełna wątpliwości, czy postępuje właściwie.

- Powinam z wami zostać, panie Arandez - rzuciła przez ramię. - Lisette jest mi bardzo droga.

- Oczywiście - odparł z pewnymi siebie uśmiechem - a wkrótce przekona się pani, że mnie również jest bardzo droga!

Henry i Julia Barraclough zostawili Lisette pod opieką Harry'ego i dali się porwać księciu do jadalni, skuszeni poczęstunkiem. Lisette wyglądała na szczęśliwą, choć była dość blada. W salonie panował upał, a ją otaczał krąg wielbicieli,

starających się zwrócić na siebie jej uwagę. Octavia przyspieszyła kroku. Lisette była z natury nieśmiała i wielki sukces nie tylko nie uderzył jej do głowy, ale wprowadził ją w zakłopotanie.

Nagle dziewczyna zauważyła towarzyszącego Octavii Arandeza i pobladła jeszcze bardziej.

- Ricardo? - szepnęła niepewnie. - Co za niespodzianka! Nie wiedziałam, że jesteś w Londynie.

- Lisette! - Pochylił się ku niej, jakby chciał ją pocałować w policzek, ale cofnęła się nerwowo.

- Nie tutaj. - Podała mu rękę i zwróciła się do Harry'ego, który stał za nią. - Poruczniku Petrie, niech mi będzie wolno przedstawić panu znajomego, Ricarda Arandeza.

- Panna Barraclough najwyraźniej pana zna, Aransay - zauważył Harry. - Dlaczego nadała panu hiszpańskie nazwisko? Sądziłem, że jest pan Szkotem.

- Przyjechałem z Indii Zachodnich - oświadczył szybko Arandez. - Lisette i ja od lat jesteśmy przyjaciółmi, może nawet więcej niż przyjaciółmi.

Lisette pobladła i głośno wciągnęła powietrze.

Octavia wkroczyła, zanim spróbował posunąć się dalej.

- Panie Arandez - powiedziała z uśmiechem. - Obawiam się, że ma pan sporo do wyjaśnienia. Mój szwagier jest człowiekiem roztargnionym. Przypuszczalnie w Londynie i okolicach jest pan znany jako Richard Aransay ze Szkocji. - Urwała i zwróciła się tylko do niego znaczącym tonem: - Ostrzegalam pana.

Kiwnął głową i powiedział swobodnie:

- Lisette i ja bawiliśmy się razem jako dzieci, poruczniku, ale od dawna się nie widzieliśmy. Czy mogę ją zabrać na parę minut? Chcę przekazać jej wiadomości od przyjaciół.

Harry rzucił Lisette pytające spojrzenie.

- Chyba powinnam porozmawiać z panem Arandezem, poruczniku Petrie. Wybacz pan?

- Harry, chodź ze mną do jadalni - poprosiła Octavia, zanim zdążył zaprotestować. - Chce mi się pić, a Gussie kazała przygotować wspaniałe napoje. Zaraz wracamy, Lisette.

Octavia odciągnęła Harryego na bok.

- Co to znaczy, Tavy? Dlaczego zachęcasz tego typu? Wiesz przecież, że lubię Lisette.

- Nie martw się, braciszku. To nie jest groźny rywal. Podejrzewam, że Lisette dojrzała od ostatniego spotkania z panem Arandezem. Daj jej trochę czasu, żeby sama doszła do tego wniosku. Jak ci idzie z Barraclough?

- Przyznam, że nie wiem, co masz przeciwko pani Barraclough. Była dla mnie wyjątkowo miła. Może nieco zbyt wylewna, ale bardzo rozmowna.

- Spójrz prawdzie w oczy, Harry. Już połknąłeś haczyk - stwierdziła Octavia i pomyślała, że stała się równie cyniczna jak Edward Barraclough.

- A co ze stryjem Lisette, Edwardem? - zapytał brat, jakby potrafił czytać w jej myślach. - Już ci wybaczył?

- Właściwie sama nie wiem. Podejrzewam jednak, że znajdziemy się znowu w stanie wojny, kiedy zobaczy Ricarda Arandeza z Lisette. Nie cierpi Arandeza jeszcze bardziej niż ciebie.

- To nie twoja wina, że Arandez jest tutaj.

- Powiedz to panu Barraclough. Właśnie przyszedł. Chyba nie dostrzegł jeszcze Arandeza. Byłby wściekły.

Harry zerknął w stronę drzwi.

- To jest ten Barraclough. Przystojny chłop, Tavy.

Edward Barraclough ruszył ku nim, zawahał się, kiedy zauważył Harry'ego, ale ukłonił się.

- Dobry wieczór, lady Octavio.

Octavia oddała mu ukłon i powiedziała oficjalnym tonem:

- Pan Barraclough. Mój brat, porucznik Harry Petrie.

- A, pan porucznik.

- Już nie, niestety. Złożyłem rezygnację.

- A, tak. - Nastąpiła chwila ciszy, obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie odezwał się Edward. - O ile się nie mylę, zna pan moją bratanicę.

- Zostałem jej przedstawiony dzisiaj.

- Niech pan da spokój, poruczniku. Nie wmówi mi pan, że spotkaliście się po raz pierwszy.

- Nie. Dwukrotnie spotkałem Lisette w Wychford. I za pana pozwoleniem, pragnę spotkać się z nią jeszcze niejeden raz.

Octavia wstrzymała oddech, ale zuchwałość nie przyniosła Harryemu szkody. Edward roześmiał się i powiedział już bardziej naturalnie:

- Zobaczymy. Ma pan doskonałego adwokata w osobie swojej siostry.

- Tavy to najlepsza siostra na świecie.

- Tavy? Szkoda skracać tak piękne imię jak „Octavia” do „Tavy”! - Rozejrzył się. - A gdzie moja bratanica?

- Nie zauważył jej pan, wchodząc do pokoju? Myślę, że jest w salonie. Z... dawnym znajomym.

- Zaprowadzi mnie pani? Proszę o wybaczenie, panie poruczniku.

Octavia rzuciła bratu rozpaczliwe spojrzenie i przyjęła ramię Edwarda. Prowadząc go do salonu, odetchnęła głęboko i zebrała się na odwagę.

- Posłużyłam się wykrętem. Postanowiłam jednak powie-

dzieć prawdę. Mam nadzieję, że przynajmniej to poczytasz mi na plus. Lisette jest w tej chwili z Ricardem Arandezem.

Edward zatrzymał się.

- Co powiedziałaś? - zapytał bardzo spokojnie.

Octavia powtórzyła:

- Twoja bratanica jest z Ricardem Arandezem.

Zatrzymali się w szerokich drzwiach salonu. Lisette stała z Arandezem we wnęce okiennej. Arandez pochylał się nad nią i mówił coś z naciskiem. Lisette słuchała, ale nie nazbyt uważnie, bo przez cały czas przesuwiała wzrokiem po tłumie, jakby kogoś wyglądała.

Edward Barraclough wciągnął powietrze z głośnym sykiem.

- To twoja sprawka? - zapytał, prawie nie poruszając ustami.

- Nie całkiem - odparła Octavia po chwili wahania. - Mój szwagra.

W tym momencie książę Monteith, jakby przywołany przez nią, pojawił się w pobliżu i klepnął Edwarda w ramię.

- Barraclough! - zawołał. - Witaj, chłopie! Mam tu pewnego młodzieńca z twoich stron. Z Jamajki chyba. Chodź, poznasz go. Ty też chodź z nami, Octavio.

Pociągnął Edwarda w stronę wnęki i nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

- Widzę, że młodzian nie traci czasu. Już zagarnął dla siebie najładniejszą dziewczynę. Zuch chłopak! To twoja bratanica, prawda?

- Sądziłem, że moja bratanica jest tu z ciotką - rzekł Edward złowieszczo.

- Szykuj posag, Barraclough! - ryknął książę, zanosząc się od śmiechu. - Ładna dziewczyna i przystojny chłopak, nic

dziwnego, że się zwąchali. Nic się nie martw. Aransay to porządny gość. Znałem jego wuja. Świetny chłop!

- Nie musi mnie pan przedstawiać panu Arandezowi, książe. Bratanica powinna wrócić pod opiekę ciotki i stryja. - W tym momencie podeszli do wnetki. Edward całkowicie zignorował Arandeza i zwrócił się wyłącznie do bratanicy. - Lisette?

Książę wyglądał na nieco zaskoczonego, ale po chwili znów ryknął śmiechem.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki rygorystyczny, Barraclough! Nie przejmuj się, Aransay! Zapoznam cię z Puffym Rogersem. Puffy to kapitalny chłop. Ubiegłej nocy stracił piętnaście tysięcy i nawet nie mrugnął okiem. Chodź! - dorzucił i ruszył w stronę pokoju ze stołami do gry.

Arandez popatrzył niepewnie, ale Lisette powiedziała:

- Tak, idź z nim, Ricardo. Muszę znaleźć porucznika Petrie. Obiecałam przedstawić go Edwardowi. Edwardzie, zostań tutaj. - Poszła do jadalni, zanim którekolwiek z nich zdążyło zareagować.

- Lepiej idź za Monteithem do pokoju karcianego, Arandez - poradził Edward uprzejmie. - Wołałbym nie robić tutaj sceny, ale nie jestem pewien, jak długo jeszcze zdołam utrzymać ręce przy sobie. W przyszłości staraj się omijać szerokim łukiem Lisette. Obaj wiemy, że jeśli zechcę, to mogę sprawić, byś przestał czuć się w Londynie swobodnie.

Arandez wzruszył ramionami i odszedł. Edward zwrócił się ku Octavii.

- Zaaranżowałaś to - powiedział głosem bez wyrazu.

- Nie, ale zrobiłabym to, gdybym wiedziała, że Arandez będzie tu dzisiaj - odparła Octavia.

-Nie rób ze mnie idioty! Zaaranżowałaś to wspólnie ze szwagrem, choć wiedziałaś doskonale, że ja bym do te-



go nie dopuścił. Jakim cudem wyrwałaś Lisette spod opieki Henry'ego i Julii?

- Nie musiałam. Zostawili ją pod opieką Harry'ego.

- Nie wierzę! Julia by tego nie zrobiła! Szczególnie w obecności Arandeza.

- Pani Barraclough nie wiedziała, że Arandez znajduje się w tym domu. Harry to znakomita partia i twoja bratowa nie widziała powodu, by go zniechęcać. Zostawiła ich więc razem. To ja przyprowadziłam do nich Arandeza. Pragnął porozmawiać z Lisette.

- Jeżeli Lisette stała się przez to jakakolwiek krzywda - oświadczył ochryple - to pożałujesz, że się urodziłaś!

Octavia poczuła lęk, ale odważnie stawiała Edwardowi czoło.

- Skończ z tym uporem! Stało się tak, jak przewidziałam. Lisette bardzo wydorosłała od wyjazdu z wyspy. Wystarczyło kilka minut z Arandezem, by przekonała się, że całkiem wywietrzył jej z głowy. Spójrz na nią, zamiast mi grozić. Czy wygląda na dziewczynię, która mogłaby znowu wpaść w jego sidła?

Edward spojrział w drugi koniec pokoju, gdzie pojawiła się Lisette w towarzystwie Harry'ego. Zbliżali się, oboje roześmiani. Od dawna nie widział swej bratanicy równie swobodnej.

- Edwardzie. Porucznik Petrie powiedział, że już się spotkaliście. A tak chciałam sama ci go przedstawić. Dlaczego jesteś taki wściekły? Ciocia Julia go polubiła. Zostawiła nas samych...

- O czym rozmawiałaś z Arandezem?

Lisette rozpoznała się, podeszła do stryja i wzięła go za rękę.

- Nie musisz się martwić o Ricarda, Edwardzie. Nie popełnię głupstwa. Dziś przekonałam się, że jestem już całkowicie wyleczona. Powiem mu to przy najbliższej okazji.

Edward zachmurzył się jeszcze bardziej.

- Nie będziesz z nim rozmawiać, Lisette!

Octavia chrząknęła, odwrócił się więc do niej i spojrzał wrogo.

- Chyba stosuje pan nazbyt drakońskie metody. Pan Arandez jest protegowanym mojego szwagra i będzie przyjmowany we wszystkich domach. Lisette nie uniknie spotkań z nim.

Edward zwrócił się do Harry'ego.

- Panie poruczniku, muszę zamienić kilka słów z pańską siostrą. Czy mógłby pan zaopiekować się przez chwilę moją bratanicą?

- To zależy od Tawy. Od tego, czy ma ochotę wysłuchać, co pan ma jej do powiedzenia. Wygląda na to, że nie zamierza pan rozmawiać z nią o pogodzie.

- Przysięgam, że jej nie uduszę, choćby pokusa była wyjątkowo silna.

- Zabierz Lisette, Harry - poprosiła Octavia. - Nie patrzcie na mnie oboje z takim niepokojem. Nie boję się pana Baraclough.

Harry uśmiechnął się i powiedział:

- Jeśli tak, to niczego bardziej nie pragnę. Panno Baraclough, chodźmy poszukać czegoś do jedzenia.

- A powinnaś - stwierdził Edward po ich odejściu.

- Bać się siebie? Nigdy.

- Pojawienie się Arandeza w Londynie, i to w tak dystyngowanym towarzystwie, całkowicie sumienia sytuację - oznajmił.

- Najwyraźniej postanowiłaś zignorować moje prośby, jestem więc zmuszony powiedzieć ci o nim coś więcej.

- Chciałabym to usłyszeć.
- Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?
- W bibliotece. Tam nikt nie powinien nam przeszkadzać.
- A nie boisz się plotek, gdyby nas ktoś zauważył? Pamiętam, że nie tak dawno bardzo się martwiłaś o swą reputację.
- To drobiazg w porównaniu ze sprawą Lisette. Proszę za mną.



## Rozdział piętnasty

W bibliotece, pomieszczeniu bardzo rzadko używanym, a już nigdy przez księcia, Octavia ostro spojrzała na Edwarda.

- Słucham. Ostrzegam, że nadal będę robiła to, co uważam za słuszne, nie przejmując się twoimi uprzedzeniami wobec Arandeza. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, czym się tak przejmujesz. Lisette powiedziała przed chwilą, że już nie jest w nim zakochana, co zresztą przewidziałam. Powinna spotkać się z nim i wyjaśnić mu to tak, żeby nie było żadnych wątpliwości, a wówczas Arandez nie będzie jej więcej niepokoił.

- Uprzedzenia! - Edward krążył po bibliotece, kipiąc z gniewu. Wreszcie zatrzymał się przed Octavią i rzucił gwałtownie: - Po prostu nie wiem, jak to powiedzieć! Nawet Julia nie zna całej prawdy. Widzę jednak, że jeśli tego nie zrobię, to gotowa jesteś najjacić się na niebezpieczeństwo i pociągnąć Lisette za sobą.

- Z pewnością spór o granicę nie może być aż tak poważny.

- A więc, twoim zdaniem, o to poszło?

- Tak sądzi Lisette.

- I tak ma pozostać. Proszę mi dać słowo, że Lisette nie porawdy.

Octavia zawahała się, ale po chwili obiecała dochować tajemnicy.

- Dwa lata temu Arandez porwał i zgwałcił szesnastoletnią dziewczynę. Zmarła.

Octavia spojrzała na Edwarda ze zgrozą i usiadła.

- Nie wierzę - powiedziała.

- Przysięgam, że to prawda. Wiedzieliśmy, że na plantacji Arandezów wyjątkowo okrutnie traktowano niewolników, ale na wyspie okrucieństwo wobec niewolników nie jest uważane za zbrodnię. To jedna z przyczyn, dla których wyjechałem stamtąd i zostałem bankierem. Ta dziewczyna nie była niewolnicą. Arandez powinien zostać postawiony przed sądem i ukarany, ale jej rodzina nie należała do zamożnych i ojciec Arandeza zapłacił im za milczenie. - Edward widział, że Octavia jest wstrząśnięta. Dał jej parę chwil, po czym dodał: - Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę, by Lisette miała z nim cokolwiek wspólnego?

- Tak, ja... ja... Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien! - zawołał niecierpliwie. - Czy sądzisz, że mógłbym rzucać takie oskarżenia, nie mając całkowitej pewności? Spotkałem rodziców tamtej dziewczyny, rozmawiałem z władzami.

- Ale on robi wrażenie porządnego człowieka!

- To jego największy atut.

- A ja zachęcałam Lisette do rozmowy z nim... - Octavia ukryła twarz w dłoniach.

- Właśnie! - Obserwował ją przez chwilę, wreszcie powiedział: - Chciałem ci tego oszczędzić...

Octavia podniosła głowę.

- Wówczas bym cię nie posłuchała. Przyznaję, że masz powód do gniewu. Ja... proszę o wybaczenie.

Na twarzy Edwarda pojawił się uśmiech. Wziął Octavię za rękę i pomógł jej wstać z fotela.

- Znowu to zrobiłaś, Octavio - powiedział - doprowadzasz mnie do białej gorączki, a ja nie potrafię nad sobą zapanować. Dlaczego, do licha?

- Nie... nie wiem.

- Ciągłe snuję fantazje o tobie - wyznał, wpatrując się w jej usta. - Czasem niespodziewanie wraca do mnie wspomnienie tamtego pokoju w wieży...

- Do mnie też - szepnęła.

Powoli przyciągnął ją do siebie.

- Octavio! - wyszeptał i pochylił głowę, żeby ją pocałować.

Zatracili się w bliskości, napiętność narastała... Nagle oprzytomnieli. Octavia wpatrywała się w Edwarda.

- Co to jest? - zapytała oszołomiona. - Ta magia pozostała. Tak bardzo starałam się zapomnieć. Powiedziałeś, że mną nie gardzisz, ale...

- Przestań! - zawołał szorstko. - Nie wolno ci wygadywać takich rzeczy, nie wolno ci nawet o tym myśleć. Nie gardzę tobą, Octavio. To sobą pogardzam za słabość.

- Miłość nie jest słabością.

Mocniej otoczył ją ramionami. Przez moment wydawało się, że znowu ją pocałuje. Potem powiedział tak, jakby przymocowaną wydzierał z siebie słowa:

- Dla mnie jest! Mam dla ciebie więcej uczucia niż dla kogokolwiek innego. Ktoś mógłby to nawet nazwać miłością, ale to za mało. Nie zamierzam się żenić. Wątpię, czy kiedykolwiek będę miał na to ochotę. Nigdy nie chciałem się wiązać, zato-

nać w domowym ciepełku, nawet z tobą. Zbyttnio cię szanuję, by proponować cokolwiek innego.

Znowu to samo. Koniec nadziei. Octavia miała ochotę kłócić się z nim, krzyczeć, przekonywać, jakim jest głupcem, odrzucając z błahych powodów wszystko, co mogli sobie nawzajem dać. Powstrzymała ją duma. Nie będzie błagać o miłość.

- Nie wiem, czy potrafiłabym wybaczyć tego typu propozycję. - Urwała, ale po chwili podjęła: - A jeśli chodzi o małżeństwo... Byłeś bardzo bezpośredni, zrewanżuję się więc tym samym. Ponieważ nie zamierzasz prosić mnie o rękę nie dowiesz się, czy zostałbyś przyjęty. Podobnie jak ty unikałam dotychczas małżeństwa i nie byłoby mi łatwo zrezygnować z niezależności. Może uznałabym nawet, że ewentualne koszty przewyższają to, co mógłbyś mi zaoferować. Łączące nas uczucie, choć silne, okaże się zapewne krótkotrwałe. Wygasnie, jeśli będziemy się rzadziej widywać, co niewątpliwie nastąpi.

- Octavio!

Mówiła dalej, jakby jej w ogóle nie przerwał.

- Czas wrócić do salonu, do Lisette i pozostałych. Dziękuję, że okazałeś mi zaufanie i zdradziłeś szczegóły dotyczące Arandeza. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby chronić przed nim Lisette. Czy chcesz, żebym porozmawiała o tym z siostrą lub szwagrem?

Edward zmarszczył czoło, wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale zrezygnował i podjął jej grę.

- Chyba nie - odparł. - Jeśli nie można powiedzieć wszystkiego, lepiej nie mówić nic. Znajdę sposób, żeby rozprawić się z Arandezem.

Octavia kiwnęła głową i oboje wyszli z biblioteki. Musiała bardzo się starać, żeby wyglądać normalnie, kiedy wmieszali

się w tłum. Nie otrząsnęła się jeszcze z szoku po tym, czego dowiedziała się o Arandezie, nie mogła zapomnieć, że naraziła Lisette na straszliwe niebezpieczeństwo.

Rozglądali się po pokoju w poszukiwaniu Lisette

i Harry'ego, ale nie mogli ich dostrzec i twarz Edwarda stawała się coraz bardziej ponura.

- Myślałem, że można mieć zaufanie do twojego brata. Wydawało mi się, że będzie umiał odpowiednio się nią zaopiekować - rzekł ze zniecierpliwieniem. - Gdzie oni się podziwiają?

Octavia dostrzegła skrawek żółtego materiału pomiędzy roślinami w ogrodzie zimowym. Zamknęła oczy. Awantura pomiędzy Edwardem Barraclough a jej bratem byłaby już dla niej nie do zniesienia.

- Chyba poszli tam - szepnęła.

Edward spojrzął i zaklął.

- Cholemy szczeniaku! Nie powinienem zostawić z nim Lisette! Chodźmy! - Ruszył tak szybko, że Octavia musiała niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku.

Harry i Lisette wcale nie rozkoszowali się czołowym *tete-a-tete*. Był z nimi Arandez. Octavia i Edward przyszli w momencie, gdy Harry mówił cichym, ale groźnym głosem:

- Powiedziałem ci, Arandez! Pozwól pani i Barraclough odejść!

- Idź do licha, to moja narzeczona! - warknął Arandez.

- Nie, Ricardo! Dlaczego nie chcesz mnie słuchać? Przykro mi, ale nie zamierzam za ciebie wyjść. Zostaw mnie w spokoju. - Lisette była wyraźnie wyrażona z równowagi.

- Nigdy! - Arandez przyciągnął ją do siebie.

Zawył z bólu, kiedy Harry uderzył go w ramię kantem dło-



ni, a potem odepchnął. Odsunął na bok Lisette i spokojnym, kojącym głosem poprosił, by wróciła do ciotki, a on rozprawi się z jej dręczycielem.

- Ja się nim zajmę, panie Petrie - stwierdził Edward i wysunął się do przodu. - Będę zobowiązany, jeśli zaopiekuje się pan Lisette i swoją siostrą. Proszę je stąd zabrać.

- Przejdźmy tędy, Lisette - zaproponowała Octavia. - Nie będziemy musiały przepychać się przez tłum. Dojdiesz do siebie w moim pokoju. Idziesz z nami, Harry?

Twarz Harryego płonęła gniewem.

- Chyba zostanę, jeśli nie masz nic przeciw temu - rzucił gwałtownie. - Na wypadek, gdyby ten gagatek próbował znowu jakichś sztuczek. Zabierz Lisette w bezpieczne miejsce.

Octavia nie dyskutowała.

Po pewnym czasie usłyszała pukanie do drzwi. To był Harry.

- Przyszedłem sprawdzić, jak się czuje panna Barraclough - powiedział.

- Odpoczywa. Właśnie zamierzałam zeiść na dół i poszukać jej ciotki. Myślę, że powinna wrócić do domu. Gdzie Arandez?

- Odszedł - odparł lakonicznie Harry. - Już go nie zobaczysz. Barraclough dał mu jasno do zrozumienia, że nie jest tu mile widzianym gościem. Podejrzewam, że już nigdy nie usłyszymy o tym człowieku. Nawet ktoś znacznie odważniejszy od Arandeza wolałby nie zadzierać z Barraclough, zapewniam cię.

- To dobrze. Czy mógłbyś poszukać pani Barraclough? Wolałabym zostać z Lisette.

- Lepiej nie. Ciocia Julia narobi tylko zamieszania. Jeśli Ricardo zniknął, to mogę zejść na dół. - Uśmiechnęła się do Harryego. - Chciałabym podziękować porucznikowi Petrie za opiekę. I... nie skosztowałam jeszcze tych smakołyków.

Octavia z podziwem patrzyła na Lisette, która jeszcze parę minut temu wyglądała na osobą na skraju załamania, a teraz uśmiechała się szeroko do Harryego.

- Zaczeka pan na mnie? - zapytała. - Muszę tylko trochę doprowadzić się do porządku.

Harry kiwnął głową.

Octavia pokazała bratu znak zwycięstwa, po czym zamknęła mu drzwi przed nosem i poszła pomóc Lisette.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. Kiedy Harry... porucznik Petrie jest przy mnie, przestają się denerwować.

- W rozmowie ze mną możesz nazywać go Harrym - zauważyła rozbawiona Octavia - ale twój stryj nie powinien tego usłyszeć.

- Miała pani rację, lady Octavio. Teraz, kiedy powiedziałam już wszystko Ricardowi, czuję się znacznie lepiej. Wreszcie się od niego uwolniłam. - Zamilkła, po czym dodała nieśmiało:

- Harry jest jeszcze miłszy niż w moich wspomnieniach.

- Cieszę się, że tak myślisz, bo sama bardzo go lubię. Musisz jednak bardzo uważać przy stryju. Nie przepada za Harrym, choć nie ma mu nic konkretnego do zarzucenia.

- Przejdzie mu. Tym bardziej że Harry zdobył aprobatę cio-ci Julii. Możemy zejść na dół?

Lisette otworzyła drzwi i wzięła Harry'ego pod rękę. Zmiana, jaka w niej zaszła - to nagle opanowanie, pewność siebie - była wręcz niewiarygodna. Czyżby zawdzięczała to wyłącznie wyznaniu Arandezowi, że już go nie kocha? Octavia w zamyśleniu

obserwowała parę schodzącą po schodach. Wyglądało na to, że przynajmniej dla nich wszystko dobrze się skończy.

Wróciła do swojego pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Edward Barraclough przyznał, że ją kocha, ale natychmiast odebrał jej wszelką nadzieję na małżeństwo. Co za głupiec. Z ust Octavii wyrwał się szloch, choć jej oczy pozostały suche. Co robić? Na pewno nie zejdzie do gości. Nie potrafi udawać, że nic się nie stało. Potrzebuje czasu...

Arandez nie zamierzał cierpieć, rezygnując z zemsty. Nie mógł się dłużej oszukiwać, że Lisette go kocha, ale z niej nie zrezygnował. Dziewczyna była zbyt bogata i piękna, by poniechał jej bez walki. Chwilowo nie miał szans, by się do niej zbliżyć, zbyt dobrze jej strzeżono. Jednak dopóki nie wyszła za mąż, dopóty istniała dla niego nadzieja. Był pewien, że jeszcze przyjdzie jego wielka chwila.

Zauważył, że w miarę upływu czasu świat coraz bardziej się przed nim zamykał. Coraz rzadziej bywał zapraszany do domów śmietanki towarzyskiej, rosła więc pokusa korzystania z uciech oferowanych przez londyński półświatek, gotowy zaspokajać zachcianki najbardziej zdeprawowanych klientów. Im głębiej się pograżał, tym bardziej marzył o zemście. Przystęgał, że Lisette pożałuje tego, co mu zrobiła. Próbował postępować z nią honorowo, ale rzuciła mu ten honor w twarz. Subtelne metody - perswazja, wymówki, wzruszające opowieści o jej ojcu - okazały się bezużyteczne. Nie pozostało mu więc nic innego, jak użycie siły. Przyjdzie jeszcze jego czas, a wtedy ona zapłaci za wszystko. Czekał na odpowiednią chwilę, a służącym rozkazał pilnie śledzić Lisette.

Od tamtego wieczoru Octavia niemal straciła kontakt z Edwardem Barraclough. Nietrudno jej było go unikać. Wielu dżentelmenów pragnęło towarzyszyć lady Octavii, tańczyć z nią i rozmawiać. Można powiedzieć, że odniosła równie wielki sukces towarzyski jak Lisette. Pokazywała światu pogodną twarz i nikt nawet nie podejrzewał, że ma złamane serce.

Pod koniec sezonu, gdy Londyn dusił się w upale i kurzu, coraz częściej wracała myślami do Wychford, do jego zieleni, jeziora, chłodnego cienia drzew. Upłynął już czas sześciomiesięcznej dzierżawy, a ona zrealizowała cel pobytu w Londynie. Jane miała guwernantkę, Lisette odniosła sukces, o jakim można tylko marzyć, i spodziewano się jej zaręczyn z Harrym Petrie.

Wyglądało na to, że wszyscy poza nią są szczęśliwi. Życie w stolicy wydawało jej się równie jałowe, a wielbiciele równie nudni jak pięć lat temu i bywanie w towarzystwie stawało się dla niej z każdym dniem trudniejsze do zniesienia. Skwapliwie skorzystała z pierwszego pretekstu do wyjazdu.

Pretekst ten pojawił się podczas odwiedzin w domu rodziny Barraclough przy South Audley Street. Harry, jak zwykle, całkowicie skupił się na Lisette, Octavia była więc skazana na towarzystwo Julii. Jej opanowanie zostało wystawione na próbę, bo Julia wdała się w długie dywagacje na temat zachowania Edwarda Barraclough.

- Nigdy nie podchodził do obowiązków tak poważnie, jakbym sobie tego życzyła, ale nie podejrzewałabym go jednak o coś podobnego. Jest na ustach całego Londynu. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Jakby celowo próbował skompromitować rodzinę. Pije, gra hazardowo i, jak twierdzi Henry,

traci fortunę na tę... na tę swoją harpię! - Julia uświadomiła sobie nagle, że popełniła niedyskrecję i dodała pospiesznie:  
 - Co ja mogę o tym wiedzieć. Przyzwoita kobieta nie powinna nic o tym wiedzieć.

Wreszcie, ku ogromnej uldze Octavii, Julia porzuciła temat niegodnych postępów Edwarda Barraclough i przeszła do obgadywania pozostałych członków rodziny. Nie miała jednak nic dobrego do powiedzenia. Martwiła się o Jane.

- Co się stało? - zainteresowała się Octavia. - Kiedy widziałam ją ostatnio, była blada. Jest chora?

- Właściwie nie, ale obawiam się, że Londyn jej nie służy. Ciągłe mówi o Wychford. Ma świetną guwernantkę, która pokazała jej chyba wszystkie godne uwagi miejsca w Londynie, ale zna pani Jane. Rozpiera ją energia, a Londyn to nie najlepsze miejsce dla dziecka w jej wieku i z jej temperamentem. Nie wiem, jak sobie z nią poradzimy po wyjeździe panny Cherrifield.

- Po wyjeździe? Myślałam, że zostanie tak długo, jak będzie to konieczne.

- Kiedy ją zatrudniłam, obiecałam jej trzy tygodnie wolnego na początku maja, bo miała wcześniejsze zobowiązania. Nie wyobrażam sobie jednak, jak Jane sobie bez niej poradzi. Każdą chwilę poświęcam opiece nad Lisette. Ten łajdak Arandez nadal przebywa w Londynie, Edward i Henry żądają więc, aby nawet na krok nie ruszała się bez przyzwoitki. Oczywiście pani brat jest bardzo miły. Poświęca jej mnóstwo czasu.  
 - Spojrzała z zadowoleniem na Lisette i Harry'ego, którzy siedzieli w drugim końcu pokoju. - Chyba będzie z nich para, jak pani sądzi? Nie mogą jednak zostawać zbyt długo sami. A to oznacza, że mam bardzo mało czasu dla Jane.

- A może ja zaopiekowałabym się Jane pod nieobecność

panny Cherrifield? - zapytała Octavia po krótkim namyśle.

- Zateśniłam za Wychford i chętnie wezmę ją z sobą.

Julia spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Chce pani opuścić Londyn przed zakończeniem sezonu?

Octavia potwierdziła.

- Szokujące, prawda? Marzę o ucieczce z Londynu. Towarzystwo Jane stanowi dodatkową atrakcję. Mogę ją zabrać do Wychford?

- Oczywiście, nie przestaje mówić o tym domu. - Ton Julii zdradzał jej nie najlepszą opinię o Wychford.

- A więc ustalone? Za tydzień, dobrze? Świetnie! Jane może u mnie zostać tyle czasu, na ile pani pozwoli. Panna Cherrifield mogłaby do nas dołączyć. Wątpię, czy wrócę do Londynu.

- Nie potrafię nawet wyrazić wdzięczności! Poślę po Jane, niech pani sama jej powie.

Octavię szczerze zmartwił widok Jane. Nie dostrzegła w niej dawnej energii i radości życia. Kiedy usłyszała zaproszenie Octavii, pobladała z emocji.

- Naprawdę?! Naprawdę? Och, panno Petrie, to znaczy lady Octavio, jaka pani dobra! Lisette, słyszałaś? Wracam do Wychford!

Oczywiście decyzja lady Octavii Petrie wzbudziła zrozumiałe zdumienie wielu osób. Gussie protestowała, ale Octavia pozostała nieugięta. Była zmęczona Londynem i wysłuchiowaniem plotek o ekscesach Edwarda Barraclough. Podejrzewała, że próbuje o niej zapomnieć, i wołała nie widzieć, jak wreszcie udaje mu się zerwać tę tajemniczą, delikatną nić, która go przy niej trzymała.

Po pełnym zajęć tygodniu wyruszyła więc wraz z Jane

i niewielką grupką służby do Wychford. Kiedy wjechały w aleję, Jane ledwo powstrzymywała podniecenie.

- Proszę spojrzeć, panno Petrie, proszę spojrzeć! Świat się uśmiecha! - Odwróciła się. - Przepraszam, chciałam powiedzieć lady Octavio.

- Możesz mnie nazywać, jak zechcesz, Jane. Nie mam nic przeciwko temu. - Wyjrzała. - Rzeczywiście, masz rację!

Dzień był słoneczny, lecz wietrzny i gałęzie poruszały się przy mocniejszych podmuchach jak w tańcu. Ich cienie, odbite w oknach Wychford, sprawiały, że dom zdawał się cieszyć na ich widok, co podniosło Octavię na duchu.

Oczekująca ich pani Dutton spokojnie przyjęła nowinę, że „panna Petrie” jest właścicielką majątku.

- Zawsze podejrzewałam, że coś w pani jest, milady! Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z tego, co zrobiliśmy w domu. Naprawa schodów została ukończona i choć ludzie dotąd nie rozumieją, jak doszło do wypadku, to teraz są już z całą pewnością bezpieczne. Umieściłam Jane w pokoju w wieży, nie byłam jednak pewna, który pokój wybierze pani dla siebie. Przygotowałam zarówno główną sypialnię, jak i pani dawny pokój.

Octavia zauważyła błagalne spojrzenie Jane.

- Będę spała w dawnym pokoju, pani Dutton. Dziękuję.

Wkrótce obie się rozgościły i wyruszyły na obchód włości. Octavia nie czuła takiego euforycznego szczęścia, jak jej mały gość, ale i na nią spłynął spokój. Nie zgodziła się jednak wejść do pokoju na szczycie wieży. Powiedziała Jane, że zginął klucz do tego pomieszczenia.

W tym samym czasie Edward Barraclough toczył w Londynie z góry przegraną bitwę. Od pamiętnej sceny w biblio-

tece Monteithów bardzo rzadko widywał Octavię, a kiedy się spotykali, zachowywała się inaczej niż dawniej. Czasami odnosił wrażenie, że ma do czynienia z obcą osobą. Najwyraźniej przekreśliła ich zadziwiająco bliską znajomość i pokazywała mu teraz takie oblicze lady Octavii Petrie, jakie znał świat. Była czarująca, doskonale wychowana i daleka. Wyniosła, jak mówił Stainforth. Edward powinien być z tego zadowolony, ale, prawdę mówiąc, nie mógł tego znieść.

Gdy dowiedział się, że Octavia zamierzała opuścić Londyn, chciał biec do domu Monteithów, żeby ją jeszcze raz zobaczyć, i musiał zmobilizować całą siłę woli, by oprzeć się pokusie. Miał ją błagać, żeby została, uśmiechnęła się do niego i porozmawiała jak dawniej, by znów stała się jego Octavią? Nie, przecież nadal był zdecydowany unikać małżeństwa. Lepiej, że wyjechała, że nie będzie mu bez przerwy przypominała, jak to było między nimi, że nie będzie ciągle oglądał jej dumnie uniesionej głowy, miodowozłotych włosów, nie będzie nieustannie wodzony na pokuszenie. Był pewien, że kiedy Octavia zniknie mu z oczu, zdoła o niej zapomnieć. Tego potrzebował - jej nieobecności i czasu.

Okazało się, że nie miał racji. Bez niej Londyn wydawał mu się pustynią, na której nie chciało się żyć, na której nie warto żyć. Louise nie potrafiła podnieść go na duchu i po kolejnej kłótni zerwał ich związek. Wkrótce zresztą znalazła sobie kogoś innego. Hazard przestał go interesować, nawet operacje bankowe, uznał za mało zabawne. Stracił cierpliwość do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, obraził kilku ważnych dżentelmenów.

Z niechęcią obserwował jawne szczęście Lisette i Harry'ego, a że nie mógł znaleźć żadnego powodu do sprzeciwu wobec tego związku, rnuśiał się przyznać sam przed sobą, że zżera go



zazdrość. Kiedy Harry poprosił o rękę Lisette, Edward zdołał zapanować nad sobą i uprzejmie wyraził zgodę.

Wieczorem wrócił do pustego domu przy North Audley Street. Ogień na kominku wygasł, wszędzie panowała głucha cisza, a on usiadł ciężko. Pił brandy i rozważał kompletnie fiasko swego doskonale zaplanowanego i zorganizowanego życia. Jak do tego doszło? Jeszcze we wrześniu spacerował po Berkeley Square, litował się nad zmuszonym do małżeństwa Trentonem i gratulował sobie w duchu beztrudnej, swobodnej egzystencji. Co poszło źle? Dlaczego przestało mu to wystarczać?

Po chwili wrócił myślą do innego niepokojącego problemu, to znaczy do zachowania Ricarda Arandeza. Coraz rzadziej widywano go w salonach, chociaż nadal przebywał w Londynie. Gdzie się podziewał? Dlaczego nie opuścił Anglii, skoro stało się jasne, że stracił Lisette? Ricardo Arandez nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają czy zapominają obrazę. Dopóki nie będzie pewności, że Arandez wrócił do Indii Zachodnich, dopóty Lisette musi być pilnowana przez cały czas.

Podjąwszy tę decyzję, Edward wrócił do najważniejszej sprawy. Co począć z własnym, głębokim poczuciem braku satysfakcji? W końcu zasnął, nie przyjmując do wiadomości rozwiązania, które samo się nasuwało. Po dwóch dniach okazało się, że w głębi duszy podjął decyzję.

Lisette tęskniła za Jane i Octavią. Martwiło ją także, że żadna z nich nie wiedziała o jej zaręczynach. Prośba o zgodę na odwiedzin w Wychford nie znalazła jednak zrozumienia u ciotki.

- Doprawdy, Lisette, to w najwyższym stopniu niedelikat-

ne! Wiesz przecież, że musiałabym ci towarzyszyć, a na samą myśl o tym domu przeszywa mnie dreszcz. Poza tym sezon dobiega końca i nie chciałabym stracić ani chwili, szczególnie balu u Marchantów! Na pewno możesz poczekać do tego czasu.

Harry zauważył rozczarowanie Lisette i wpadł na szczęśliwy pomysł, że sam ją zawiezie do Wychford. Julia jednak odmówiła.

- To niemożliwe. Nie przed oficjalnymi zaręczynami, a i po nich raczej niechętnie wyraziłabym zgodę. Nie, poruczniku Petrie, bardzo miło, że złożył pan taką propozycję, ale to nie do przyjęcia.

Julia miała jednak poczucie winy, które dręczyło ją do tego stopnia, że przy najbliższym spotkaniu powiedziała o tym Edwardowi.

- Poświęciłam się dla tej dziewczyny, doprowadziłam do jej zaręczyn z jednym z najbardziej pożądanym kawalerów i co dostałam w zamian? Ona chce mnie zawlec do domu, którego nie cierpię tylko po to, żeby zobaczyć się z młodszą siostrą. Przecież niczego im nie brakuje, Edwardzie. Zresztą to jeszcze nieoficjalne. Właściwe zaręczyny zostaną wyprawione później, kiedy lord Warnham wyrazi zgodę. Naprawdę chciałabym, żebyś porozmawiał z Lisette. Zamiast okazać mi wdzięczność, snuje się po domu z taką miną, jakbym popełniła zbrodnię. A przecież nie mogę się zgodzić, by podróżowała jedynie pod opieką porucznika Petriego. Nie tylko z uwagi na przyzwoitość, ale również bezpieczeństwo. Kręci się tu ten Arandez.

- Ja z nimi pojadę.

Spontaniczna propozycja Edwarda zaskoczyła ich oboje. Julia szybko otrząsnęła się z osłupienia i przyjęła ją z zachwytem. Zaraz zawołała Lisette, żeby przekazać jej wiadomość.

Edward czynił wszelkie przygotowania jakby w oszołomieniu, nadal niepewny, co właściwie popchnęło go do złożenia takiej propozycji.

Dopiero później, kiedy został sam, uświadomił sobie wreszcie, że odwożąc Lisette i Harryego do Wychford, zobaczy znowu Octavię, a niczego bardziej nie pragnął. Nie miał pojęcia, jak zostanie przez nią przyjęty ani jak sam się zachowa, ale przynajmniej przekona się, dlaczego nie może bez niej żyć.

Kiedy decyzja zapadła, życie nabrało nagle jaśniejszych barw. Świat wydał mu się znacznie sympatyczniejszy.



## Rozdział szesnasty

Kiedy skręcili w aleję wjazdową, Harry rozbawił towarzystwo opowieścią o tym, jak krył się wśród drzew podczas pierwszej wizyty. Nadal jeszcze się śmiali, kiedy powóz minął zakręt i ich oczom ukazał się dom. Edwarda ogarnęło nagle poczucie szczęścia. Wychford ze swoimi krzywymi szczytami dachu, roziskrzonymi oknami i dziwną małą wieżą wyglądał, jakby go zapraszał, oczekiwał. Tak, to odpowiednie określenie: oczekiwał.

Lisette zawiadomiła o ich przyjeździe i Jane na nich czekała. Na widpk powozu zeskoczyła z drzewa i z krzykiem pobiegła do domu.

- Już są, Octavio, już są!

Octavia stanęła w masywnych, drewnianych drzwiach. Wydawała się szczuplejsza i bledsza niż dawniej, ale na widok trójki gości jej policzki się zaróżowiły. Przez kilka minut pannaowało ogromne zamieszanie i podniecenie, bo siostry witały się entuzjastycznie.

- Nie spodziewałam się pana - stwierdziła chłodno Octavia, spoglądając na Edwarda. - Lisette pisała jedynie o sobie i o Harrym.

- Może mnie pani uznać za swego rodzaju przyzwoitkę - odparł.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak zimno zabrzmiały jego słowa. Na widok Octavii serce w nim stopniało. Zapomniał o całym świecie, myślał tylko o tym, jak wiele dla niego znaczy, pragnął zamknąć ją w ramionach i scałować wyraz bólu z jej oczu... Ale nie śmiał. Po raz pierwszy w życiu nie był pewien, jak zostanie przyjęty. Paraliżowała go myśl, że Octavia mogła wyzwolić się spod jego uroku i nie mieć ochoty, by jej dotykał. Dlatego, żeby powstrzymać się przed wzięciem jej w ramiona, starał się nadać głosowi jak najnormalniejsze brzmienie. Bardzo wiele go to kosztowało.

Octavia uśmiechnęła się i powiedziała:

- Julia nie zbliżyłaby się dobrowolnie do Wychford. Uważa ten dom za niebezpieczny. - Zrobiła krótką pauzę, po czym dodała: - Musi mi pan wybaczyć. Sytuacja jest raczej dziwna. Kiedy widzieliśmy się tutaj ostatnio, pan był pracodawcą, a ja guwernantką, teraz zaś... - Urwała i po chwili zaczęła od nowa. - Proszę do środka. Przygotowałam poczęstunek w małym saloniku, bo przecież nie spodziewałam się pana.

- Nie traktuj mnie jak kogoś obcego, Octavio! Proszę!

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie mam pojęcia, jak cię traktować. W seminarium nie uczono mnie, jak się zachować w takiej sytuacji. Proszę wejść, wszyscy czekają.

Edward wszedł do holu. Masywne kandelabry z brązu lśniły w promieniach słońca, które wpadały przez wysokie okna.

- Jane wygląda znacznie lepiej - zauważył Edward.

- Kocha Wychford - stwierdziła Octavia. - Doskonale się razem bawiliśmy.

- Psujesz ją.

- Wcale nie! Jej nie da się zepsuć. Będzie mi jej bardzo brakowało, kiedy wróci do ciotki. Lisette mnie zaskoczyła. Zawsze czułam, że doskonale do siebie pasują z Harrym, nie sądziłam jednak, że będzie tak promieniała. Czy słusznie zakładam, że Harry zyskał już twoją aprobatę?

- Poczekaj chwilę, sami ci powiedzą.

Octavia zaprowadziła go do małego saloniku. Na stole stała taca ze szklaneczkami i naszykowanymi przez panią Dutton smakołykami. Obok znajdowało się wiaderko z lodem, z którego wystawała szyjka butelki szampana. Zawahała się, po czym zwróciła się do Edwarda.

-Mógłbyś...?

Edward odkorkował butelkę i wlał pienisty płyn do wysokich kieliszków. Octavia podała je wszystkim obecnym, nie wyłączając Jane, choć dziewczynka dostała tylko odrobinę.

- Przede wszystkim: witajcie w Wychford. - Octavia wzniosła kieliszek i z lekkim uśmiechem na ustach spojrzała wyczekująco na swego brata i Lisette.

Harry odchrząknął.

- Tavy, przyjechaliśmy prosić cię, byś życzyła nam szczęścia. Lisette i ja... To znaczy... Lisette zgodziła się wyjść za mnie, a jej opiekunowie wyrazili zgodę.

Jane wydała radosny okrzyk, a Octavia uśmiechnęła się szeroko.

- Kochani, co za wspaniała wiadomość. - Odstawiła kieliszek i objęła Lisette. - Harry, zawsze miałeś największe szczęście w rodzinie, ale tym razem przeszedłeś samego siebie. Chyba nikogo nie pragnęłabym bardziej mieć za siostrę.

- Pani pozwoli, lady Octavio... - powiedział Edward. - Za Harryego i Lisette! Sto lat i dużo szczęścia!

Wszyscy spełnili toast. Jane była tak podekscytowa-

na, że ledwo spróbowała wina i, przeprosiwszy wszystkich pobiegła do swojego pokoju. Miała coś dla Lisette. Kazała im obiecać, że nie będą omawiać żadnych planów pod jej nieobecność.

Zapadła cisza. Harry odprowadził Lisette na stronę. Edward popatrzył na Octavię. Przez chwilę chłonęli wzajemną bliskość. Wreszcie Octavia odwróciła się od niego.

- Nic z tego! Ja nie mogę, nie chcę... - Urwała i odetchnęła głęboko. - Ciekawe, gdzie się podziała Jane! - zawołała z udawaną wesołością. - Chyba powinniśmy sprawdzić.

Weszli do holu i stanęli jak wryci. Zobaczyli przerażoną panią Dutton, otoczoną przez uzbrojonych w pistolety mężczyzn.

- Milady! Wdarli się do środka, kiedy uchyliłam drzwi. Nie mogłam ich zatrzymać. - Krzyknęła, kiedy jeden z mężczyzn wepchnął ją do kwatery dla służby i zamknął drzwi na klucz. Odwrócił się i spojrzał pytająco na swego przywódcę, nadal trzymając pistolet w pogotowiu.

Harry impulsywnie zrobił krok do przodu i broń natychmiast została w niego wycelowana.

- Nie ruszać się! - warknął Ricardo Arandez. - Moi przyjaciele tylko czekają na okazję, żeby sobie postrzelać. - Było ich czterech, nie licząc wodza, ale doświadczone oko Edwarda zauważyło, że wyglądali dość marnie. Jednak mężczyźni z bronią są niebezpieczni.

- Rób co on każe, Petrie - poradził Edward ze wzrokiem utkwionym w Arandeza. - Tu nie ma miejsca na martwych bohaterów.

Arandez obszedł dookoła stół w drugim końcu holu, za plecami swoich ludzi. Octavia była przerażona zmianami, jakie w nim dostrzegła. Wszelkie podobieństwo do Toma Payne'a zniknęło. Był wychudzony, błydy, jego twarz znaczyły plamy,

a niebieskie oczy były przekrwione. Wyglądał na półprzytomnego, nie przestawał jednak być niebezpieczny.

Arandez zauważył, że Edward i Harry oceniają swoje szanse wobec zbliżających się napastników i zawołał pośpiesznie:

- Nie podchodźcie do nich, idioci! Nie widzicie, że rzuca się na was, jeśli znajdziecie się w zasięgu ręki? Wycelujcie broń w tę piękną damę w żółtej sukni, moją przyszlą żonę. Jeśli ktośkolwiek się ruszy, strzelać. Nikt nie ośmieli się drgnąć, prawda, Barraclough? Bo inaczej Lisette zginie. Ona jest gwarancją mojego bezpieczeństwa.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Edward ochrypłym głosem.  
- Oszalałeś, Arandez!

- Możliwe. Będę miał Lisette, nawet gdybym musiał najpierw was wszystkich pozabijać. Mogę właściwie zacząć od ciebie, Barraclough. To ty odpowiadasz za wszystkie moje problemy. Twój cholerny braciszek był uszczęśliwiony perspektywą mojego małżeństwa z Lisette, póki nie opowiedział mu o moich wyczynach. Tak! Mogę zacząć od ciebie!

- Uniósł pistolet i wycelował w Edwarda. - Błagaj o życie, Barraclough, albo zaraz zginiesz!

W tej pełnej napięcia chwili, kiedy oczy obecnych były utkwione w Arandezie i Edwardzie, Octavia dostrzegła kątem oka ruch na galerii dokładnie nad głową Arandeza. Jane po cichu wspinała się na balustradę. Wszyscy napastnicy stali tyłem, więc nie widzieli dziewczynki.

Octavia wstrzymała oddech i zerknęła na Edwarda. Zrozumiała, że i on zauważył Jane. Rzucił szybkie spojrzenie Harryemu i nagle zawołał podniesionym głosem:

~ Co mam ci powiedzieć, Arandez? Że żałuję? Mogę nawet powiedzieć coś w tym rodzaju, ale niech twoi ludzie przestaną



celować w Lisette. Moim zdaniem, nie wyglądają na godnych zaufania. Czy chcesz, żeby ona zginęła?

Jane była już na szczycie balustrady.

- Dobrze - odparł Arandez. - Naprawdę chciałbym usłyszeć, jak się płaszczysz, Barraclough. Zróbcie, co każe.

Jego ludzie opuścili broń. W tej samej chwili rozległ się mrozący krew w żyłach okrzyk i Jane skoczyła z góry na ramiona Arandeza. Zatoczył się i strzelił prosto w sufit. Z rykiem wściekłości odrzucił niepotrzebną już broń i próbował uwolnić się od Jane. Ta chwila zamieszania dała Edwardowi i Harry'emu oczekiwaną szansę. Kopnia kami i ciosami pięści błyskawicznie rozłożyli na podłodze wszystkich czterech rzezimieszków Arandeza i odebrali im broń.

Arandez nadal szarpał się z Jane. Octavia ze zgrozą zauważyła, że wyciągnął nóż i wyraźnie zamierzał się nim posłużyć, by oswobodzić się z kurczowego uścisku dziecka. Rzuciła się na niego z krzykiem:

- Nie! Nie, nie wolno!

Uwiesiła się całym ciężarem na ręce trzymającej nóż, by ją opuścić, jak najdalej od dziewczynki. Wyrwał rękę i z przekleństwem odrzucił Octavię od siebie z taką siłą, że upadła na ziemię i uderzyła głową o krawędź kominka.

Edward podniósł się akurat w momencie, kiedy Octavia upadła, i pochylił się nad nią. Jane już klęczała przy niej.

- Umarła! - zawodziła Jane. - Octavia umarła!

Edward wziął Octavię w ramiona.

- Nie bądź głuptasem - powiedział szorstko. - Wcale nie umarła. Nie mogła umrzeć. Nie ma prawa umrzeć. - Szukał palcami pulsu na szyi Octavii.

Przez hol przebiegł nagle niespodziewany powiew wiatru

i rozkołysał ogromny żyrandol. Arandez zrobił kilka kroków w stronę Lisette.

-Lisette... - zaczął niepewnie i wyciągnął ku niej rękę w błagalnym geście.

Zaczepy żyrandola wiszącego mu nad głową puściły nagle z chrzęstem i ciężki metal runął na niego, a za nim masa tynku i kurzu. Hałas był ogłuszający. Zmiażdżony Arandez upadł na ziemię. Zapadła cisza.

Przerwał ją Edward.

- Wyczuwam puls! Ona żyje. - Dopiero teraz podniósł głowę i zauważył, co się stało. - Mój Boże! - mruknął wstrząśnięty. Dostrzegł służbę, która wyłamała drzwi i stała stłoczona na końcu holu. - Sprawdźcie, czy można pomóc temu nieszczęsnemu nikczemnikowi. I pošlijcie po doktora. Natychmiast!

Harry uspokoił Lisette.

- Trzeba położyć Octavię do łóżka. Pozwól, że ją zaniosę - powiedział, pochylając się nad siostrą.

- Zostaw ją! - mruknął Edward stanowczym tonem i odpechnął go. - Ona jest moja! Kocham ją i jest moja! Ja ją zaniosę!

Harry popatrzył na niego ze zdumieniem, ale nie dyskutował. Edward uniósł Octavię i ruszył w stronę schodów. W pewnym momencie powiedział, oglądając się przez ramię: - Niech Lisette zajmie się Jane. Ma zakrwawione kolano. Sprawdź, co z Arandezem, Harry. Wątpię, czy można jeszcze coś dla niego zrobić, ale trzeba się upewnić. Nie pozwól dziewczętom zbliżać się do niego i przyprowadź doktora do pokoju Octavii, gdy tylko przyjedzie.

Edward powoli wnosił Octavię po schodach. Położył ją na łóżku i przykrył, a potem ukląkł przy niej. Ukrył twarz w pościeli i szepnął łamiącym się głosem:

- Na Boga, Octavio, nie zostawiaj mnie teraz, kiedy wreszcie przekonałem się, jak wiele dla mnie znaczysz. - Spojrzał na jej białą twarz i granatowy siniak na skroni i powiedział z rozpaczą: - Do licha, nie wolno ci umrzeć, Octavio! Bez ciebie nie zaznam szczęścia, radości. Musisz żyć! Musisz dać mi czas, bym mógł ci powiedzieć, jak jesteś mi droga! Pragnę się z tobą ożenić, opiekować się tobą, żyć z tobą! Tak bardzo cię kocham! Nie potrafię bez ciebie żyć! Błagam, ocknij się!

Octavia otworzyła oczy.

- Edward - stwierdziła z zadowoleniem. - Czy to twoje słowa słyszałam? Mówiłeś, że chcesz się ze mną ożenić?

Już zaczął mówić, jak bardzo tego pragnie, gdy nagle umilkł i przyjrzał jej się uważniej.

- Ty diabolic! Wszystko słyszałaś!

- Większość - oznajmiła.

- Czy to znaczy, że pozwoliłaś mi się nieść, pozwoliłaś mi wierzyć, że jesteś ciężko ranna, być może umierająca, podczas gdy przez cały czas...

- Zasłużyłaś sobie na to. Zostałam bardzo zraniona. Ale przez ciebie, nie przez Arandeza. - Usiadła. - Gdzie on jest? Co z Jane?

Popchnął ją z powrotem na poduszki.

- Jane jest zdrowa jak ryba, jeśli nie liczyć paru zadrapań. Lisette jest z Harrym. Arandez nie żyje.

- Nie żyje? Czy ty...?

- Nie, choć mógłbym go zabić, gdybym miał szansę. Potem ci o tym opowiem. Pewnie dojdiesz do wniosku, że to dom go zgładził. Teraz musisz odpoczywać, zaraz przyjedzie lekarz.

Zaczęła protestować, ale pani Dutton wprowadziła do pokoi doktora i Edward musiał odejść.

Pytania Octavii uświadomiły mu, że powinien wyjaśnić kilka spraw, zszedł więc na dół. Służący poinformowali go, że ludzie Arandeza odzyskali przytomność i zniknęli, kiedy nikt nie patrzył, pewnie wrócili do swych nor w Londynie. Lekarz obejrzał zwłoki Arandeza i kazał je stamtąd zabrać. Żyrandol również został zabrany, ale tynk i kurz szpeciły jeszcze środek holu. Edward spojrzął na sufit.

- Nie wiem, jak to się mogło stać - powiedziała pani Dutton przez łyzy. - Po wypadku pani Barraclough służba zbadała dokładnie cały dom, również ten żyrandol. Absolutnie nie powinien spaść. W kuchni ludzie gadają, że to był wyrok. Ten zabity to był zły człowiek. Mógł zabić lady Octavię. Czy nie sądzi pan, że to stara pani Carstairs...

Edward pokręcił głową.

- Nie, pani Dutton. Tu nie było żadnej interwencji sił nadprzyrodzonych. Proszę spojrzeć na to. - W gruzie na podłodze leżał złamany zaczep żyrandola. W samym środku widniała równiutka, okrągła dziurka. - To ślad po kuli - wyjaśnił Edward. - Właśnie tu trafiła kula wystrzelona przez Arandeza. Zrządzenie losu.

Kiedy szedł w stronę schodów, usłyszał komentarz pani Dutton.

- Może pan nazywać to zrządzeniem losu, panie Barraclough, ale to bardzo dziwne zrządzenie losu i doskonale wiem, co o tym myśleć.

Edward uśmiechnął się i wrócił na górę. Lisette i Jane wraz z Harrym siedzieli przy Octavii, która była jeszcze blada, ale całkowicie przytomna. Lekarz właśnie wychodził, żeby go poszukać. Octavia, powiedział, cudem uniknęła śmierci. Przeżyła wstrząs, ale doktor nie znalazł żadnych poważniejszych obrażeń. Wystarczy kilka dni odpoczynku i spokoju, by cał-

kowicie wydobrzała. Obiecał, że wpadnie za dwa dni, żeby sprawdzić, jak chora się czuje, i odjechał.

Edward podszedł do łóżka i powiedział spokojnie:

- Teraz, kiedy już wszyscy przekonali się na własne oczy, że nie zginęłaś, Octavio, sądzę, że dziewczynki powinny oprowadzić Harryego po domu. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Usiadła sztywno w łóżku.

- Nie! - zawołała zdenerwowana. - Nie chcę... Niech Jane zostanie...

- Nie może - odparł stanowczo Edward. - Obiecałem powiedzieć ci, co się stało, i zamierzam to zrobić bez świadków.

Harry uśmiechnął się do Lisette.

- Sądzę, że twój stryj mówi poważnie - oświadczył. - A ponieważ widziałem go dzisiaj w akcji, wolę z nim nie zadzierać.

- Dobry człowieku - mruknął Edward. - Ty też nie najgorzej sobie radzisz na pięści. Możesz mi mówić po imieniu. Do widzenia.

Jane obrzuciła stryja wszystkowiedzącym spojrzeniem.

- Wiem, dlaczego chcesz się nas pozbyć - oznajmiła donośnie. - Słyszałam, co mówiłeś, kiedy wydawało nam się, że Octavia nie żyje. Jestem gotowa stąd iść, jeśli to ma doprowadzić do waszego ślubu. Zawsze uważałam, że powinienes się z nią ożenić.

Lisette wybuchnęła śmiechem i wyciągnęła siostrę z pokoju.

Po ich wyjściu Edward przysiadł na brzegu łóżka i powiedział miękko:

- A teraz, kochanie, powinniśmy uciąć sobie małą pogawędkę.

- Odpoczynek i spokój - przypomniała mu Octavia. - Takie są zalecenia lekarskie.

\_ Będziesz miała tyle spokoju i odpoczynku, ile tylko chcesz - obiecał Edward.

- O! - Octavii zrzęła mina.

- Ale najpierw musisz mi wyjaśnić dwie sprawy. Po pierwsze, dlaczego udawałaś nieprzytomną?

- Przez chwilę naprawdę byłam nieprzytomna. A kiedy wróciłam do siebie, mówiłeś tak cudownie...

- Na przykład?

- Że mnie kochasz. Że chcesz się ze mną ożenić. Chciałabym usłyszeć te słowa jeszcze raz...

- Najpierw musisz mi też coś powiedzieć.

- To znaczy?

- Że wybaczasz mi, iż byłem takim idiotą - oświadczył bardzo poważnie, dotykając dłonią jej policzka. - I że mimo wszystko mnie kochasz.

- Ty rzeczywiście jesteś idiotą, Edwardzie! - szepnęła miękko. - Oczywiście, że cię Kocham. Nie mogłabym zachowywać się tak... bezwstydnie w stosunku do kogokolwiek innego.

Roześmiał się triumfalnie i porwał ją w ramiona.

- Moja najdroższa, najśłodsza Octavio! Pragnę dzielić z tobą życie, opiekować się tobą, starzeć się przy tobie, mieć dzieci...

- Edwardzie!

- Pamiętam, co mówiłem, pamiętam wszystkie swoje przysięgi, że nigdy nawet o tym nie pomyślę. Istnieje tylko jedna kobieta na świecie, która mogła mnie zmusić do zmiany decyzji. Tylko ty. Uwielbiam cię. - Ucałował jej dłoń. - Wyjdź za mnie, Octavio, a przysięgam, że zrobię wszystko, byś była szczęśliwa.

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę, Edwardzie! - Pocałowała go, po czym odsunęła się nieco i na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Zresztą, spróbowałabym powiedzieć „nie”. Spro-

wadziła cię tu ciocia Carstairs. Pomyśl tylko, co by mi zrobił ten dom, gdybym ci odmówiła.

Edward pochylił się nad Octavią i obdarzył ją długim pocałunkiem. Słabe tchnienie oddechu, miękkie jak letni zefirek i pachnące ziołami, przeleciało przez dom i zmieszało się z letnim powietrzem. Wychford było zadowolone.